

SYN KURASIA
BEZ MILIONA

PROF. PIOTR BIELIŃSKI:
KAMIEŃ Z BAHRY PRZEMÓWIŁY

OSCAROWY
RANKING WIESŁAWA KOTA

ARABSKIE GANGI
W BERLINIE

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT

**Niemen
miałby
dziś 80 lat**

♦ TEATR CAPITOL ♦

Autor
**Wasilij
Sigariew**

WYKRYWACZ © KŁAMSTW ©

Reżyseria
**Robert
Talarczyk**

Przekład
**Agnieszka
Lubomira
Piotrowska**

**Kacper
Kuszewski**

**Anna
Gornostaj**

**Olaf
Lubaszenko**

PREMIERA LUTY 2019

Po każdym spektaklu spotkanie z Aktorami

CYTATY

DANIEL PASSENT,
komentator

*Przetłumaczyłem kilka
książek i wiem, że
„America First” to znaczy
„Najpierw Polska”.
„Polityka”*

MARIUSZ SZCZYGIEL,
reporter

*Po pięćdziesiątce
uwolniłem się od swoich
zmór przeszłości.
Od toksycznych przyjaciół.
Od rzeczy, których nie
chcę robić.
„Tygodnik Powszechny”*

DOROTA WELLMAN,
dziennikarka

*Śmiesz mnie mężczyźni,
którzy zamieniają żony
na młodszy model. Którzy
myślą, że sterczące piersi
i jędrne pośladki zastąpią
miłość, przywiązanie
i przyjaźń.
„Wysokie Obcasy”*

EWA KASPRZYK, aktorka

*Jestem taką trochę
kelnerką, tylko że zamiast
dań przynoszę różne
emocje.
„Angora”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Dostają, co chcą

Bliski Wschód jest kolebką trzech wielkich religii. I niech bogowie mają w opiece ten region. Zwłaszcza teraz, gdy zajmuje się nim ekipa Trumpa. Amerykanie mają szczególny pociąg do tego, by tam, gdzie mają interesy gospodarcze, rozwiązywać konflikty drogą wojen. Pretekstem do nich może być wszystko. Łącznie, jak w przypadku Iraku, z kłamstwem o zagrożeniu bronią masowego rażenia.

Na Bliskim Wschodzie nie ma świętych. Są za to gaz i ropa, czyli wielkie interesy. Są ogromne pieniądze, po które Amerykanie tak chętnie sięgają. Konkurencję do kasy eliminują. Namiastkę tego, jak działa ekipa Trumpa, pokazali w Warszawie wiceprezydent Pence i sekretarz stanu Pompeo. Konferencja miała być o bezpieczeństwie i pokoju. Miała. Bo Amerykanie i premier Izraela Netanjahu przyjechali do Warszawy, by głosić potrzebę wojny z Iranem. Jeśli coś w polityce globalnej da się zepsuć, na Trumpa można liczyć niezawodnie. Po tym jak Trump jednostronnie wycofał się z porozumienia z Iranem, które przy dużym udziale USA zostało zawarte w 2015 r., możemy się spodziewać powtórek tego, co Amerykanie zrobili z Irakiem. Pod równie fałszywym pretekstem. I mimo że porozumienie z Iranem do czasu Trumpa działało dobrze.

Po warszawskiej konferencji można powiedzieć, że sprawdziło się arabskie powiedzenie, że wielbłąd ma swoje plany, a poganiacz swoje. Nie widać, by się sprawdziły polskie oczekiwania. Można było za to zobaczyć, jak bardzo politycy PiS mentalnie przypominają ekipę Trumpa. Jak bardzo podoba się im jego stosunek do opozycji, do mediów, wykorzystywanie luk w prawie i uzależnianie materialne w zamian za wierność polityczną.

Amerykanie szybko i skutecznie uzależnili rządzącą ekipę. Wiedzą, że polski rząd niczego im nie odmówi. Że wystarczą piękne słowa o bliskim sojuszu i gwarancjach bezpieczeństwa, a Polska będzie kupować od nich droższy gaz i drogą broń. Że amerykańskie firmy będą w Polsce preferowane. Nawet kosztem interesów firm polskich. Ekipa Trumpa wie, że dostanie, co zechce. I to z nawiązką. Do tego stopnia, że Pompeo zaczął znowu się domagać odszkodowań za mienie utracone przez obywateli amerykańskich. Wyszedł pewnie z założenia, że skoro dla PiS i PO lata 1945-1989 to czarna dziura, więc i spłacenia Amerykanów w latach 60., za Gomułki, nigdy nie było. Takie są skutki kłamstw i głupoty, pożałuj się Boże, prawicy.

FAUL

Etyka nasza i wasza

Wiadomo, że „dobra zmiana” zajmuje się wszystkim. Zajęła się więc także etyką. Bo jak sądzą myśliciele z PiS, jest etyka nasza i jest etyka wasza. Nieetyczni są ci, którzy krytykują „dobrą zmianę”. Na przykład Rada Etyki Mediów, która napisała, że TVP w materiałach o Pawle Adamowiczu złamała pięć z siedmiu zasad zapisanych w Karcie Etyki Mediów. W tym zasadę prawdy i obiektywizmu. Na pomoc „dobrej zmianie” ruszyło SDP. Zajęło się nie istotą sprawy, ale tymi, którzy tak źle ocenili telewizję Kurskiego. Rozumiemy to. Skoro władza płaci, wymaga właściwej etyki.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Represje wyceniane na milion**
Syn „Ognia” chciał odszkodowania
- 12 Kto chronił tęczkę Kujdy**
Rykoszet sprawy Srebrnej
- 14 Filet z kurczaka kością niezgody**
Ukraiński oligarcha ogrzał Unię
- 18 Alarm dla telefonu zaufania**
Numer 116 111 nie może zamilknąć
- 56 Gwałciciele**
Przestępcy, matki, ofiary

SYLWETKI

- 22 Dziwny jest ten świat**
Niemen ponadczasowy
- 25 Każde pokolenie ma „własnego Niemena”**
Heros polskiego rocka
- 36 W poszukiwaniu zakończenia**
Włóknarz, który został redaktorem

ZAGRANICA

- 28 Gangsterska twarz Berlina**
Korespondencja z Niemiec
- 32 Czy wojsko się zbuntuje?**
Armia kluczem do przetrwania Nicolása Madura
- 34 Kto wpada w sieć kłamstw**
Prawdy i mity o fake newsach

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM

- 37 Krystyna Łybacka znów wyróżniona**

NAUKA

- 38 Kamienie z Bahry przemówiły**
– rozmowa z prof. Piotrem Bielińskim

HISTORIA

- 42 Mój przyjaciel Boy**
Zeleński wspierał robotnika pisarza
- 46 Miasto skazane na chwałę**
Fotografie z obłożonego Leningradu

KULTURA

- 48 Berlinale 2019: lekcja prawdy**
Niedoceniony film Agnieszki Holland
- 50 Statuetka za panikę**
Oscarowe kategorie Wiesława Kota
- 54 Kulturalia**
- 66 Tomasz Karolak i Dorian Karolak.**
Forma | Kolor

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Dostają, co chcą
- 21 Bronisław Łagowski**
Chiny – renesans i modernizacja
- 31 Roman Kurkiewicz**
Proszę protestować grzeczniej
- 45 Tomasz Jastrun**
Nie na miejscu
- 49 Edward Mikołajczyk**
Koszt narodowej wiagry
- 53 Agnieszka Wolny-Hamkała**
Kropiółka z kurkumy



FILET Z KURCZAKA KOŚCIĄ NIEZGODY

Ukraiński oligarcha ogrzał Unię

14
KRAJ

38
NAUKA

KAMIEŃ Z BAHRY PRZEMÓWIŁY

– rozmowa
z prof. Piotrem Bielińskim



STATUETKA ZA PANIKĘ

Oscarowe kategorie Wiesława Kota

50
KULTURA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK KAREWICZ/EAST NEWS



Dlaczego Polacy

ODRZUCILI „WYKLĘTYCH”?

DR ANNA WRÓBLEWSKA:

Media publiczne wylansowały „Kler”

Deweloperskie zakusy

na **ZAKOPANE**

✉ Jak uzdrowić polską politykę?

Odpowiedź jest prosta: wprowadzić odpowiedzialność karną obwarowaną surowymi karami dla parlamentarzystów za powierzone im państwo, a na końcu kadencji rozliczać każdego posła czy senatora z tego, co obiecał wyborcom, z tego, co rzeczywiście zrobił, oraz z tego, czy działał na szkodę kraju, np. głosując pod wpływem lobbystów. Oceniałoby to zgromadzenie obywateli reprezentujące przekrój społeczeństwa.

Michał Czarnowski

Koncepcja, którą przedstawie, jest utopijna, ale to najlepsze wyjście z obecnej sytuacji.

Otóż suweren musiałby się upomnieć o rzeczywistą demokrację, czyli taką, w której mógłby głosować na konkretnego kandydata, a nie na listę. Listy generują patologie i najczęściej do Sejmu wchodzi marne postacie. Konieczne byłoby też stworzenie kodeksu pracy urzędnika, który przewidywałby kary za słownictwo czy poziom wypowiedzi. Trzeba by także odsunąć wszelkie grupy wpływu, które naciskają na wybór pożytecznych idiotów. O wychowaniu, przygotowaniu do służby państwowej nie wspominam, bo to są kwestie elementarne.

Robert Przeliorz

f Czy Biedroń złamie PO-PiS

Mam nadzieję, że wreszcie skończy się chory duopol PiS-PO i powstanie jego trwała alternatywa.

Paweł Bieńkowski

Biedroń partią ludu? Przecież on odbiera jedynie PO liberalny elektorat, taki bardziej – jak to się teraz modnie mówi – progresywny. Dzięki Wiośnie PiS będzie znowu rządziło niepodzielnie, a wy nadal będziecie stać przy jakichś liberalnych efemerydach.

Mateusz Cichocki

A ja jestem za Biedroniem. Nowa energia jest potrzebna. Mam dość zaścianka i ciemnogrodu! Więcej radości i światła. Mydła też...

Bożena M. Dołęgowska-Wysocka



✉ Czechy walczą z polską żywnością

W Szwecji, m.in. w przychodniach dla dzieci, ostrzega się przed polskim mięsem. A polskie jabłka są najtańsze, sprzedawane jako najgorszy sort. Przy szwedzkich cenach żywności Polska

mogłaby być konkurencyjna, ale wtedy jakość musiałaby być bez zarzutu.

Jagna Bros

ZDJĘCIE TYGODNIA



Na Trasie Łazienkowskiej wróciły tablice z nazwą „al. Armii Ludowej”, które po roku zastąpiły „ul. Lecha Kaczyńskiego”. Przywrócenie w stolicy tablic z nazwami ulic sprzed „dekomunizacji” będzie kosztowało ok. 200 tys. zł.



Rafał Pankowski, współzałożyciel Stowarzyszenia „Nigdy Więcej”, został uhonorowany **Nagrodą Praw Człowieka im. Paula Ehrlicha i Günthera K. Schwerina** za walkę z antysemityzmem. Wyróżnienie zostało ustanowione przez amerykańską Ligę Przeciwko Zniesławieniu.

Jerzy Sirak, burmistrz Hajnówki, **zabronił marszu ku czci „żołnierzy wyklętych”**. W zeszłym roku jego decyzję uchylił sąd. I było nawoływanie do nienawiści na tle narodowym i religijnym oraz propagowanie symboli faszystowskich. Zobaczymy, jak będzie w tym roku.

W 2027 r. PKP ma oddać do użytku nową linię kolejową z Krakowa do Nowego Sącza i Zakopanego o długości 58,5 km. Koszt inwestycji 7 mld zł.



Ponad milion używanych samochodów osobowych sprowadzono do Polski w 2018 r. Ich średni wiek wynosi prawie 12 lat, a ok. 58% tych pojazdów przejechało z Niemiec.

Andrzej Konieczny, dyrektor generalny Lasów Państwowych, **nie jest skłonny do informowania o skali wycinki drzew**. W piśmie rozesłanym do firm i osób indywidualnych, którym Lasy dostarczają drewno, namawia się do niepodawania żadnych informacji.

Tomasz Jaskółka, poseł Kukiz'15, były nauczyciel historii w liceum w Częstochowie, wyrzucony ze szkoły za opowiadanie bredni, **dalej bredzi** na tematy historyczne. Teraz zajął się Wacławem Szadkowskim, który znowu ma ulicę na warszawskim Bemowie.

Fundusz Sprawiedliwości, do którego trafiają nawiązki od **sprawców przestępstw**, **planuje wydać 14,7 mln zł na ogólnopolską kampanię w mediach**. W 2016 r. na bezpośrednią pomoc ofiarom przestępstw wydano 16 mln zł z 385 mln, które tam wpłynęły.

11 tys. sklepów zniknęło z polskiego rynku w 2018 r. Najwięcej w tej grupie było sklepów ogólnospożywczych.

Histeria w PO

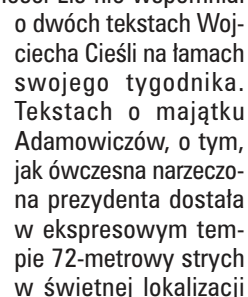
Starzy wyjadacze, a portki im się trzęsą jak debiutantom. Histeria wdarła się w szeregi PO. Już mieli wracać do gabinetów rządowych, a tu pojawiła się Wiosna. I zaczęło się. Czego ci znerwicowani eks-ministrowie PO nie wygadują o Biedroniu. Borys Budka, zapamiętany z tego, że kiedy był ministrem sprawiedliwości, sądy pracowały ekstra (taki żarcik), zalecił Biedroniowi poranny przysnć i sport o poranku. A wizjoner Sławomir Neumann tak przewiduje przyszłość Biedronia: Przyjdzie do nas i poprosi o miejsce. Bardziej realny jest inny scenariusz. Pamięć o rządach PO-PSL jest ciągle żywa. Na myśl o powtórce ludziom robi się smutno.

Karolina w Brukseli, mąż w Wiedniu, a prezes z kapiszonem

Przebogate, choć mocno skrywane, jest życie największej rodziny Europy. „Dobra zmiana” PiS zadbała o dobre życie setek tysięcy krewnych i ich znajomych. Największą troską otoczono rodzinę prezesa. O beztrojskie życie bratanicy Kaczyńskiego dba aż troje europosłów PiS. Jadwiga Wiśniewska, znana głównie z udziału w miesięcznicach smoleńskich, Zbigniew Kuźmiuk i Stanisław Ożóg dali Karolinie Tomaszewskiej po 0,6 etatu asystentki. Wyszło 1,8 etatu. Zaorali kobietę. W listopadzie posłała na zwolnienie lekarskie. Potem ujawniono, że jej mąż Gerald Birgfellner miał budować dla Srebrnej dwie wieże. Ach ta rodzina! Kawalek Sycylii nad Wisłą.

Internet przypomina Lisowi

Pamięć ma dobrą, ale krótką. Kiedy został zamordowany Paweł Adamowicz, Tomasz Lis napisał w „Newsweeku”, że „zabijano go na raty, pomówieniami, insynuacjami, oszczerstwami”. Prawda to, ale nie cała. Bo chyba z nadmiaru skromności Lis nie wspominał



na gdańskiej Starówce. W tle były działki, darowizny, konta. Wszystko jest w internecie. Wystarczy kliknąć. A na problemy z pamięcią najlepszy jest ponoć bilobil.

Wnusio pogoniony w Gdańsku

Coś z nim jest nie tak. Dwie lewe ręce? Głowa nie nadąza? A może jedno i drugie? Wnusio Anny Walentynowicz do czego by się wziął, to wtopa. 40-letni Piotr ogłosił, że będzie kandydował na prezydenta Gdańska. Ale nie znalazł 3 tys. mieszkańców, którzy by mu podpisali listę z poparciem. Znają go tak dobrze, że nie będą się wygłupiać. Wnusio robił już za budowlańca, operatora żurawia, taksówkarza i marynarza. Wszystko to krótko. Macierewicz urządził go w Rawarze. Na skromnym etacie za 9,4 tys. zł. Pogoniony przez gdańszczan wnusio nie rezygnuje z kariery. Będzie mężem zaufania Grzegorza Brauna. Cóż, jaki kandydat, taki mąż.



FOT. WYKOP. DEMOTYWATORY. YOUTUBE.COM



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy protestująca wieś odwraca się od PiS?

DR CZESŁAW SIEKIERSKI,
europoseł PSL

Od PiS odwraca się nie tyle wieś, ile rolnicy. 500+ poprawiło pozycję wsi względem miasta, gdzie rodziny są mniejsze. Wieś – jako całość – skorzystała także w wyniku kilku innych decyzji rządu. Tymczasem rolnicy otrzymali głównie obietnice, np. wyrównania, a nawet podwojenia dopłat. Nie dostali żadnych konkretnych instrumentów stabilizujących ich dochody czy sytuację rynkową. Przeciętne dochody rolników są niższe niż innych grup zawodowych, koszty produkcji rosną, a Unia Europejska zbyt mocno otworzyła się na towary z Ukrainy, w tym artykuły rolne. Protesty są reakcją na tę sytuację, choć mają jednocześnie wymiar polityczny.

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Sytuacja na wsi, nie tylko za sprawą PiS, ale i poprzednich rządów, nie jest najlepsza. Brakowało m.in. długofalowych działań powodujących zwiększenie efektywności produkcji rolnej. Powiem coś niepopularnego, ale nie

da się osiągnąć wysokiej rentowności i utrzymać rodziny, jeśli gospodarstwo ma kilka hektarów. Dopiero gospodarstwa kilkudziesięciohektarowe dają gwarancję życia na poziomie, jakiego każdy ma prawo oczekiwać. Jak sytuacja w rolnictwie wpłynie na poglądy polityczne rolników? Wieś zawsze była roszczeniowa, a jednocześnie emocjonalnie podchodziła do swojej sytuacji, nawet jeśli sama była jej winna. W związku z tym może się zdarzyć, że wieś nie będzie chciała dłużej głosować na PiS, ale według mnie jest to bardzo mało prawdopodobne. Rolnicy zbyt dobrze pamiętają wiele działań PSL.

PROF. IZABELLA RYLSKA,
socjolożka wsi, PAN

To normalne zjawisko, że poszczególne grupy zawodowe, a więc także producenci rolni, w obliczu pogorszenia swojej sytuacji wyrażają niezadowolone z zaniechań rządu, które się do niego przyczyniły. To sygnał, że władza powinna się przyjrzeć ich problemom, ale niekoniecznie dowód zmiany sympatii politycznych. Myślę, że jest jeszcze za wcześnie, by mówić, że wieś

odwraca się od PiS, ale jeśli nie zareaguje ono na postulaty rolników, będzie musiało z tym się liczyć. Bardzo poważnie traktuję takie protesty, bo uważam, że ludzie mają prawo myśleć także brzuchem, a nie wyłącznie głową. W głowy można nakłaskać manipulowanymi informacjami czy ideologią, natomiast brzuch upomina się o rzeczy elementarne i nie oszukuje. Wszystkie normalne społeczeństwa postrzegają politykę przez pryzmat tego, czego im brakuje. Rolnicy są ważną grupą i rząd nie może ich zbijać epitetami, tylko musi nawiązać z nimi dialog.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
ZBIGNIEW PIETRZAK

Nie sądzę. Wprawdzie wiedza ekonomiczna ciągle rośnie, ale autorytet plebana nadal działa.

BRUNO SKALSKI

Wątpię, ale każda władza się nudzi, szczególnie gdy od dłuższego czasu nic nam nie dała, i od każdej władzy można próbować coś dla siebie ugrać. Może nawet od „swojej” władzy bardziej niż od liberalnej.

Not. Michał Sobczyk



REPRESJE WYCENIANE NA MILION

Proces w Nowym Sączu miał uwiarygodnić opinię IPN o „Ogniu” jako o bohaterze. Ale tak się nie stało

Leszek Konarski

Przez ponad rok Sąd Okręgowy w Nowym Sączu rozpatrywał pozew Zbigniewa Kurasia, syna dowódcy oddziału partyzanckiego w latach 1945-1947, Józefa Kurasia „Ognia”. Kuraś junior domagał się 1 mln zł odszkodowania za represje, które dotknęły jego ojca w związku z działalnością na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, oraz 50 tys. zł na zbudowanie mu pomnika.

Tłum dziennikarzy przybyłych z całej Polski kłębił się w poniedziałek, 11 lutego, w nowosądeckim sądzie, na parterze ustawiono kamery stacji telewizyjnych. Wszyscy wiedzieli, że ten proces jest bardzo ważny i chodzi tu nie tylko o 1 mln zł, ale również o interpretację powojennej polskiej historii. Czy „żołnierz wyklęty”, mający na koncie wiele morderstw, kradzieży i gwałtów może być uznany za kogoś, kto działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, i zostać zaliczony do osób represjonowanych, co otwiera jego rodzinie drogę do starania się o zażalenie i odszkodowanie?

Zbigniew Kuraś domagał się 1 mln zł odszkodowania za represje, które dotknęły ojca, oraz 50 tys. na zbudowanie mu pomnika.

Siedząc przed salą sądową, dyskutowaliśmy z kolegami dziennikarzami i nikt nie był w stanie przewidzieć, co zadecyduje sędzia Anna Pater. Wszyscy zgadzali się, że jako sędzia jest w dramatycznej sytuacji, chyba nie śpi po nocach, bo ten wyrok może być najtrudniejszym w jej życiu. Z jednej strony, jest pod niestęchanym naciskiem Instytutu Pamięci Narodowej i prawników mediów, a z drugiej, mieszkańcy Podhala dobrze wiedzą, ile wycierpieli przez „Ognia”. Jeżeli przyzna odszkodowanie, to IPN ją wyświeści, ale górale z Waksmundu, Gronkowa czy Klempachów jej tego nie wyba-



Zbigniew Kuraś był zaskoczony wyrokiem. Powinien jednak mieć pretensje nie do sądu, ale do IPN, który z jego ojca zrobił bohatera.

czą. Jeżeli nie da odszkodowania, mieszkańcy Podhala pochwalą jej orzeczenie, ale IPN i Zbigniew Ziobro, pochodzący z niedalekiej Krynicy-Zdroju, rozliczą ją z tego. Wszyscy jej współczuliśmy.

Trudno zrozumieć, dlaczego w niesłychanie trudnej sprawie, którą interesuje się cała Polska, przewodniczący wydziału karnego nie zarządził orzekania w składzie trzech sędziów, na co pozwalają przepisy.

Dlaczego jedną kobietę postawiono w tak dramatycznej sytuacji? Sama miała zadecydować o wyroku, który bez względu na to, jaki będzie, zostanie natychmiast skrytykowany przez stronę przeciwną.

Proces toczył się z wyłączeniem jawności na wniosek syna „Ognia”, który najprawdopodobniej bał się, że na sali sądowej pojawią się rodziny osób pomordowanych przez jego ojca. Podczas zorganizowanej przez IPN w marcu 2017 r. w Nowym Targu konferencji kilkaset osób buczało: „Bandyta!”, gdy tylko prelegenci wymawiali słowa „Józef Kuraś” lub „Ogień”. W czasie niektórych mszy

patriotycznych też buczano, gdy padało z ambony to nazwisko. Teraz mogło być podobnie.

W tym procesie podjęta została próba zaliczenia Józefa Kurasia do osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległości państwa polskiego, bo to dawało podstawy do odszkodowania. Dla górali jednak uznanie „Ognia” za osobę represjonowaną to już było za wiele. Dlatego pół Podhala czekało z zapartym tchem na ten wyrok.

Gdy wszyscy zostali wpuszczeni na salę sądową, bo zgodnie z procedurą ogłoszenie wyroku musiało nastąpić w sposób jawny, sędzia Anna Pater oznajmiła, że Sąd Okręgowy w Nowym Sączu oddała wniosek Zbigniewa Kurasia o odszkodowanie, uznając, że nie znajduje on uzasadnienia w przepisach dotyczących osób represjonowanych.

PATRIOTA?

W pozwie Zbigniewa Kurasia o przyznanie 1 mln zł odszkodowania pełnomocniczka mecenas Anna Bufnał z Gdyni napisała: „Józef Kuraś był osobą charakteryzującą się niezwykłym patriotyzmem. Główną ideą, która mu przyświecała, a także całej jego grupie, była walka o praw-

dziwie niepodległą, niezależną od komunistów Polskę. O ich intencjach świadczyły ulotki rozwieszane wiosną 1945 r. na Podhalu, w których partyzanci deklarowali – »Walczymy o Orla, o Koronę dla Niego, naszym hasłem Bóg, Ojczyzna, Honor«. Podkreślić należy, że Józef Kuraś nie walczył o własny interes, lecz interes wszystkich Polaków».

Do tego „Ogień”, ten wielki patriota, miał być uwielbiany przez ludność: „Partyzanci byli gospodarzami na terenach, które znajdowały się pod ich kontrolą. Nie ciążyli na miejscowej ludności, środki niezbędne na utrzymanie głównie pozyskiwali

Dla górali uznanie „Ognia” za osobę represjonowaną to już było za wiele.

z konfiskat w sklepach państwowych, kasach kolei, spółdzielniach, ośrodkach wypoczynkowych, posterunkach MO i UB. Część zdobytych towarów przekazywano także wprost dla miejscowych. Ludność Podhala miała w grupie »Ognia« oparcie i ochronę przed samowolą UB i zarządzeniami władz. (...) Józef Kuraś swoją działalność wykonywał z uszanowaniem dla miejscowej ludności».

W pozwie nie ma nic o Polakach, Słowakach i Żydach zamordowanych przez oddział „Ognia”, o kradzieżach, gwałtach, terroryzowaniu całych

miejscowości. Żadnej zbrodni, żadnego nazwiska, same laurki, wszędzie tylko Bóg, honor i ojczyzna. To dzięki walce Kurasia ze Słowakami udało się utrzymać obecną granicę Polski ze Słowacją.

Pani mecenas napisała w imieniu Zbigniewa Kurasia, że wszystkimi materiałami stanowiącymi dowody

na przedstawioną przez nią działalność „Ognia” dysponuje Instytut Pamięci Narodowej i tam sąd powinien się zwrócić. Tak też postąpiła sędzia Anna Pater. Zadała IPN kilka prostych pytań, m.in. czy działalność Kurasia w powojennej partyzantce była walką o niepodległą Polskę, czy był on przez ustrój komunistyczny ▶

PO PROCESIE POWIEDZIeli:

Kazimierz Czubernat, nowotarzanin, syn „Płomienia”, żołnierza oddziału partyzanckiego Armii Krajowej dowodzonego przez mjr. Juliana Zapałę, wcześniej z tego oddziału zdezerterował „Ogień”

Dlaczego proces odbywał się przy drzwiach zamkniętych, czego sąd się obawiał? Prawdy? Dlaczego w charakterze świadków nie wezwano mieszkańców Nowego Targu i okolicznych wsi? Cała moja wiedza o „Ogniu” pochodzi od ojca i jego kolegów, którzy przychodzili do naszego rodzinnego domu w Nowym Targu. Nigdy nie słyszałem, aby ktokolwiek mówił o „Ogniu” dobrze. Mordował ludzi dla własnego zysku, czasem z kaprysu. Wchodził ze swoimi ludźmi do wsi, żądał okupu i krzyczał: „Nam się należy!”. Zabijał z byle powodu. Dla mnie jest rzeczą niepojętą, że syn takiego człowieka wystąpił o 1 mln zł odszkodowania. Żenujące są też te książki IPN, pomniki i tablice poświęcone „Ogniowi”, te msze patriotyczne dla przyjezdnych, bo nie bierze w nich udziału nikt z mieszkańców Podhala. Czy można robić świętego z kogoś, kto tyle krzywdy ludziom tu wyrządził? Nigdy tego nie zrozumieć.

Stanisław Rokicki, mieszkaniec Nowego Targu, którego teść Władysław Zegardowicz „Kukułka” miał na „Ogniu” wykonać wyrok śmierci za opuszczenie stanowiska bojowego i spowodowanie śmierci kolegów

Jak można mówić o odszkodowaniu dla syna tego bandziora? Moja żona Zofia jest córką Władysława Zegardowicza „Kukułki”, którego po wojnie Józef Kuraś, już jako kierownik Urzędu Bezpieczeństwa, aresztował i wysłał na Sybir za działalność w Armii Krajowej. Na szczęście teściowi udało się stamtąd uciec i pieszo wrócił z Syberii do Nowego Targu.

Dr hab. Stanisław Kołodziejski, archeolog specjalizujący się w epoce średniowiecza i kastellolog, badacz zamków, mieszkaniec Krościenka nad Dunajcem

Mój dziadek Franciszek Kołodziejski mieszkał w Krościenku. Po wojnie do naszego domu weszło trzech żołnierzy w mundurach i powiedzieli dziadkowi, że jest bolszewikiem. Dziadek był bardzo lubiany i szanowany w całej wsi, założył tu spółdzielnię rolniczą i to było wystarczającym powodem, że musiał zginąć. Moja babcia obserwowała wszystko z drugiego pokoju i widziała, jak dziadek mówił do ogniowców, że przed wojną służył w legionach Piłsudskiego, nie był nigdy bolszewikiem. Strzelili mu w głowę, gdy szukał w szufladzie dokumentów legionowych. Teraz syn człowieka wydającego wyroki śmierci chciał, by polskie państwo wypłaciło mu odszkodowanie za ojca? Rany Boskie!

Bartłomiej Kuraś, stryjeczny prawnuk Józefa Kurasia „Ognia” (wypowiedź dla portalu wPolityce.pl)

Wyrok Sądu Okręgowego w Nowym Sączu jest groteskowy i kuriozalny. Kuriozalny, bo zawarto w nim stwierdzenie, że Józef Kuraś nie działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego. To pokazuje, że sądy są dalej komunistyczne. Nikt nie potrafi zrobić z tym porządku, więc będą ogłaszać takie wyroki, jakie im odpowiadają. „Ogień”, gdziekolwiek jest pochowany, przewraca się w grobie!



Sędzia Anna Pater nie zaliczyła „Ognia” do osób represjonowanych.

► represjonowany, a potem został zamordowany. Chciała konkretnych dowodów, przesłania kopii dokumentów. Sąd nie może się opierać wyłącznie na opiniach.

Pytania były bardzo proste i jasne, ale widocznie okazały się dla IPN zaskoczeniem, bo bardzo długo sąd w Nowym Sączu nie dostawał odpowiedzi. Dopiero po kilku ponagleniach nadeszła z IPN opinia o „Ogniu” sporządzona przez dr. Macieja Korkucia, autora książki o Józefie Kurasiu. Sąd nie ujawnił jej treści ze względu na wyłączenie jawności procesu, ale pełnomocniczka syna „Ognia” była nią zachwycona. Dzień przed ogłoszeniem wyroku powiedziała dziennikarzom:

„Jeśli chodzi o opinię Instytutu Pamięci Narodowej dotyczącą działalności Józefa Kurasia »Ognia«, jest ona wyczerpująca w sposób całościowy. To niezwykle kompletne, kompleksowe ujęcie tematyki, wszelkich wydarzeń historycznych, które miały miejsce w latach 1945-1947. Opinia dr. Macieja Korkucia odpowiada na wszelkie pytania sądu”.

Nie wiemy, co dr Maciej Korkuc napisał, bo jego opinia nie została ujawniona, w każdym razie sądu nie



Jeśli „Ogień” zostałby uznany za represjonowanego przez system totalitarny, bliscy innych „wyklętych” też mogliby żądać pieniędzy.

przekonała. W uzasadnieniu wyroku sędzia Anna Pater powiedziała: „Materiały dostarczone przez IPN miały charakter ogólny. Nie uzyskano danych, które mogłyby pozwolić sądowi na ustalenie stanowczych, kategoriycznych i samodzielnych ustaleń oceniających, czy charakter działań Józefa Kurasia »Ognia« to była działalność na rzecz niepodle-

głego bytu państwa polskiego, czy też stanowiła ona zaprzeczenie tego rodzaju działalności”.

REPRESJONOWANY?

Sędzia wyjaśniła podczas uzasadnienia wyroku, że wobec „Ognia” nie toczyło się żadne postępowanie, które zakończyłoby się wydaniem orzeczenia. Nigdy nie był aresztowany, pozbawiony wolności, przestłuchiwany ani torturowany. Dochodzenie odškodowania i zadośćuczynienia jest możliwe tylko w wypadku osób, które zostały pozbawione wolności lub życia przez organy władzy komunistycznej i przepisy te trzeba stosować ści-

śle, nie rozszerzając ich na potrzeby jakiegokolwiek postępowania.

Z powodu utajnienia procesu nie wiemy, jakie IPN dostarczył dowody na represjonowanie „Ognia”, na czym miało ono polegać. W jednym zdaniu sędzia Pater wspomniała, że po wojnie Kuraś był przez krótki czas funkcjonariuszem MO i UB w Nowym Targu, a IPN prowadzi śledztwo w sprawie jego udziału w organach władzy ludowej. Nie dodała wprawdzie ani słowa komentarza, ale można przypuszczać, co miała na myśli. Może to Józef Kuraś represjonował innych jako pracownik organów bezpieczeństwa publicznego, a potem, gdy był w lesie, ze swoim oddziałem partyzanckim terroryzował całe Podhale?

Od 21 stycznia 2016 r., a więc od trzech lat, krakowski oddział IPN prowadzi śledztwo o sygnaturze S77/15/Zk w sprawie zbrodni komunistycznej przeciwko ludności, polegającej na udzielaniu przez Kurasia, funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pomocy NKWD w dniach od 29 stycznia do 12 kwietnia 1945 r. „w bezprawnych pozbawieniach wolności obywateli polskich w związku z ich przynależnością do Armii Krajowej”. Nikt w IPN nie potrafił mi powiedzieć, kiedy to śledztwo się zakończy, mam zatelefonować pod koniec roku. Trudno o jakikolwiek komentarz. IPN ma bardzo dużo czasu.

KOMENTARZE Z PORTALU WP.PL

Brawo sąd! Synalek powinien siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i modlić się, żeby ludzie zapomnieli o bandyckich wyczynach jego ojca. Szczyt bezczelności z tymi jego żądaniami! Niech uważa, bo potomkowie bestialsko zamordowanych przez tatusia zaczną domagać się odszkodowania i zadośćuczynienia od synalka!

Polska to chyba jedyny kraj na świecie, gdzie z bandyty i zdrajcy robi się bohatera, a z prawdziwego bohatera zdrajcę i bandytę. Dziki to kraj i dzikie panują w nim obyczaje.

Wstydu synuś nie ma. Za bandyckie wyczyny tatusia chce naszej kasy!

Nareszcie rodziny pomordowanych przez Kurasia osób wiedzą, do kogo mają się zwrócić o odszkodowanie za najbliższych.

Chłopie, jak ci nie wstyd ludziom się na oczy pokazywać? Gdybyś miał odrobić honoru, tobyś wystąpił o odszkodowanie dla rodzin ofiar twojego ojca.

To już bezczelność żądać 1 mln zł za śmierć ojca bandyty, który gwałcił, mordował, palił. Syn powinien schować się pod ziemię ze wstydu.

Ale czasy! Za morderstwa i bandytyzm ich potomkowie chcą odszkodowań. Koniec świata!

Sąd w Nowym Sączu jest jeszcze niezależny i pozew oddalił, ale niewykluczone, że Zbigniew Ziobro wkrótce dokona tam stosownych zmian.

ZAMORDOWANY?

W pozwie wniosek o odszkodowanie i zadośćuczynienie poparty jest twierdzeniem, że to komunistyczny system totalitarny odpowiada za śmierć „Ognia”. Gdyby nie był prześladowany przez aparat bezpieczeństwa, nie popełniłby samobójstwa i dzisiaj cieszyłby się dobrym zdrowiem. Warto zacytować fragment tej prawniczej argumentacji: „Zasadka i chęć zatrzymania »Ognia« w dniu 21 lutego 1947 r. była związana z jego działalnością niepodległościową, a nie z czynami kryminalnymi. Nie ulega wątpliwości stwierdzenie, że samobójstwo Józefa Kurasia było bezpośrednio spowodowane represjami organów ścigania. Gdyby nie dążenie komunistów do likwidacji Zgrupowania »Ognia«, nie odebrałby sobie życia”.

Gdyby więc nie represje ze strony władzy ludowej, Józef Kuraś ze swoimi ludźmi mordowałby kolejne osoby, nakładał haracze, napadał na poczty, banki, spółdzielnie, urzędy i posterunki milicji. Nie znamy argumentów dr. Korkucia, w każdym razie sąd w Nowym Sączu nie zgodził się z takim uzasadnieniem przyczyn śmierci „Ognia”.

Sędzia Pater powiedziała, że 21 lutego 1947 r. ludzie „Ognia” zostali

otoczeni przez wojsko i wezwani do poddania się. Niektórym jego podwładnym udało się zbiec, Kuraś na ucieczkę nie miał już szans i dokonał samopostrelenia. Nie chciał się poddać, a więc jego śmierć „nie była efektem działania organów ścigania czy wymiaru sprawiedliwości, a była efektem określonej decyzji podjętej przez niego samego”.

LICZĄ SIĘ FAKTY

To miał być bardzo ważny proces dla IPN, sprawa precedensowa, na którą dzieci innych „wyklętych” mających krew na rękach mogłyby się powoływać w staraniach o odszkodowania. Jeśli „Ogień” zostałby uznany za

IPN prowadzi śledztwo w sprawie udziału „Ognia” w organach władzy ludowej.

osobą represjonowaną przez system totalitarny, inni również mogliby żądać pieniędzy. Dzięki wyrokowi sędzi z Nowego Sącza do tego nie doszło.

To miał być proces o znaczeniu historycznym. Pełnomocniczka Zbigniewa Kurasia powiedziała dziennikarzom, że „postępowanie sądowe ma potwierdzić, że »Ogień« swoimi uczynkami zasłużył na miano bohatera narodowego”. Być może według

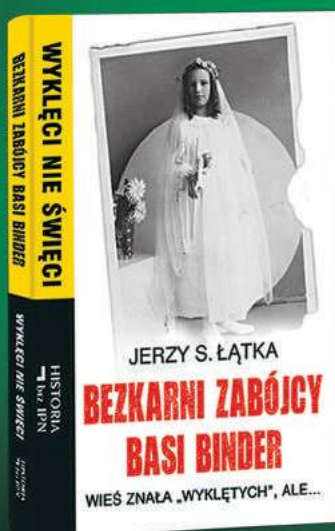
niej obecnie nie historycy, lecz sądy mają się zajmować historią, a IPN wydawaniem wyroków.

Na szczęście Sąd Okręgowy w Nowym Sączu nie dał się namówić na zajmowanie się interpretowaniem historii. Sędzia Anna Pater nie uwzględniła w orzeczeniu żadnych materiałów będących tylko opiniami, żądała przedstawienia faktów. Zadała IPN proste pytania, na które nie dostała konkretnych odpowiedzi.

Pełnomocniczka mecenas Anna Bułnal nie kryła zaskoczenia wyrokiem, bo „pozostaje on w absolutnej sprzeczności z treścią opinii przygotowanej przez Instytut Pamięci Narodowej”, i zapowiedziała odwołanie do sądu wyższej instancji.

Zbigniew Kuraś po ogłoszeniu wyroku nie odezwał się do dziennikarzy ani słowem. Wyszedł z sali rozpraw z poczuciem krzywdy, choć powinien mieć pretensje nie do sądu, ale do historyków z IPN i prawników, którzy wmówili mu, że jego ojciec był bohaterem, dobrodziejem, męczennikiem, osobą represjonowaną i milion synowi się należy.

Leszek Konarski

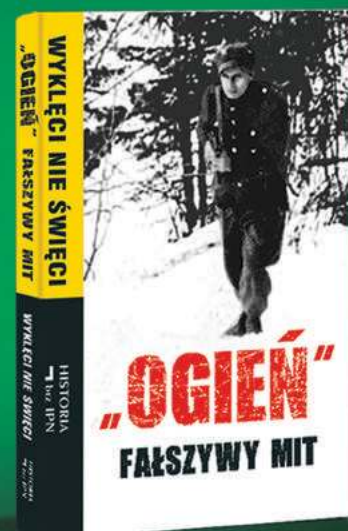


Mordowali z zimną krwią. Kobiety zakopali w pobliskim lesie. Wieś znała zabójców, ale ci przez lata byli bezkarni. Dziś uchodzą za bohaterów AK. Za „żołnierzy wyklętych”.

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

Gwałcili. Mordowali kobiety i dzieci. „Ogień” i jego banda zabijali Polaków, Żydów i Słowaków.

45 zł



46 zł

KSIAŻKI PRZEGLĄDU

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę oraz opcjonalnie koszt wysyłki (bezpłatna wysyłka pocztą) na konto wydawcy
PRZEGLĄDU 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7,
lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wybierz sposób dostawy:

- GRATIS wysyłka poleconą Poczta Polska
- dostawa kurierem FedEx 14,90 zł
- darmowa wysyłka kurierska przy zamówieniu na minimum 200 zł

Więcej informacji: tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak

Polska Ludowa w sercu PiS? Jak najbardziej! Oto mamy pierwszą ofiarę „taśm Kaczyńskiego”, czyli publikowanych przez „Gazetę Wyborczą” rozmów austriackiego biznesmena Geralda Birgfellnera z Jarosławem Kaczyńskim i ludźmi PiS w sprawie budowy w Warszawie dwóch wieżowców, tzw. K-Towers.

Tą ofiarą jest Kazimierz Kujda, do niedawna prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Nie ta posada jednak stanowi (stanowiła) o jego pozycji. Znaczenie Kujdy wynikało z tego, że przez lata zarządzał spółką Srebrna, finansowym zapleczem partii Jarosława Kaczyńskiego. Było to w latach 1995-1998 oraz 2008-2015. Trzykrotnie zaś (2000-2002, 2006-2008 i 2015-2019) Kujda szefował Narodowemu Funduszowi Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW), tyle że w jego karierze to był epizod. Istotny, dający dobre zarobki, ale epizod. Bardziej liczyło się to, że odpowiadał za Srebrną. Że Kaczyński współpracował z nim od lat, jeszcze w czasach Porozumienia Centrum.

Kujda znał wszystkie finansowe tajemnice Kaczyńskiego. Był w gronie najbardziej zaufanych.

Kujda znał wszystkie finansowe tajemnice Kaczyńskiego. Był w gronie najbardziej zaufanych. Jak bowiem dowiedzieliśmy się z taśm, mimo że nie pełni dziś w Srebrnej żadnej funkcji (prezeską jest jego żona), właśnie on w imieniu spółki uczestniczył w negocjacjach z Birgfellnerem.

I to go zgubiło. Austriacki biznesmen nagrał ich rozmowę, opublikowała ją „Gazeta Wyborcza”, a wkrótce potem do mediów wyciekła jego teczka. Do niedawna znajdowała się w zbiorze zastrzeżonym IPN, tzw. Zettce. Wynikało z niej zaś jednoznacznie, że Kujda był w latach 80. tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Ryszard”.

O tym, czym jest zbiór zastrzeżony, pisaliśmy parokrotnie, tutaj zatem tylko parę zdań przypomnienia. W ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej z 1998 r. zdecydowano, że archiwa

KTO CHRONIŁ TECZKĘ KUJDY?

Najpierw pracował dla SB, a potem dla PiS.
Wie wszystko...

służb specjalnych PRL, cywilnych i wojskowych, zostaną przekazane do IPN i będą jawne. Ale uznano również, że są w tym zbiorze teczki współpracowników, zwłaszcza wywiadu, z których pomocy nasze służby wciąż korzystają, więc nie można ich ujawniać. Tak powstał zbiór zastrzeżony, czyli teczki przekazane do IPN, do których nie było dostępu.

PiS po przejściu władzy zlikwidowało zbiór zastrzeżony. Formalnie przestał on istnieć w czerwcu 2017 r. Rozpoczął się proces jego ujawniania. Nie jest to działanie mechaniczne – teczki są przeglądane przez przedstawicieli służb i dopiero te, do których Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencja Wywiadu

Dowiedzieliśmy się z niej, że Kujda został zwerbowany przez SB w Siedlcach, w roku 1979. Chciał mieć paszport i jeździć za granicę, a SB chciała z tych wyjazdów mieć sprawozdania. Fakt współpracy z SB Kujda potwierdził własnoręcznie: „Ja, Kazimierz Kujda, wyrażam zgodę na nawiązanie dialogu z pracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Fakt ten zachowam w ścisłej tajemnicy przed rodziną oraz przed sądem, prokuraturą, milicją i osobami trzecimi. W dialogu tym będę przekazywał wiadomości autentyczne i zgodne z prawdą. Dialog dotyczy spraw o charakterze naukowym (gospodarka energetyczna), wynikających z moich kontaktów z zagranicą”.

Z tego zobowiązania wywiązywał się poprawnie. W sumie w jego teczkę jest 105 stron raportów. Współpraca trwała do roku 1987. Kujda nie chciał jej kontynuować i wówczas została zakończona.

Nasuwać się więc dwa pytania. Po pierwsze, dlaczego Kujda, pełniąc funkcję prezesa NFOŚiGW, nie był lustrowany? To wiadomo – nie był, bo akurat tego stanowiska nie wpisano na listę wymagających lustracji. Dlaczego? Czy to przypadek, czy ktoś na etapie prac sejmowych je wykreślił? Po drugie, i chyba ważniejsze, jakim cudem teczka Kazimierza Kujdy znalazła się w zbiorze zastrzeżonym?

ani służby wojskowe nie zgłaszają weta, są ujawniane. Innymi słowy, ze zbioru zastrzeżonego wyselekcjonowano „zbiór bardziej zastrzeżony”, wciąż tajny (czyli najważniejsi agenci nadal są chronieni) i wciąż obszerny, a resztę rzucono ciekawskim do oglądania.

I trzeba trafić, że w kwietniu 2018 r. ujawniona została teczka Kazimierza Kujdy, to znaczy trafiła do ogólnodostępnego katalogu. Ale nikt się nią nie interesował aż do czasu nagrań Birgfellnera. Wtedy trafiła do rąk dziennikarzy.

WSTYD JEST, KRZYWDY NIE MA

Kazimierz Kujda, mimo że jest w wieku emerytalnym, zarabiał niemałe pieniądze. Jego pensja na fotelu szefa NFOŚiGW wynosiła 26,4 tys. zł. Do tego należy doliczyć nagrody. W samym 2017 r. Kujda otrzymał z tego tytułu 77 tys. zł.

Odchodząc z NFOŚiGW, też nie powinien zbyt rozpaczać. Po odwołaniu przysługuje mu bowiem odprawa w wysokości trzymiesięcznego wynagrodzenia. Będzie to niemal 80 tys. zł.



Kierowano tam przecież materiały dotyczące działających, odziedziczonych przez nowe służby agentów, by ich chronić. A Kujda? Jak wynika z materiałów zgromadzonych w jego teczkach, od 1987 r. agentem już nie był. Albo więc wcale nie zakończył współpracy w roku 1987, albo jegoteczka przeniesiona została do zbioru zastrzeżonego z jakiegoś innego powodu.

Ze zbioru zastrzeżonego wyselekcjonowano „zbiór bardziej zastrzeżony”, wciąż tajny.

Znawcy tej materii wskazują, że najbardziej prawdopodobny jest właśnie przypadek drugi. Przecież widać na kilometr, że Kujda nie był żadnym istotnym agentem, nie wyszedł poza Siedlce. No cóż, gdy utworzono IPN i zaczęto przysyłać tam teczkę, politycy nagle się zorientowali, że zaszkodzić to może ważnym dla nich ludziom. Dlatego w wyniku rozmaitych nacisków i działań niektóre teczkę kierowano do zbioru zastrzeżonego. Żeby ich chronić. Ze sprawami wywiadu nie miało to nic wspólnego.

Jeżeli tak rzecz się miała z Kujdą, zapytajmy o konkrety. Kto i kiedy skierował jego teczkę do zbioru

zastrzeżonego? Te informacje powinny być w niej zapisane, i to na samej górze. Jeżeli to będziemy wiedzieć, dowiemy się, kto chronił Kujdę. Kto pilnował, by nie stała mu się krzywda. Bo ewidentnie odgrywa on ważniejszą rolę dzisiaj niż w czasach PRL.

Będzie to też jakiś trop, by zwerifikować słowa Kaczyńskiego, że nic o przeszłości Kujdy nie wiedział.

Oczywiście trudno w to uwierzyć, a w zasadzie – nie sposób. Ale dopiero wiedząc, jakteczka „Ryszarda” była chroniona, będziemy mogli coś konkretnego na ten temat powiedzieć.

Trochę zresztą ujawnił już sam Kujda. W ostatnich wypowiedziach dla mediów zapewniał, że nikogo, pracując dla SB, nie skrzywdził itd. Ale dodał, przekonując o swojej niewinności, że jest „w posiadaniu dokumentacji skopiowanej z zasobów archiwalnych IPN, którą otrzymał kilka lat temu, po złożeniu stosownego wniosku o udostępnienie”. Innymi

słowy, interesował się, jakie materiały na jego temat są w IPN, i je skopiował. W IPN wiedziano zatem o jego przeszłości.

Czy tę wiedzę ludzie kierujący IPN zachowali dla siebie, czy przekazali ją wyżej? Tu również skazani jesteśmy na domysły. Ale przecież gołym okiem widać, jak bardzo polityczna jest obsada IPN, jak PiS na jego kontrolowaniu zawsze zależało, jak różne frakcje walczyły o jak największe tam wpływy. Można więc śmiało

Teczka Kazimierza Kujdy została ujawniona w kwietniu 2018 r.

zakładać, że przeszłość Kujdy w tym gronie nie była tajemnicą.

Znamienne jest zresztą zachowanie PiS, gdy ta bomba wybuchła. Początkowo zbywano przeszłość Kujdy milczeniem, tak jak w sprawie ambasadora w Berlinie Andrzeja Przyłębskiego. No, wprawdzie coś podpisał, ale w rzeczywistości nie współpracował, nie donosił, nie ma co się czepiać. Tak broniły Przyłębskiego najbardziej zajadłe pisowskie pisma. I taka była opinia IPN, który w związku z tym nawet nie skierował sprawy Przyłębskiego do sądu – bo po co, skoro uznał, że nie był agentem? I najwyraźniej na taką reakcję IPN liczył Kujda. Ale tym razem się nie udało. Po kilku dniach musiał się podać do dymisji.

Czy dlatego, że zabrakło mu przyjaciół w IPN? Czy też dlatego, że prezes Kaczyński nie chciał go bronić? A może 105 stron raportów to zbyt wiele i bardzo trudno jest stwierdzić, że to nie?

Na razie możemy żartować, że ludzie PRL są elitą PiS. Sekretarka Kaczyńskiego, pani Basia, to osoba „odziedziczona” po gen. Michale Janiszewskim, który był szefem gabinetu gen. Wojciecha Jaruzelskiego w MON, później szefem Urzędu Rady Ministrów, a karierę kończył w Kancelarii Prezydenta RP. Wieloletni skarbnik PiS, Stanisław Kostorzewski, to z kolei wieloletni członek PZPR. A teraz mamy Kazimierza Kujdę, już nie w PZPR, ale w SB.

Czego dowiemy się za chwilę?

Ewa Rogowska

Czterodniowy pisklak to całkiem duży stwór. Człowiek miastowy się dziwi, że tak duży z tak małego jajka, bo zna pisklęta jedynie z telewizji albo wielkanocne, z waty. Przez okienko w drzwiach można zobaczyć wnętrza kurnika i tysiące żółtych istot. Ale od razu wejść nie można. Jakub Pióro, właściciel fermi drobiu, podaje ubranie ochronne. Rygor surowszy niż na szpitalnym oddziale intensywnej opieki: kombinezon z kapturem i foliowe ochraniacze na buty do pół tygodni. Ubrania ochronne miesięcznie kosztują 6 tys. zł, bo każde jest na raz. Pióro otwiera drzwi do kurnika i w twarz bucha tropikalny upał. To klimat nieprzyjazny dla człowieka, ale dobry dla pisklaka bez mamy.

Żółte ptaki uciekają co sił w nogach. Nie wolno im robić zdjęć z fleszem, bo błysk je stresuje. Po chwili jakby akceptują przybyszy i zajmują się swoimi sprawami: ten się pożywia, tamten pije, inny leży na słomianym pellecie z głową ułożoną jakby na poduszce i śpi jak noworodek. Co chwila włącza się nagrzewnica sterowana komputerem, by utrzymać zadaną temperaturę – powyżej 34 st. C. W kurnikach, których właścicielem jest Jakub Pióro, dotrzymywane są – bo muszą być – wszystkie rygory, jakie narzuciła hodowcom Unia Europejska. A jest ich nieskończenie wiele. Na fermę we wsi Żebrak pod Siedlcami wciąż przyjeżdżają goście albo kontrolerzy: audytor z któregoś kraju unijnego albo polski, zajmujący się tym lub owym, delegacja odbiorców z zagranicy, przedstawiciele sieci gastronomicznej, dziennikarze... I wyjeżdżają mile zaskoczeni.

Jakub Pióro nigdy nie był na Ukrainie. A Jurij Kosiuk, właściciel firmy MHP, która jako jedyna ukraińska ma prawo eksportować kurczaki do Unii, nigdy nie zaprosił na swoją fermę hodowcy z Polski czy innego państwa unijnego, nie gościł żadnego audytora z Unii, nie przyjmował polskiego czy innego dziennikarza. Pióro potrafi na mapie Google odszukać fermę Kosiuka. Pokazuje duże skupiska kurników. W środowisku polskich producentów drobiu mówi się, że w tych dużych kompleksach na Ukrainie hoduje się kurczaki w klatkach (!) ustawianych piętrowo, żeby do kur-

FILET Z KURCZAKA KOŚCIĄ NIEZGODY

Ukraiński oligarcha hodujący brojlery pokazał, jak Unię i konsumentów nabić w butelkę



nika weszło więcej ptaków. W Polsce taki chów jest niedozwolony. W innych krajach Unii też. Jednak kurczaki Jurija Kosiuka trafiają na unijne stoły.

BIOASEKURACJA NADE WSZYSTKO

Zaczął się od babci. W latach 70., kiedy Jakuba i jego starszego brata Tomasza nie było jeszcze na świecie, prowadziła kurnik, na owe czasy ogromny, choć zajmujący ledwie 700 m kw. Ojciec Jakuba pomagał jej w pracy, ale to był raczej incydent, bo wkrótce założył firmę zajmującą się produkcją paszy dla drobiu. Z tych rodzinnych przedsięwzięć wyrosła pasja Jakuba i Tomasza, która stała się ich biznesem. Tomasz miał być bankowcem, ale po studiach zmienił zdanie. W 2007 r. postawił 10 kurników, każdy o powierzchni 2030 m kw., mieszczący 40 tys. kurcząt, i zaczął produkować brojlery. Jakub studiował zoologię w Siedl-

cach i pomagał bratu w prowadzeniu biznesu. W 2011 r., kiedy miał zaledwie 23 lata, dzięki kredytowi dla młodych rolników postawił pierwsze 10 kurników, nieco większych niż te brata, bo mających po 2400 m kw. i przeznaczonych dla 50 tys. kurcząt każdy. Cztery lata później dobudował kolejnych 10, każdy po 3000 m kw. i na 65 tys. ptaków.

Bracia samodzielnie prowadzą swoje fermę, ale traktują ją jako przedsięwzięcie rodzinne. Razem mają 7,5 ha powierzchni w kurnikach. – Prawie codziennie rano spotykamy się na kawie, rozmawiamy wtedy o problemach, podejmujemy strategiczne decyzje – wyjaśnia Jakub Pióro. – Właściwie moglibyśmy się pojawiać na fermach sporadycznie, bo mamy zespoły świetnych pracowników, ale babcia i ojciec nauczyli nas, że powinno się doglądać swojego biznesu. Na początku, kiedy jeszcze nie miałem dzieci, byłem na fermie codziennie, teraz staram się

choć jeden dzień weekendu mieć wolny i poświęcać go rodzinie. Syn ma sześć lat, córka półtora roku. Żona na razie zajmuje się wychowaniem dzieci, ale kiedy młodsze pójdzie do przedszkola, może będzie chciała pracować. Z wykształcenia jest pedagogiem, jak moja mama. Mówi się, że synowie wybierają żony podobne do matki, i w moim przypadku to się sprawdziło.

W przedsionku każdego kurnika mieści się jego serce – komputer sterujący klimatem. Wszystkie są połączone z pecetem w budynku obsługi. W kurnikach są kamery: jedna w przedsionku, po dwie we wnętrzu. Bez wychodzenia z budynku obsługi osoba dyżurująca widzi na dużych ekranach, co się dzieje w hali. Jeśli pisklaki są rozmieszczone równomiernie, wszystko jest w porządku, jeśli grupują się pod ścianami, to znak, że im za gorąco, a kiedy im chłodno, zbijają się w grupki. Pasza i woda są dostarczane automatycznie. Dzięki mechanizacji codzienna praca na fermie nie wymaga licznej obsługi – w kurnikach pracuje siedem lub osiem osób.

Jakub Pióro pilnuje, żeby przed wyjściem z hali zdjąć kombinezon i ochraniacze na buty i wrzucić je do specjalnego kosza. Potem zostaną zabrane do utylizacji. Pióro podkreśla, jak ważne jest przestrzeganie tych zasad, bo to chroni przed zanieczyszczeniem do kurnika jakiejś choroby. Bioasekuracja to podstawa. Ostatnio zainstalował w przedsionkach umywalki. Polskie przepisy tego nie wymagają, ale zalecają je normy jakościowe w Wielkiej Brytanii. – Normy UE dotyczące hodowli drobiu są chyba najbardziej rygorystyczne na świecie – podkreśla. – A jeśli chce się eksportować kurczaki np. do Wielkiej Brytanii czy Niemiec, trzeba spełnić jeszcze dodatkowe wymagania stawiane przez poszczególne kraje i zdobywać certyfikaty. Kiedy po raz pierwszy w ubiegłym roku przyjechał do mnie brytyjski audytor, ocenił moją fermę na 93 punkty na 100 możliwych. Powiedział, że takich kurników jeszcze nie widział, chociaż rocznie wizytuje 300 ferm. Gdy był u mnie po raz drugi po pół roku i zobaczył te umywalki, ocenił fermę na 97 punktów. Stwierdził, że nie zdarza się, żeby ktoś miał tak wysoką ocenę jak ja i jeszcze ją poprawił.

Liczba kurczaków w kurniku jest ściśle określona. Normy unijne, opracowane przez naukowców, przewidują, ile kurczaków może żyć na metrze kwadratowym kurnika. W kilogramach, a nie w sztukach. Są trzy kategorie: 33 kg ptaków na metr kwadratowy, 39 kg na metr kwadratowy i 42 kg na metr kwadratowy. Pióro wybrał środkową wartość. – Moim zdaniem nie ma sensu wstawiać więcej kur, bo wtedy mają mało miejsca do bytowania – tłumaczy. – Przy każdym pułapie są szczegółowo określone wymagania techniczne dla budynku. Przy górnej granicy na fermie są przeprowadzane dodatkowe kontrole.

Jakub Pióro, choć z dyplomem inżyniera zoologii Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach, uważa, że ciągle trzeba się kształcić. Siedleckie to region nie tylko znany z drobiarstwa, ale także obfitujący w zapaleńców, którzy za punkt honoru postawili sobie wymienianie się doświadczeniami i bycie

Jak długo bocznymi drzwiami do Unii będą wjeżdżały dziwne elementy, które stają się potem filedami?

na bieżąco, jeśli chodzi o nowe technologie i zmiany prawne. Ma temu służyć Stowarzyszenie Siedlecki Latający Uniwersytet Drobiarski, które powstało w 1999 r. Obecnie jego prezesem jest właśnie Jakub Pióro: – Organizujemy zjazdy stowarzyszenia, na które jako wykładowców zapraszamy najlepszych specjalistów z całego kraju. Uczestnicy otrzymują zaświadczenia o ukończeniu szkoleń. Uważam, że konkurencja na rynku drobiarskim zmusza do ciągłego doskonalenia.

CENA POMOCY

Pod koniec stycznia br. ubojnie płaciły za kilogram brojlera kontraktowanego od 3 do 3,40 zł, a na wolnym rynku od 3 do 3,20 zł. W ubiegłym roku cena spadła nawet poniżej 3 zł, co dla hodowców było sytuacją dramatyczną, bo koszt produkcji kilograma wynosi właśnie ok. 3 zł. Na tak niskie ceny skupu składa się wiele czynników, ale hodowcy uważają, że istotne znaczenie ma napływ mięsa drobiowego z Ukrainy, tańszego o 40%. Ta ogromna różnica wynika

z prostej przyczyny – tamtejsze hodowle nie spełniają norm narzuconych przez Unię Europejską wszystkim hodowcom ze Wspólnoty i spoza niej. Wszystkim, z wyjątkiem firmy MHP, która jest jedynym ukraińskim eksporterem mięsa drobiowego do Unii.

Kilka lat temu Ukraina i UE podpisały układ o stowarzyszeniu, obejmujący m.in. kompleksową umowę o wolnym handlu. Zanim jednak postanowienia układu weszły w życie, 20 lutego 2014 r. Rosja rozpoczęła wojnę hybrydową z Ukrainą. Dwa miesiące później, w ramach wsparcia dla Ukrainy, Parlament Europejski i Rada UE przegłosowały rozporządzenie, które dotyczyło obniżenia lub zniesienia ceł na towary z Ukrainy. Aby jednak ochronić się przed niekontrolowanym napływem tych towarów, wyznaczono bezcłowe kontyngenty. Jeśli chodzi o mięso drobiowe i jego przetwory, określono, że bez cła będzie mogło wjechać do Unii 16 tys. ton mięsa drobiowego

świeżego, schłodzonego lub zamrożonego i 20 tys. ton mrożonych tuszek. Wobec unijnej produkcji mięsa drobiowego na poziomie 10,06 mln ton wydawało się, że to kropla w morzu, bo import w ramach kontyngentu wynosił raptem 0,4% produkcji w UE.

Już w tym momencie Unia miała świadomość, że firma MHP, która otrzymała pozwolenie na eksport, nie spełnia jej norm. W umowie stowarzyszeniowej zobowiązano ukraińskiego eksportera, aby jednak starał się ich przestrzegać. Ale to by znacznie podniosło koszty i ukraiński drób już nie byłby tak konkurencyjny. Dlatego należało się spodziewać, że MHP tego nie zrobi. Unia nie ustaliła żadnych rygorów dotyczących jakości sprowadzanego mięsa, nie narzuciła też kontroli na ukraińskich fermach. Polityka wzięła górę nad dobrem konsumentów, którzy mają prawo wymagać, by każdy kawałek drobiu trafiający na ich stół spełniał wyśrubowane normy.

Obecnie w ramach umowy o wolnym handlu Ukraina ma prawo do bezcłowego eksportu do Unii 20 tys. ▶

► ton tuszek oraz 20 tys. ton mięsa drobiowego i przetworów. Ten drugi kontyngent był realizowany głównie poprzez eksport filetów drobiowych, które w Europie, również w Polsce, są najbardziej pożądaną częścią kurczaka, a zatem najdroższą i pozwalającą osiągać najwyższe zyski.

W umowie o wolnym handlu znalazł się zapis, że tzw. pozostałe części kurczaka, oznaczone kodem CN 0207 1370, Ukraina będzie mogła eksportować do Unii bez cła i bez ograniczeń. No bo jakież mogą być te pozostałe części, skoro nawet łapy – będące hitem w Chinach – mają swój kod. Grzebienie? Nikt się nie spodziewał, że ów zapis stanie się źródłem naciągania prawa. Ale potem ktoś – może sam oligarcha Jurij Kosiuk albo któryś z jego kształconych na zachodnich uczelniach dyrektorów – doznał olśnienia. Początkowo w ramach tego zapisu do Unii trafiały znikome ilości mięsa drobiowego. W 2016 r. były to 3823 tony. Ale od lutego 2017 r., kiedy w ramach kodu CN 0207 1370 sprowadzono 1084 tony, te ilości zaczęły rosnąć. W Unii zauważono, że pozakontyngentowe mięso od czerwca 2016 r. trafiało do Holandii, a od marca 2017 r. także na Słowację.

Okazało się, że jako „pozostałe” części kurczaka trafiają do Unii... filety z piersi. Jak to się dzieje? Ukraiński producent w swoich ubojniach dzieli tuszki w sposób absolutnie nowatorski, który jednak gwarantuje, że te elementy wjadą do Unii bez cła: wydziela się z tuszki część obejmującą dwie piersi pokryte skórą i kawałek każdego z dwóch skrzydeł. Aby

W 2017 r. do Unii trafiło 27,23 tys. ton mięsa drobiowego z kategorii „pozostałe”, które po uszlachetnieniu okazywało się filetami z kurczaka. W październiku 2017 r. po raz pierwszy mięso drobiowe opatrzone kodem CN 0207 1370 trafiło do Polski. Było to ok. 760 ton. W 2017 r. import tego mięsa do Polski wyniósł ok. 2290 ton, a przez 11 miesięcy 2018 r. – ok. 17,3 tys. ton. Nie wiadomo, czy były to legendarne piersi obciążone skórą i wzbogacone dwoma kawałkami skrzydeł, łatwe do przerobienia na filety. Jeśli tak, mięso musiało trafić do którejś ubojni w celu dokonania magicznej transformacji. Do której – nie wiadomo. Żadna polska ubojnia nie pochwaliła się, że taką działalność prowadzi.

W zeszłym roku w ramach kodu „pozostałe” do Unii wjeżdżało miesięcznie od 2,97 tys. do 5,57 tys. ton mięsa drobiowego. W sumie przez 11 miesięcy 2018 r. ten import wyniósł 48,41 tys. ton. Razem z importem w ramach kontyngentu daje to 88,41 tys. ton.

Już w kwietniu ub.r. organizacje producentów drobiu z Unii podniosły alarm, że w ramach importu mięsa drobiowego z Ukrainy odbywa się proceder, który pozwala przekraczać bez konsekwencji kontyngent bezcłowy. Do działań na rzecz uporządkowania tej sprawy włączyła się europejska organizacja producentów drobiu AVEC, do której należy polska Krajowa Rada Drobiarstwa – Izba Gospodarcza. Już wówczas dyrektor generalny KR D – Izby Gospodarczej Łukasz Dominiak przewidywał, że jeśli nie zostaną podjęte



kułuarach szepcze się, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to pewnie o pieniądze. Być może Ukraińcy zobowiązali się, że na korzystnych dla Unii zasadach sprowadzą np. luksusowe samochody. Kurczę błade z samochodem nie wygra.

CO SIĘ TAM DZIEJE?

Polska jest w Unii największym producentem mięsa drobiowego. W 2017 r. produkcja wynosiła 3,038 mln ton. Cały import mięsa drobiowego z Ukrainy stanowi zaledwie 2,9% polskiej produkcji. Czy nasi hodowcy powinni więc się przejmować tym importem? Jakub Pióro uważa, że tak. – Na Ukrainie nie ma takich zasad dobrostanu jak w Unii Europejskiej – mówi. – U nas praktycznie na każdym etapie produkcji są bardzo wysokie obostrzenia, nie możemy stosować pewnych specyfików. W Unii nie wolno karmić drobiu mączką mięsno-kostną, która jest najtańszym źródłem białka. Musimy sprowadzać z Brazylii soję, z której produkuje się pasze. Na Ukrainie kurczaki karmi się mączką mięsno-kostną. My stosujemy chów ściółkowy, a na Ukrainie

Unia nie ustaliła żadnych rygorów dotyczących jakości sprowadzanego z Ukrainy mięsa, nie narzuciła też kontroli na fermach.

te nietypowe części przeobraziły się w filety, ukraiński potentat kupił w Holandii, a potem również na Słowacji, zakłady, w których kości i skóra są usuwane i pozostaje czysty filet. Paczkowane filety otrzymują etykiety wskazujące, że ostatnim miejscem przetworzenia jest kraj Unii. Konsument może nawet nie zauważyć, że krajem produkcji była Ukraina – choć zapewne taka informacja gdzieś na etykiecie widnieje, choćby zakodowana albo napisana mikroskopijnym drukiem. A może i nie.

szybkie działania, Unię zaleją produkty z Ukrainy. Wydawało się, że wobec oporu unijnych producentów tę sprawę uda się szybko rozwiązać, np. przez wykreślenie z bezcłowego importu kategorii „pozostałe”, przy jednoczesnym zwiększeniu – co byłoby ukłonem w stronę Ukrainy – kontyngentu bezcłowego. Tymczasem do dziś ten problem nie został rozwiązany.

Nie wiadomo, skąd wynika opieka Unii w uporządkowaniu handlu mięsem drobiowym. W unijnych



Na manifestacji rolników 6 lutego pojawiło się hasło: „Filet z kurczaka z kością z Ukrainy prowadzi do zguby polskie rodziny”.

– Izby Gospodarczej. – Uważamy, że w obecnej sytuacji najkorzystniejsze byłoby wynegocjowanie z Ukrainą likwidacji tego kodu w ramach obrotu handlowego lub przypisanie do niego odpowiednich stawek celnych. Podjęcie działań w tej sprawie sugerowaliśmy ministrowi rolnictwa oraz przedstawiliśmy na arenie międzynarodowej. Wtedy bowiem import od razu stopnieje. Wysyłanie do Unii fileta z kością przestanie być opłacalne, jeśli produkt zostanie obłożony barierami celnymi. Pod koniec zeszłego roku Rada Unii Europejskiej przyznała Komisji Europejskiej mandat do renegocjacji umowy między Ukrainą a Unią właśnie w zakresie tego elementu. Dzięki temu Komisja Europejska może podjąć kroki zmierzające do jak najszybszego zlikwidowania obecnej luki w prawie. Warto podkreślić, że my walczymy nie o to, żeby zablokować Ukrainę, ale żeby ją nakłonić do przestrzegania unijnych zasad. Nie rozumiem, dlaczego Unia Europejska nie stosuje takich samych procedur wobec Ukrainy, jakie stosują np. Chińczycy wobec krajów, które chcą do nich eksportować mięso drobiowe. Polscy producenci muszą spełniać restrykcyjne wymogi, jeśli chcą wejść na tamtejszy rynek. Jeżeli Ukraińcy chcą eksportować do

można hodować kurczaki w systemie klatkowym – w jednym budynku może się znajdować nawet 300 tys. ptaków. Dla mnie to ze strony Unii działanie nielogiczne, że zezwalamy na wwóz towarów nieprzestrzegających norm.

– Drugim po Polsce producentem mięsa drobiowego w Europie jest Francja, która produkuje znacznie mniej od nas – 1,86 mln ton, kolejne miejsca zajmują zaś Wielka Brytania, Niemcy i Hiszpania – informuje Pióro. – Połowa naszej produkcji mięsa drobiowego trafia na eksport, m.in. właśnie do krajów Unii. Oczywiście kiedy nasza produkcja rosła i stanowiliśmy coraz większe zagrożenie dla zachodnich producentów, było wiele ataków na polski drób, ale żaden nie okazał się skuteczny. Bo my jesteśmy naprawdę konkurencyjni – produkujemy kurczaki najtaniej, jednocześnie zachowując wszystkie wymagane normy. Po prostu potrafimy to robić! Czy jest frustracja w środowisku polskich producentów drobiu z powodu importu z Ukrainy? Jest. Nas nikt w Unii nie traktował ulgowo, musieliśmy przestrzegać wszystkich norm jak producenci na Zachodzie. Nie boimy się walczyć o rynki z firmą z Ukrainy, ale pod warunkiem,

że będą ją obowiązywać te same zasady co nas.

Bo to trochę tak, jakby ścigało się dwóch maratończyków, ale jednemu kazano biec w szpilkach.

TROCHĘ OSZUKANI

Mięso drobiowe z Ukrainy, czy to w ramach kontyngentu, czy też poza nim, od pięciu lat wjeżdża do Unii. Ta,

Polityka wzięła górę nad dobrem konsumentów.

choć chce swoich mieszkańców karmić produktami spełniającymi najwyższe normy bezpieczeństwa, nie ma pojęcia, w jakich warunkach produkowany jest drób na Ukrainie. To nie w porządku wobec konsumentów. Mają prawo czuć się oszukani. I może by tak się czuli, gdyby mieli świadomość, że mogą trafić w sklepie na drób wymykający się jakiegokolwiek kontroli.

– Jako Krajowa Rada Drobiarstwa kilkakrotnie zwracaliśmy uwagę Komisji Europejskiej na mięso drobiowe o kodzie CN 0207 1370, będące przedmiotem importu z Ukrainy – mówi Łukasz Dominiak, dyrektor generalny Krajowej Rady Drobiarstwa

Unii, niech spełniają te same warunki co my, a nie idą drogą na skróty.

PROTEST

6 lutego do Warszawy zjechali producenci żywności. O godz. 9.30 ruszył pochód spod Pałacu pod Pałac – od PKiN do Pałacu Morskiego, zwanego Prezydenckim. Uczestnicy mieli także takie hasła: „Filet z kurczaka z kością z Ukrainy prowadzi do zguby polskie rodziny”, „Panie prezydencie, rolnictwo to nie talia kart. Tu się nie gra, nie blefuje, ale ciężko pracuje”.

Ewa Rogowska

ALARM DLA TELEFONU ZAUFIANIA

Połączenie z numerem 116 111 jest często kwestią życia albo śmierci dzieci i nastolatków. Od trzech lat rząd PiS nie daje na niego żadnych dotacji

Katarzyna Wierzbicka

– Zadzwoiła do nas dziewczynka próbująca popełnić samobójstwo; właśnie zażyła leki, popiła je alkoholem – opowiada psycholożka Lucyna Kicińska z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, prowadzącej telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111. – Powiedziała, że się boi, ale nie śmierci, bo była zdeterminowana, żeby ze sobą skończyć. Rodzice byli w domu, ale nie chciała prosić ich o pomoc. Leki zaczynały już działać, dziewczynka w końcu zasnęła, na szczęście przyjechały policja i pogotowie, bo w trakcie rozmowy podjęliśmy interwencję.

Z doświadczeń Lucyny Kicińskiej wynika, że podobne przypadki wcale nie należą do rzadkości: – Wśród dzwoniących do nas dzieci są takie, które właśnie podejmują próbę samobójczą. I nie chodzi o myśli, zastanawianie się, czy to zrobić, czy nie – to są leki popite alkoholem albo stojący na wiadukcie nastolatek, który skończyłby, gdyby się nie połączył.

Wynika z tego, że połączenie z prowadzonym przez fundację telefonem zaufania staje się często kwestią – dosłownie – życia albo śmierci. Dzwonią dzieci w różnym wieku, od kilkuletnich do wkraczających w dorosłość. Opowiadają o lęku, smutku, przemocy, zmęczeniu. Wspólny mianownik to osamotnienie.



Tymczasem od 2016 r. pozbawiona rządowych dotacji fundacja znalazła się w finansowej ślepej uliczce. Choć telefon 116 111 ma za sobą już 10 lat działania i ponad milion odebranych połączeń, jeśli nie znajdą się środki – linii grozi zamknięcie. Dla liczących na wsparcie telefonu tysiące dzieci oznaczałoby to ostateczną samotność.

BEZSIŁNOŚĆ

Powszechność problemów emocjonalnych polskich dzieci i nastolatków znajduje odzwierciedlenie w statystykach. Według badania samej fundacji, przeprowadzonego w zeszłym roku na ogólnopolskiej próbie 1155 dzieci w wieku 11-17 lat, aż 7% ma za sobą próbę samobójczą, a 16% okaleczało się. „72% nastolatków doświadczyło co najmniej jednej formy krzywdzenia, (...) 57% – przemocy rówieśniczej, (...) 41% – przemocy ze strony bliskich dorosłych”, wyliczają autorzy raportu. – Nie chodzi wyłącznie o nasze badania. Słabą kondycję psychiczną polskich dzieci i nastolatków potwierdzają cykliczne badania HBSC, a także

Eurostatu, według którego Polska jest na drugim miejscu pod względem udanych prób samobójczych dzieci i młodzieży – podkreśla Lucyna Kicińska. – A to tylko wierzchołek góry lodowej, bo według Światowej Organizacji Zdrowia na każdą oficjalnie odnotowaną udaną próbę przypada 100 do 200 nieodnotowanych. Czyli, przykładając to do statystyk z przełomu 2017 i 2018 r., prób samobójczych wśród dzieci było nie 730 czy 772, ale co najmniej 73-77 tys.

Choć na stronie poświęconej Narodowemu Programowi Ochrony Zdrowia Psychicznego Ministerstwo Zdrowia wspomina m.in. o upowszechnieniu psychiatrycznej opieki zdrowotnej czy wsparciu psychologiczno-pedagogicznym uczniów i rodziców, w Polsce nie istnieje skuteczny program pomocy psychiatrycznej, o profilaktyce nie wspominając. Na ponad 6 mln polskich dzieci przypada bowiem 416 psychiatrów. Dla osób z mniejszych miast połączenie z telefonem zaufania jest w praktyce jedyną realną szansą na konsultację z psychologiem.

Lucyna Kicińska: – Dzieci, które do nas dzwonią, to nie tylko ofiary przemocy domowej. Czasem ukrywają problemy przed rodzicami, bo nie słyszą od nich, że mogą na nich liczyć. Dlatego czują, że nie mają do kogo się zwrócić. I często jest to prawda – 44% szkół nie zatrudnia na etat psychologa. Zresztą nie jest

**Wesprzeć telefon zaufania
116 111
można, wpłacając
dowolną kwotę na stronie
wspierajtelefon.pl.**

tajemnicą, że szkolni psycholodzy czy pedagodzy najczęściej nie mają bezpośredniego kontaktu z uczniami. Nie może być inaczej, skoro psycholog jest jeden na kilkaset uczniów i tylko na kilkanaście godzin w tygodniu. Z kolei na wizytę u psychiatry czeka się w Polsce kilka miesięcy, podobnie sprawa się ma z bezpłatną terapią, której refunduje się tylko 10 spotkań. A przecież nastolatek zastanawiający się nad tym, czy nie odebrać sobie życia, potrzebuje natychmiastowej i długofalowej pomocy. O interwencji terapeutycznej na etapie poprzedzającym myśli i próby samobójcze nie ma nawet mowy. A prywatna terapia jest dla wielu osób w Polsce kosztem nie do przekroczenia.

– Dzwoniące do nas dzieci są często zniecierpliwione i sfrustrowane, również tym, że trudno się z nami połączyć – dodaje ekspertka fundacji. – Ci, którym się udaje, to tylko część wszystkich, którzy próbują; na każde odebrane połączenie przypada wiele takich, których nie mogliśmy odebrać, ponieważ wszystkie linie były zajęte. Nie wiemy, co się stało z tymi, którzy się nie dozwonili.

Oznacza to, że krusza kondycja psychiczna młodych Polaków jest poważnym i dość powszechnym problemem społecznym, a telefon zaufania – doraźnym i często jedynym dostępnym środkiem interwencji psychologicznej. Niestety, niewystarczającym – odkąd rząd cofnął dotacje, FDDS cienko przędzie, nie mówiąc o rozszerzeniu oferty telefonu zaufania.

– Nie mamy środków, żeby wydłużyć działanie telefonu na całą dobę, sfinansować szkolenia i nadzór nad pracą wolontariuszy czy zatrudnić dodatkowych konsultantów. Rząd wprowadzić nie twierdzi, że nasze działania są niepotrzebne, ale kiedy pytamy, dlaczego nie są ogłaszane konkursy na dotacje, zostajemy poinformowani, że rząd ma inne priorytety – albo zasłania się dofinansowaniem innego telefonu. Tylko że do finansowanej przez ministerstwo linii zadzwoniły 423 osoby poniżej 18. roku życia, a my pomogliśmy ponad 95 tys. dzieci i nastolatków – wyjaśnia Lucyna Kicińska.

Jest jednak jeszcze jeden ważny wyróżnik – poza 116 111 nie ma innego numeru telefonu zaufania adresowanego wyłącznie do dzieci i młodzieży. Prowadzona we współpracy

z Ministerstwem Sprawiedliwości Niebieska Linia skierowana jest do wszystkich ofiar przemocy w rodzinie.

Telefon zaufania to niejedyna forma działania istniejącej od ponad ćwierć wieku Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Organizacja prowadzi również akcje edukacyjne i wspierające, kampanie i badania. Kiedy w 2016 r. po raz pierwszy nie dostała dotacji z funduszu, którym dysponuje Ministerstwo Sprawiedliwości, resort podał jedno zdanie uzasadnienia: ofer-

wodawczą przewidującą karanie za »genderową edukację seksualną« jak za pedofilię».

Na pytanie PRZEGŁĄDU o dofinansowywane telefony zaufania dla dzieci i młodzieży, dotowane przez władze organizacje pozarządowe prowadzące takie telefony oraz przyczyny ewentualnego braku dofinansowania MSWiA powołało się na organizowane przez swój resort otwarte konkursy na realizację zadań publicznych w zakresie bezpie-

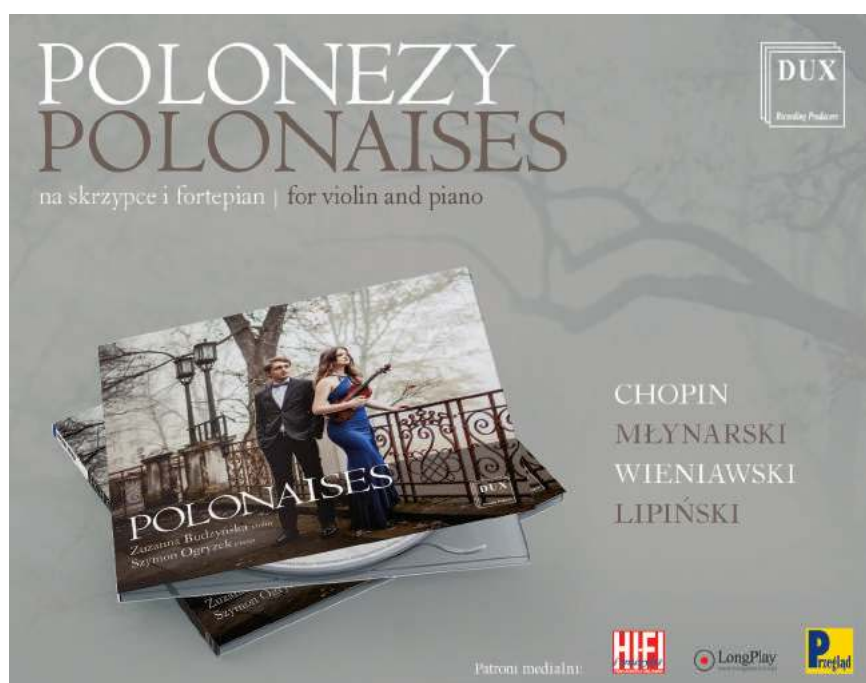
Telefon zaufania prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę jest jedynym numerem wyłącznie dla dzieci i młodzieży.

ta fundacji była „niekompleksowa”. – Mogę tylko się domyślać, że chodzi o to, że świadczona przez nas pomoc nie dotyczy wszystkich kategorii ofiar przestępstw – mówiła wtedy „Gazecie Wyborczej” prezeska FDDS Monika Sajkowska.

O fundacji zrobiło się głośno w 2015 r. w prawicowych mediach, które – jak podaje „Gazeta Wyborcza” – „zarzuciły jej, że »uderza w rodzinę« i »tworzy miękki grunt pod seksedukację«. Fundacja poinformowała bowiem, że co piąte dziecko jest wykorzystywane seksualnie, w większości zaś przypadków przez osoby sobie znane. Wcześniej skrytykowała przygotowaną przez Fundację PRO – Prawo do Życia inicjatywę usta-

czeństwa i porządku publicznego oraz przeciwdziałania patologiom społecznym. „W tym roku (...) dotację w wysokości 110 000 zł otrzyma Fundacja Itaka. Zadanie to dotyczy w szczególności prowadzenia ogólnopolskiego, bezpłatnego telefonu interwencyjnego w sprawie zaginionych dzieci – 116 000, a także udzielania pomocy rodzinom osób zaginionych, przede wszystkim w zakresie wsparcia psychologicznego i prawnego”, pisze Wydział Prasowy MSWiA. Rzecz w tym, że Fundacja Itaka i FDDS adresują swoją ofertę do dwóch zupełnie różnych grup.

Z kolei Ministerstwo Zdrowia od grudnia 2017 r. dofinansowuje Centrum Wsparcia (również prowadzo-



▶ ne przez Fundację Itaka), które prowadzi całodobowy telefon zaufania 800 70 22 22 dla osób w kryzysie. Telefon jednak nie jest adresowany wyłącznie do dzieci i młodzieży – od tej grupy konsultanci odbierają 36 połączeń miesięcznie, czyli znacznie mniej niż FDDS. „Natomiast łączna liczba połączeń z osobami poniżej 18 r. ż. wyniosła 466” – informuje MZ.

WYPARCIE

– Większość rodziców zakłada, że jeśli dziecko ma jakiś problem, to przyjdzie do nich po pomoc. A większość dzwoniących do nas nastolatków mówi o tym, że rodzice nic nie wiedzą. „Mama ciągle w pracy, wie pani, jak to jest w dzisiejszych czasach”. Ten milion połączeń to w końcu czyjeś dzieci – zwraca uwagę Lucyna Kicińska. – Czasami rodzice są nieświadomi, starają się, ale za mało ich jest w domu. A czasami chodzi o strach przed stygmatem „problemów psychicznych”, w Polsce wciąż bardzo silnym. Ci, którym dziecko, dzięki rozmowie z konsultantem, w końcu mówi o swoich problemach, natrafiają na ścianę.

O ile jednak bierność rodziców wynika często z nieświadomości, o tyle trudno nie odnieść wrażenia, że w kwestii kondycji psychicznej dzieci i nastolatków polski rząd konsekwentnie realizuje politykę wyparcia i zaprzeczenia.

– Narodowy Program Ochrony Zdrowia Psychicznego nie był w Polsce realizowany nigdy – twierdzi Lucyna Kicińska. – To, jak kruche są w tej chwili polskie dzieci, wynika z wieloletnich zaniedbań i ignorowania problemu przez kolejne rządy. Nawet jeśli dziś zaczyna się wprowadzać sensowne systemowe rozwiązania, na efekty trzeba będzie czekać co najmniej dekadę. A te dzieci potrzebują pomocy tu i teraz, nie mogą czekać. Ten telefon jest potrzebny, bo wypełnia ogromną lukę w systemie pomocy i wsparcia psychologicznego w naszym kraju.

Jedno jest pewne: im dłużej problem zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży w Polsce będzie spychany na margines, tym więcej należy się spodziewać prób samobójczych wśród dzieci i nastolatków.

Katarzyna Wierzbicka

Prof. Bogdan Góralczyk, znany szerszej publiczności ze swoich znakomitych, pogłębionych i zarazem doskonale klarownych komentarzy na temat spraw chińskich, opublikował dzieło pt. „Wielki Renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje”. Była o tej książce mowa w wywiadzie, jakiego Góralczyk udzielił PRZEGLĄDOWI, ale warto do niej wracać i niejeden raz. Zauważyłem, że w niektórych czasopiśmiech z niej się korzysta bez wymieniania tytułu i autora. Czułbym się zadowolony, gdybym był na miejscu prof. Góralczyka. Przecież nam, piszącym, o to chodzi, żeby nasze prace stały się własnością publiczną.

O którym „pokomunistycznym” kraju europejskim można powiedzieć, że zmiana ustrojowa, jaką przeszedł, była renesansem, a zwłaszcza wielkim? O żadnym i żaden tak swojej transformacji nie definiuje i nie nazywa. Ralf Dahrendorf dywagował kiedyś, czy zmiany ustrojowe w Europie Środkowo-Wschodniej były rewolucją, czy kontrrewolucją. Kwestia może wydawać się akademicka, ale w istocie jest praktyczna i ma konsekwencje polityczne i kulturowe. Nie jest rzeczą obojętną, czy obala się dany ustrój po to, by wprowadzić nowy, czy by przywrócić poprzedni, w tym wypadku przedsocjalistyczny czy „przedkomunistyczny”. Weźmy za przykład Polskę: w naszej transformacji istniał moment wahania, ostatecznie, jak widzimy, za główny cel obrała restaurację, odtworzenie stosunków własnościowych, symboli, systemu wartości, jaki panował przed „komunizmem”. Nasza część Europy nie miała i nie ma możliwości wzbogacenia swojej teraźniejszości i przyszłości renesansem, ponieważ w swojej przeszłości nie miała niczego, co posiadałoby siłę odrodzenia się w jakikolwiek sposób i co by na renesans zasługiwało. Nasza relatywnie krótka historia ma charakter ruchu ku lepszemu, okresy wsteczne miały miejsce, ale trwały niedługo. Inaczej przebiegała historia Chin. Bogdan Góralczyk wymownie objaśnia możliwość Wielkiego Renesansu. W wiekach, a raczej w tysiącletniach cesarskiego panowania Chiny posiadały cywilizację, jakiej nie znały inne rejony świata, czyniły wynalazki, które nas do dziś zdumiewają. Żeby pobudzić wyobraź-

nię potrzebną do objęcia tej historii i zilustrować ją jakoś, przypomnijmy sobie – bo prawie wszyscy coś o tym wiemy – ów dziw nad dziwy, jakim jest „armia terakotowa”. Do tej pory odślonięto 8 tys. figur wojowników, z których każda jest jakimś celowym szczegółem odmienna od pozostałych (i nieco wyższa od naturalnego wzrostu). Według przypuszczeń naukowców prace nad tym grobowcem trwały 36 lat, zatrudniały 700 tys. ludzi, którzy musieli być artystami lub doskonałymi rzemieślnikami. Według prostego objaśnienia „armia terakotowa” miała odzwierciedlać potęgę cesarza i przepych, jaki go otaczał. Niech to będzie niebotyczna próżność albo szaleństwo despoty, fakt, że tego dokonano, dowodzi niezwykle wysokiej cywilizacji. Naród, który w swoim poczuciu tożsamości ma taką cywilizację, został pokonany przez „barbarzyńskich” Europejczyków i możemy sobie wyobrazić upokorzenie, jakie cierpiał przez sto lat.

Nie jest łatwo zdać sobie sprawę z roli komunizmu w historii Chin. Najpierw była rewolucja chłopska, podczas której pojęcie „rewolucji” nabrało niemal mistycznej treści, stało się bezosobowym bogiem. Następnie w imię tego boga wprowadzono komunizm. Gdy wystąpiły trudności, Mao Zedong odpowiadał na nie taką lub inną nową rewolucją. „Wielki skok” ze swoim przysłówiowym wytapianiem stali w piecach zrujnował kraj i pociągnął za sobą śmierć dziesiątków milionów ludzi. Mao, który miał powody obawiać się, że będzie ukarany, wyszedł z trudności, ogłaszając nową rewolucję, „kulturalną”, kolejną katastrofę. Nigdy i chyba nikt nie cieszył się taką sławą na świecie wśród ludzi modnych, jak Mao w tamtym czasie. Honor intelektualistów ratował Leszek Kołakowski, pisząc: „dokumenty ideologiczne maoizmu i w szczególności pisma teoretyczne Mao (...) muszą wydawać się niezmiernie prymitywne i nieudolne, a często wręcz dziecinne; nawet Stalin wydaje się w tym zestawieniu tęgim teoretykiem”. Żywotność mitu rewolucji dotrwała do wielkich manifestacji na placu Tiananmen, o których tyle się naczytaliśmy, iż nam się zdaje, że wszystko wiemy. Góralczyk pisze, że władze nie paliły się do zastosowania przemocy i prowadziły rozmowy

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

CHINY — RENESANS I MODERNIZACJA

z przedstawicielami manifestantów, jak pokojowo wyjść z trudnej sytuacji. Liu Xiaobo, niedawno zmarły laureat pokojowego Nobla, o którym jeszcze przed Noblem pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE, grający na placu jedną z czołowych ról, był skłonny do ugody, ale więcej poparcia zdobyli zwolennicy rozlewu krwi: „dopiero wtedy, gdy dojdzie do rozlewu krwi na Placu, mieszkańcy Chin wreszcie otworzą oczy”. Ile tej krwi się polało?

Sto lat „smuty” spowodowanej agresją Europejczyków, w szczególności Anglików, nieprędko zatrze się w chińskiej pamięci.

Według wiarygodnie sprawdzanych badań w okolicy placu Tiananmen zginęły 202 osoby, 49 zostało rannych. Pierwsze dane Czerwonego Krzyża mówiły o 3 tys. Następnego dnia po tym, jak samochody opancerzone wjechały na plac, angielski ambasador raportował, że ofiar śmiertelnych było 10 tys. Kwestią sporną pozostaje, czy na placu zginęła jedna osoba, czy nikt nie zginął. Mógł zginąć, jeśli jeden namiot nie został w porę usunięty przez manifestantów i ktoś w nim mógł być. Liu Xiaobo twierdził, że wszystkie namioty zostały usunięte i nikt na placu nie zginął. Nie przeszkadza to temu, że Tiananmen jest i będzie symbolem krwawej rozprawy z pokojową manifestacją żądającą wolności. Istotnie było tam pragnienie wolności, ale jeśli chodzi o konkretne protesty, to zwracały się one przeciw pierwszym skutkom liberalizacji gospodarki, inicjowanej i przeprowadzanej przez Denga, którego Bogdan Góralczyk

uważa za najważniejszą postać po Mao i jego konsekwentnego przeciwnika. Według tego, co czytamy w „Wielkim Renesansie”, jest to postać niezwykła, zadziwiająca. Jego przekonania i linię polityczną, jaką przyjął, można wyrazić krótko: liberalizm gospodarczy – tak, demokracja liberalna – nie. Nic dziwnego, że nie miał wahań, gdy chodziło o rozpędzenie manifestacji. Wśród potęg i protestów idących od świata

nie tylko zachodniego dał się słyszeć jeden głos w obronie Denga, może nie w obronie, bo sformułowany został agresywnie, jak atak na jego przeciwników. „Ojciec cudu singapurskiego”, wielki autorytet w Azji, powiedział brutalnie: „Rozumiem Deng Xiaopinga, kiedy mówił (proszę o zapamięcie pasów – B.Ł.), że jeśli trzeba zastrzelić 200 tys. studentów, to ich zastrzelcie, bo alternatywę stanowią Chiny pogrążone w chaosie przez kolejnych sto lat... Bez Denga w Chinach doszłoby do załamania”.

Sto lat „smuty” spowodowanej agresją Europejczyków, w szczególności Anglików, nieprędko zatrze się w chińskiej pamięci. Jeżeli Mao nie został potępiony jak Stalin i nadal uchodzi za wielkiego bohatera, a jego portrety wiszą w reprezentacyjnych miejscach, to głównie z tego powodu, że z jego osobą wiąże się odbudowanie państwa chińskiego.

Wielki Renesans łączy się w Chinach z wielką modernizacją, spadek

komunistyczny z kapitalizmem. Rządzi partia z nazwy komunistyczna, ale czym jest ten komunizm? Góralczyk cytuje przedstawiciela chińskiej finansjery, który powiedział: my decydujemy, co jest komunizmem. „Socjalizm czy kapitalizm? Tertium Datur”, napisał Grzegorz W. Kołodko, uważnie w Chinach słuchany. Dodam za Góralczykiem, że pierwszym polskim ekonomistą zapraszającym do narad nad reformą gospodarczą był Włodzimierz Brus. Do opisanego Państwa Środka w jego dzisiejszym stanie potrzebne są pojęcia Heglowskie, takie jak „synteza”, lub zawilsze, jak *Aufhebung*, inaczej mówiąc myślenie dialektyczne.

W książce Góralczyka ciekawy jest analityczny opis tarć i walk na szczytach władzy, które stopniowo wyzwoliły gospodarkę i społeczeństwo z rewolucyjnej tyranii, której symbolem i sprawcą był Mao. Pod pozorem monolitu w kręgu władzy istniało zróżnicowanie poglądów i coś w rodzaju społeczeństwa obywatelskiego.

Pomijam z konieczności w tym artykule wiele dla autora ważnych tematów. Na zakończenie przytoczę za nim słowa Francisa Fukuyamy z jego dzieła „Ład polityczny i polityczny regres”: „Uważam, że państwo, które wyłoniło się w Chinach w okresie od początku reform w roku 1978, jest bardziej podobne do tego klasycznego chińskiego państwa sprzed 2 tys. lat niż do maoistowskiego, które je poprzedzało”. Jednak i to ostatnie nie zostało całkowicie przekreślone, ponieważ Chińczycy są inteligentni.

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT

Utwór Niemena wraca za każdym razem, gdy w Polsce dzieje się coś tragicznego, trudnego, podniosłego



Sięgał po jazz-rock, rock progresywny, psychodelię i muzykę elektroniczną.

Rafał Piłkuła

W bibliotekach zazwyczaj panuje spokój i skupienie. W samo południe 15 stycznia czytelniczą ciszę Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie przerwał głos Czesława Niemena. Zebrani na środku gmachu studenci, wykładowcy i pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego wysłuchali piosenki „Dziwny jest ten świat”, oddając hołd zmarłemu dzień wcześniej prezydentowi Gdańska, Pawłowi Adamowiczowi. Nagranie z tej wzruszającej chwili trafiło do sieci i dzięki mediom społecznościowym obejrzało je setki tysięcy osób. Dla wstrząśniętych tragedią dzieło Niemena stało się – obok pięknie wykonanego na Długim Targu w Gdańsku utworu „Sound of Silence” – hymnem tamtych wydarzeń. Studenci podkreślali, że piosenka, a szczegó-

nie ostatnia fraza – „lecz ludzi dobrej woli jest więcej” – napawała optymizmem i dawała nadzieję.

„Dziwny jest ten świat” to zdecydowanie najbardziej znana kompozycja Czesława Niemena; poetycka opowieść o okrutnym świecie, w którym „ktoś słowem złym zabija tak, jak nożem”, ale ten świat nie zginie dzięki ludziom dobrej woli. To oni mają sprawić, że będziemy potrafili „nienawiść zniszczyć w sobie”.

Pisząc tę piosenkę w 1967 r., Niemen nie znał takich pojęć jak mowa nienawiści, nie walczył politycznie, nie protestował (określenie protest song wobec utworu przyjęło się później), ale dokładnie wiedział, jakie przesłanie chce wyśpiewać.

W wywiadzie, jakiego udzielił Polskiemu Radiu tuż po festiwalu Opolu '67, na którym zdobył główną nagrodę właśnie za wykonanie „Dziwny jest ten świat”, wyjaśniał: – Nigdy

nie zastanawiamy się nad tym, że możemy się zabijać słowami. Tu jest taki tekst: „często zdarza się, że ktoś słowem złym zabija tak, jak nożem”. A jednocześnie jest to manifest, wiara w ludzi. O tym mówi ostatnie zdanie „nadszedł już czas, najwyższy czas nienawiść zniszczyć w sobie”.

„Dziwny jest ten świat” trafił do akademików, na prywatki, stał się balladą ogniskową i protestacyjną. Niemen zdobył serca młodzieży i... niechęć krytyków. Recenzenci zarzucali mu zbyt dużą emfazę, tanie efekciarstwo, a nawet – jak prof. Kazimierz Rudzki – brak talentu.

Także później nie brakowało prób zdyskredytowania artysty. Można wręcz powiedzieć, że im bardziej był przez fanów kochany, tym bardziej oficjele próbowali złamać jego karierę. Szedł przez życie bezkompromisowo i odważnie, choć jego styl bycia odbiegał od tego, jak żyli ów-

części gwiazd rocka. Niemen był spokojny, elegancki, zdystansowany, świadomy; żył skromnie, nie pił alkoholu, od pewnego momentu nie jadł w ogóle mięsa. Długo mieszkał w hotelu, potem w 20-metrowej kawalerce. Nie urządzał libacji, nie ciągnęły się za nim skandale. Można o nim powiedzieć, że był charyzmatycznym rockmenem o osobowości mnicha. Gdyby żył, kończyłby właśnie 80 lat.

SŁOWIAŃSKI KOSMOPOLITA

Urodził się jako Czesław Juliusz Wydrzycki 16 lutego 1939 r. w Starych Wasiliszkach koło Grodna, na dzisiejszej Białorusi, w rodzinie polskich osadników (mieli przybyć na tereny białoruskie w XV w.). Dorastał w multikulturowym, kresowym świecie – jako dzieciak śpiewał po rosyjsku i ukraińsku, chadzał na spacer do pobliskiej tatarskiej wioski. Przeżył słowiańszczyznę, która tkwiła w nim nawet w czasach, gdy stał się gwiazdą międzynarodowego formatu. – Całe życie wychodzi ze mnie ta białoruskość, chociaż Białorusinem nie jestem – przyznawał w wywiadzie udzielonym Hannie Marii Gizie w 1999 r. – Chodzi mi o regionalizm, moją wrażliwość na dary natury, w tym na muzykę, śpiew tamtych ludzi, którzy muzykę czuli, nie musieli się jej uczyć.

Im bardziej był przez fanów kochany, tym bardziej oficjele próbowali złamać jego karierę.

Chodził do rosyjskiej szkoły, ale polskiego uczył się z książek w domu. Czytał na przemian Lermontowa i Norwida, Puszkina i Mickiewicza. Rodzina kochała śpiew i pielęgnowała miejscowe tradycje. Już jako nastolatek Czesiek organizował miejscowy chór. Od samego początku żył muzyką.

Gdy trafił do grodzieńskiego liceum pedagogicznego, bardziej niż nauka interesowała go natura. Potrafił uciekać z lekcji, by siadać nad Niemnem i wpatrywać się w nurt rzeki. Do tych widoków wracał pamięcią przez lata – mówił o sobie, że jest regionalny, ale nie narodowy. Czuł w sobie pierwiastek słowiański, ale ciekaw był szerokiego świata. Pod koniec życia kolekcjonował płyty

z Bali i Indii, interesował się duchowością Wschodu.

W 1958 r. rodzina Wydrzyckich wyjechała ze Związku Radzieckiego i osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych. Piosenkarz miał wtedy 19 lat. Trafił do gdańskiego liceum muzycznego, do klasy fagotu. Równocześnie występował w teatrach studenckich, kabaretach i gdańskim klubie Żak, śpiewając po hiszpańsku i polsku piosenki latynoamerykańskie, akompaniując sobie na gitarze. Tam dojrzywał muzycznie. Zadebiu-

Pisząc „Dziwny jest ten świat”, Niemen nie znał takich pojęć jak mowa nienawiści, nie walczył politycznie, nie protestował.

ował w latach 60. – Dla mnie to było objawienie – wspominał później tamten okres Michał Urbaniak, muzyk jazzowy. Wkrótce promotorem artysty stał się Franciszek Walicki. Zorganizował muzykowi trasę po Francji i wtedy pojawił się problem. – Francuzi nie będą potrafili wymówić twojego nazwiska, Wydrzycki – przekonywał. Zaproponował pseudonim od ukochanej rzeki artysty i tak w 1963 r. narodził się Czesław Niemen. Muzyk osobny, buntownik, ikona.

Wyróżniał się na scenie. Nie tylko manierą i kolorowymi strojami, ale przede wszystkim tym, jak i co śpiewał. Po latach spędzonych w zespole Niebiesko-Czarni i wykonywaniu la-

występów przeplatał muzyczne kawałki recytacją wierszy. – Na moich koncertach w latach 70. było tak, że przy rozszałym tłumie młodzieży brałem do ręki tomik „Pana Cogito”, zaczynałem czytać i śpiewać. Zapadała konsternacja, ale tak właśnie było – opowiadał po latach.

Jednak to nie autor „Raportu z obłożonego miasta” będzie najważniejszym poetą w muzycznym życiu Niemena. Na zawsze skojarzona z nim zostanie liryka Cypriana Kamila Norwida. Do dziś za majstersztyk

uchodzi interpretacja wiersza „Bema pamięci żałobny rapsod”, której pomysł podsunął Wojciech Młynarski. Sam Niemen po latach mówił: – Ziarno Wojtki zakiełkowało w mojej wyobraźni natychmiast (...). „Bema pamięci żałobny rapsod” wykonaliśmy w grudniu po raz pierwszy na koncercie z okazji wręczenia złota za „Dziwny jest ten świat”. W wypełnionej po brzegi Sali Kongresowej w Warszawie zapanowało milczenie. W lutym 1969 r. zapakowaliśmy instrumenty do pociągu i pojechaliśmy szukać szczęścia pod niebem Italii.

Fascynacja Norwidem splata się w czasie ze zmianą nazwy zespołu na Niemen Enigmatic i wydaniem płyty „Enigmatic”. Niemen włącza do swojej twórczości dominujące w światowej muzyce rockowej prądy: pomieszczenie rocka psychodelicznego z symfonicznym rockiem progresywnym i muzyką elektro-niczną. Tworzy indywidualny, charakterystyczny styl. A to wszystko do słów wielkich polskich poetów. Obok Norwida jest twórczość Adama Asnyka, Tadeusza Kuźbika i Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

Nad krążkiem pracuje śmietanka jazzowego i rockowego świata, m.in. Czesław Bartkowski (perkusja), Zbigniew Namysłowski (saksofon altowy), Zbigniew Sztyc (saksofon tenorowy), Michał Urbaniak (saksofon tenorowy, flet), Tomasz Jaśkiewicz (gitara), Janusz Zieliński (gitara basowa), a także grupa wokalna Alibabki i chór pod kierunkiem Romualda Miazgi.

Niemen winduje muzykę rozrywkową na wysoki poziom. Radio gra ▶

tynoskich, nieco infantylnych piosenek odnalazł swoją muzyczną drogę w zespole Chochóły, który potem zmienił nazwę na Akwarele.

Zainspirowany hipisami, Beatlesami, czarnym soulem, mając w zanadrzu jeszcze swoją białoruskość, bawił się artystycznie i szukał form wyrazu. Sekcje smyczkowa, dęta, ukochany fagot, chórki; liryczne „Wspomnienie” do słów Tuwima, monumentalny „Dziwny jest ten świat”... Tak powstała kultowa dziś płyta.

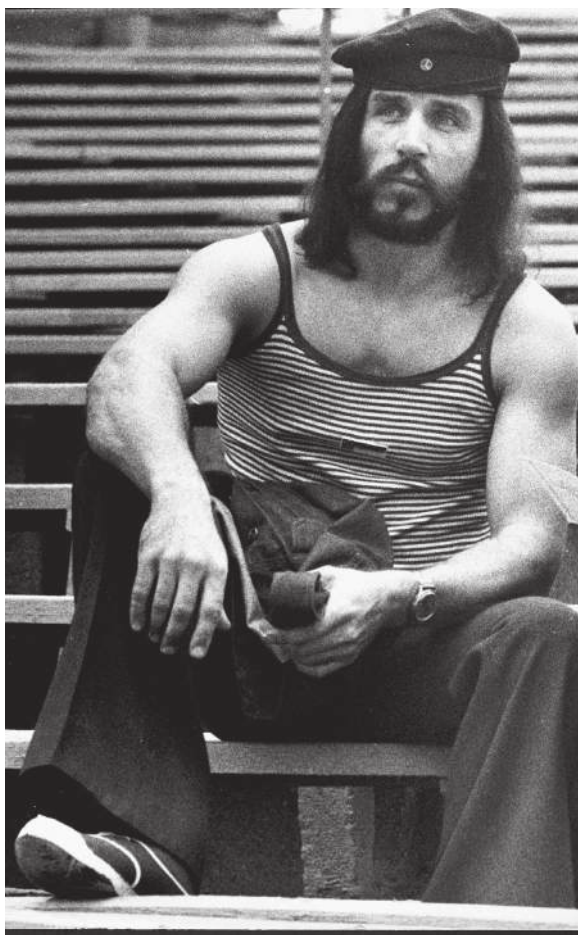
MUZYCZNY WIESZCZ

Niemen nie bał się mocnego, poetyckiego przekazu. Ponoć już podczas pierwszych studenckich

► poezję, a młodzież ubóstwia liryczne frazy w rockowo-jazzowej aranżacji – dziś coś takiego jest nie do pomyślenia!

Jak zauważył dr Piotr Chlebow-ski, badacz twórczości Niemena i Norwida, epicki rozmach, jaki Niemen nadał swoim utworom, diametralnie zmienił podejście do płyty jako formy wypowiedzi. „Mamy tu przecież do czynienia z kompozycją nawiązującą i do żałobnego marsza, i do tradycji oratoryjnej, ale również cała rzecz jest silnie osadzona w stylistyce rockowej i jazz-rockowej, także solowej, głównie dzięki ekspresywnej interpretacji wokalne. Od tej chwili (czyli od roku 1969) w Polsce album rockowy czy też rockowo-jazzowy stał się pewną zwartą całością, rodzajem muzycznej opowieści, a nie zbiorem luźnych, dość banalnych piosenek. Zaistniał jako semantyczna całość słowa i muzyki”, podkreślał badacz w czasopiśmie „Studia Norwidiana”.

Niemen podporządkował warstwę muzyczną warstwie lirycznej. Poetyka wiersza zdeterminowała dźwięk i sposób wykonania. Michał Głowiński, niestrudzony badacz



Na koncertach w latach 70. brał do ręki tomik „Pana Cogito”, zaczynał czytać i śpiewać.

pisma „Nasza Legia”. – Pomyśl ze „Snu o Warszawie” wpadł mu do głowy za kierownicą. Usłyszał utwór Niemena w radiu i pomyślał, że pięknie byłoby stworzyć z niego pieśń stadionową – mówił „Stołecznej” Wojciech Hadaj, były spiker Legii.

Debiut „Snu o Warszawie” przypadł na mecz z Odrą Wodzisław 12 marca 2004 r., dwa miesiące po śmierci Niemena. Na początku kibice niekoniecznie garnęli się do śpiewu, ale wydrukowanie tekstu w klubowym piśmie i jego dystrybucja sprawiła, że fani otworzyli się na śpiew. Dziś „Sen o Warszawie” zaczyna każdy mecz Legii. Niemen w wykonaniu 30-tysięcznego tłumu robi niezwykle wrażenie, niezależnie od tego, czy lubimy piłkę nożną lub kibicowską subkulturę.

Czy Niemenowi podobałoby się śpiewanie „Snu” przez kibiców? Wydaje się, że abstrahując od sympatii piłkarskich i stosunku do środowiska powiązanego z chuliganerią, byłby pod wrażeniem monumentalności wykonania, wszak uwielbiał pompę i oryginalność. „Snu o Warszawie” zazdrościłby legionistom kibice z całej Polski, ale piosenka jest też dziś nieoficjalnym hymnem młodego pokolenia warszawiaków. Sam Niemen kochał stolicę i już wcześniej śpiewał

Kompletnie nie pasowałby do dzisiejszego show-biznesu.

literackich narracji, zwracał uwagę, że muzyczna warstwa „Bema pamięci żałobnego rapsodu” Niemena ma charakter wybitnie literacki – pewne treści czy sensy literackie są, w taki czy inny sposób, sugerowane przez samo dzieło muzyczne.

Ewenementem była już długość utworu: 16 minut i 28 sekund, z czego aż pięć minut to chorał powtarzający *credo* Hannibala otwierające wiersz Norwida. Interpretacja poety, ale także cała płyta „Enigmatic”, była koronnym dowodem wrażliwości literackiej muzyka, jego niewątpliwego talentu literackiego. W tym kontekście coraz bardziej śmieszą wypowiedziane ledwie dekadę wcześniej słowa prof. Rudzkiego, jakoby Niemen kompletnie nie znał i nie rozumiał polskiej poezji.

WARSZAWIAK Z ZAMIŁOWANIA

Kolejnym monumentalnym i legendarnym utworem w repertuarze

Niemena był „Sen o Warszawie”. Co ciekawe, powstał telefonicznie w 1966 r., bez większego zaangażowania. – Dyktowałem Niemenowi tekst przez telefon. Nagrywał we Francji płytę dla słynnego kompozytora Michela Colombiera. Nie spodziewanie zadzwonił z prośbą, bym napisał dla niego tekst. O Warszawie – wspominał Marek Gaszyński, który był przekonany, że piosenka nie

Był charyzmatycznym rockmenem o osobowości mnicha.

będzie hitem. I faktycznie nim nie była. Niemen na koncertach czasem „Sen o Warszawie” śpiewał, czasem o nim zapominał; nie był to utwór priorytetowy. „Sen” rozgłos zdobył dopiero po śmierci muzyka za sprawą kibiców Legii Warszawa. Na Łazienkowską Niemen trafił przypadkiem, dzięki nieżyjącemu już Wiesławowi Gilerowi, który był wielkim fanem stołecznej drużyny, twórcą

skomponowaną przez Mieczysława Fogga „Piosenkę o mojej Warszawie”. Stolica była miejscem, które świadomie wybrał i w którym się realizował. Na stołecznych Powązkach też spoczął.

POGODNY PACYFISTA

Mówiąc o pogodnym usposobieniu Niemena, wymienia się „Dziw-

ny jest ten świat", ale to niejedyny utwór, w którym artysta opowiadał się za pokojem i harmonią. W popularnej swego czasu „Terra Deflorata” śpiewał: „Dajeś nam Panie sny bezpieczne, schroniłeś przed zatrącią, (...) dajeś nam Panie nad bogactwa dar powszedniego chleba”. Dzieło, na wskroś religijne (choć trudno uznać Niemena za wzorcowego katolika), było kolejnym peanem na cześć ziemskiego raju, wprowadzie zagubionego przez człowieka, ale wciąż możliwego do odnalezienia. Podobnie jest w Niemenowskiej interpretacji „Ośmiu błogosławieństw”, w piosenkach „Pokój” (kończą ją słowa: „Przeprowadzam rozbrojenie!”), „Smutny ktoś i biedny nikt” („Ten, kto chce zostać Nikim, słucha jego muzyki, słucha, potrząsa głową, odkłada broń gotową”) czy „Postscriptum” („każde ziarno ziemi żdźbło niewinne”).

NIEŚMIERTELNY

Niemen kompletnie nie pasowałby do dzisiejszego show-biznesu. Jego muzyka byłaby zbyt trudna, wymagająca, a teksty zbyt wyrafinowane, niemal patetyczne. Mimo wszystko przekaz jego twórczości wciąż jest ważny i aktualny. „Dziwny jest ten świat” wraca za każdym razem, gdy w Polsce dzieje się coś tragicznego, trudnego, podniosłego. Niemen jest nieśmiertelny, bo też nie da się go zastąpić. Dziś trudno zaaranżować jego repertuar na nowo. Po prostu większość utworów bez tego twórcy nie istnieje.

W 1999 r., w ostatnim wywiadzie dla Polskiego Radia Czesław Niemen mówił: – Wszystko wokół mnie jest takie niepojęte, nie można tego nie dostrzec. To jest coś, co wyzwala zachwyt. Pracuję nad taką piosenką, która będzie miała tytuł „Piękny jest ten świat”, ale to nie będzie szlagier. Będzie to tylko określenie w sposób lapidarny, tak jak w tym dziwnym świecie napisałem, że człowiek nie odkrył świata, nie odkrył jeszcze jego piękna, dlatego bezmyślnie postępuje. To jest takie przesłanie.

Utwór ostatecznie nie powstał, ale całą twórczością Niemen sprawił, że świat chociaż trochę jest piękny.

Rafał Piłkuła

Każde pokolenie ma „własnego Niemena”

Niemen to pierwszy heros polskiego rocka i ostatni bohater romantyczny

Jan Bińczycki

Zainteresowanie twórczością Czesława Niemena 15 lat po jego śmierci nie słabnie. A wiele wskazuje, że dla kolejnych pokoleń słuchaczy będzie on, choć w inny sposób, równie ważny jak dla ich rodziców i dziadków. Jego dokonania znacznie przerastają szlagierową popularność i skądinąd piękną legendę o natchnionym chłopcu z białoruskich Starych Wasiliszek.

Popularność Niemena trudno zmierzyć za pomocą konwencjonalnych środków. Można przytoczyć liczne tytuły książek i artykułów, przeglądać aktywność na forach internetowych i w fanklubach (oprócz polskich są m.in. rosyjskie), próbować policzyć koncerty wykonawców sięgających do Niemenowskiego repertuaru. Co roku odbywają się niemenologiczne zloty (najbliższy 28-30 czerwca 2019 r. w Białogardzie) i spotkania fanów w kraju i za granicą. Słupski Festiwal Młodych Talentów (do tej pory 13 edycji) odbywa się pod hasłem „Niemen non stop”.

Był artystą odrębnym. Jednocześnie nowoczesnym i tradycyjnym, wręcz swojskim.

Imię Czesława Niemena noszą szkoły we Włocławku, w Warszawie, w Strzelcach Opolskich i w Świebodzinie, gdzie w 2009 r. odsłonięto rzeźbioną ławkę. Można się przysiąść i spojrzeć na świebodziński rynek z perspektywy pieśniarza, oprócz o pięciolinię, która zdobi oparcie. To prosta i komunikatywna metafora tego, co daje słuchaczom obcowanie z piosenkami Niemena. Podziw dla bogatych aranżacji i ogromnej wra-



Mówił o sobie, że jest regionalny, ale nie narodowy.

liwości artysty, ale również osobistą, niemal familiarną więź. Pomniki stoją też w Opolu i w Kielcach. Trwa zbiórka na kolejną figurę, tym razem w Białogardzie, do którego zawiodły go wraz z rodziną losy powojenne repatrianta. W rodzinnych Starych Wasiliszkach na Białorusi działa

muzeum poświęcone młodym latom pieśniarza i dziejom rodziny Wydrzyckich. W Warszawie, pod kuratelą wdowy po artyście, działa fundacja zajmująca się reedycjami płyt i popularyzacją jego wartości. Niemen patronuje kilkunastu ulicom i placom w całej Polsce, pojawia się na muralach, numizmatach, w filmach i serialach (często w roli samego siebie), w piosenkach innych wykonawców (choćby u Pablopavo). Wielkie

► wrażenie robi evergreen „Sen o Warszawie” w aranżacji na tysiące gardeł kibiców stołecznej Legii.

Tego rodzaju hołdy i upamiętnienia nie zawsze trafiają we wrażliwość, jaką reprezentował ich obiekt. Nierzadko budziły także sprzeciw bliskich artysty. W delikatnych sprawach nie należy wydawać arbitralnych wyroków, lecz można zaryzykować tezę, że niezależnie od efektu i odbioru wszystkie zabiegi upamiętnienia wypływają ze szczerzej potrzeby.

Piosenki Niemena trwale zapisały się w polskim kodzie kulturowym. Weszły do muzycznych kanonów, stały się dobrem narodowym. Ale to nie popularność wyrastająca z sentymentalnego przywiązania do autora przebojów, lecz pamięć o jednym z ojców naszego rocka.

SOUL ZE WSCHODNIM ZAŚPIEWEM

Nowoczesna polska muzyka popularna powstawała w nieprzychylnych warunkach historycznych. Utożsamiana z zachodnią popkulturą nie mogła się rozwijać w pełni swobodnie. Decydenci od kultury krzywo patrzyli na importowanie wzorów z drugiej strony żelaznej kurtyny. Podejmowano próby stworzenia polskiego modelu muzyki młodzieżowej – jednocześnie atrakcyjnego i osadzonego w lokalnych kontekstach. Zespoły „mocnego uderzenia”

Wiele wskazuje, że dla kolejnych pokoleń słuchaczy Niemen będzie, choć w inny sposób, równie ważny jak dla ich rodziców i dziadków.

usiłowały godzić „słowiańską” ludową estetykę z zachodnimi trendami. Najczęściej z niezbyt szczęśliwym rezultatem. Niemen, wychowany na folklorze dawnych kresów Rzeczypospolitej, polskich i białoruskich tradycjach, niczego nie musiał udawać. Wszedł na estradę z naturalną charyzmą, słuchem do nowoczesnych trendów i jednocześnie niepodrabialnym wschodnim zaśpiewem. Zaczynał z Niebiesko-Czarnymi – od przebojowych rock and rolli i beatlesowskich z ducha ballad. Największą chwałę przyniosły mu utwory utrzymane w konwencji rhythm and bluesa i soulu. Przydawał „czarnej” muzyce zupełnie nowych walorów.



W Związku Radzieckim był wręcz czczony jako ambasador zwalczanego przez władzę rocka. Nz. ze Zdzisławą Sośnicką i Marylą Rodowicz.

Najlepszym przykładem może być pierwszy polski rockowy protest song „Dziwny jest ten świat”. Melodia kojarząca się z przebojem Jamesa Browna, wielkie emocje, potężny głos we frenetycznych soulowych rejestrach, w którym wyraźnie czuć słowiańską nutę. Polska publiczność

portret Niemena stworzył też Marek Piwowski w filmie „Sukces”, ukazując prace nad płytą zespołu Niemen i Akwarele. Krótkometrażowy dokument zawiera wyrwane z kontekstu wypowiedzi, ujęcia kręcone „od dołu” i sceny, które świadczą o karykaturalnych zamiarach reżysera, jak uchwycone ukradkiem picie wody prosto z syfonu. Trudno dziś rozstrzygnąć intencje Piwowskiego, być może starającego się uwypuklić to, co u Niemena było najbardziej egzotyczne i „artystowskie” – oryginalne stroje inspirowane stylem hipisowskim i polskim folklorem, świadomość własnej charyzmy połączoną z pewną dozą naiwności. W efekcie powstał obraz, który wpisał się w medialną panikę wokół artysty.

Niemen szybko wyrósł z roli piosenkarza. Miał ogromne ambicje. Do rockowego repertuaru dochodził stopniowo i świadomie. Zaczynał od piosenek iberyjskich i rosyjskich. Na rock zdecydował się dzięki namowom Franciszka Walickiego. Na tle koleżanek i kolegów z estrady wyróżniał się także świadomością i tym, że sam tworzył śpiewane przez siebie

nigdy wcześniej nie obcować z tak intensywnymi, ekspresyjnymi piosenkami. Niemen był artystą odrębnym. Jednocześnie nowoczesnym i tradycyjnym, wręcz swojskim.

CELEBRYTA MIMO WOLI

Publiczność oszalała na punkcie przystojnego pieśniarza, który doskonale rozumiał ducha czasów. Stał się pierwszą wielką gwiazdą polskiej piosenki. Nie mając „celebryckiego” usposobienia, musiał znosić prasową krytykę, która rozliczała go z każdego słowa i gestu. Autorowi jednego z napastliwych artykułów wytoczył proces. Niezbyt przychylny

utwory. Komponować i pisać teksty zaczął jeszcze w grupie Walickiego Niebiesko-Czarni. Kiedy na świecie eksplodowała psychodelia, a chwilę później rock progresywny, Niemen był pierwszym polskim artystą, który potrafił na nie w oryginalny sposób odpowiedzieć. Wniósł do rodzimego rocka artystowski temperament, interpretacje poezji, zakończył erę rustykalnego bigbitu. Przebojowe piosenki ustąpiły miejsca rozbudowanym kompozycjom i symfonicznemu rozmachowi. Niemen sięgał po jazz-rock, rock progresywny, psychodelię i muzykę elektroniczną. Wykorzystywał najnowszą aparaturę, zdobywaną w czasie występów na Zachodzie.

POLSKI ARTYSTA ŚWIATOWY

Przy okazji wspomnienia o zagranicznych epizodach warto się rozprawić z obiegową opinią o znikomości jego kariery na Zachodzie. W latach 60. z powodzeniem występował w paryskiej Olympii, na zachodnio- i wschodnioeuropejskich festiwalach. Szczególną popularność zdobył w Związku Radzieckim, gdzie był wręcz czczony jako ambasador zwalczanego przez władzę rocka. Nagrywał w Niemczech, w USA, w Wielkiej Brytanii i we Włoszech. Braku taniej popularności i gigantycznych sukcesów sprzedażowych nie należy jednak uważać za niepowodzenie. W latach 70. Niemen był najprawdziwszym rockowym awangardystą o talencie na światową skalę. Współpracował z krajowymi i zagranicznymi jazzmanami, grupą SBB i wybitnym kompozytorem Andrzejem Kurylewiczem (wystąpił na jego albumie „Muzyka teatralna i telewizyjna”). Komponował dla teatru i filmu.

Rozwój kariery przerwał wybuch stanu wojennego. Niemen przycichł, zamknął się w prywatności, skupił na pisaniu wierszy, muzyce ilustracyjnej i elektronicznych eksperymentach. Niełatwy czas podsumował wydanym w 1989 r. albumem „Terra Deflorata” z całkowicie autorskim repertuarem. Coraz śmielej korzystał z komputera, który służył mu nie tylko do komponowania i nagrań, ale również do działań plastycznych. W latach 90. szukał nowego

wcielenia. Komponował materiał na ostatni, wydany w 2001 r. album „Spodchmurykapelusza”. Płyta miała być jego *opus magnum*, ale trudno ją uznać za równie udaną, jak „Enigmatic”, „Niemen Aerolit” czy choćby „Sukces”. Nie udało mu się po raz kolejny wyznaczyć nowych muzycznych trendów. Powstał za to album, który można uznać za pewien rodzaj podsumowania, emanację Niemenowskiej wrażliwości i aspiracji niezależną od trendów i wymagań rynku muzycznego.

Stał się pierwszą wielką gwiazdą polskiej piosenki.



Z włoską piosenkarką Faridą na X Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, sierpień 1970 r.

W ostatniej dekadzie XX w. angażował się w sprawy publiczne. Pisał felietony do miesięcznika „Teraz Rock”, walczył z piractwem płytowym, przygotowywał reedycje własnych nagrań. Był kapryśnym, czasami złośliwym komentatorem rodzimego show-biznesu. Ostatnie lata życia przyniosły trudną walkę z chorobą nowotworową. Zmarł 17 stycznia 2004 r.

NIEMEN DLA WSZYSTKICH

Każde pokolenie ma „własnego Niemena”. Równieśnicy pamiętają go

z żywołowego rhythm and bluesowego okresu, kiedy jego eleganckie, przepełnione wielką kulturą muzyczną piosenki uchodziły niemal za obrazoburstwo. Pierwsza generacja polskich hipisów wspomina płyty nagrane z Akwarelami, „Dziwny jest ten świat”, „Sukces” i „Czy mnie jeszcze pamiętasz?”. Kolejne dwie dekady twórczości, rozpoczęte legendarnymi albumami „Enigmatic” i „Niemen” (tzw. czerwony album), a zakończone eksperymentami z elektroniką, ważne będą dla fanów progresywnego

rocka. Dla urodzonych w latach 80. i 90. jest jednym z nielicznych wielkich rockmanów, których mogli poznać za życia. Poszukiwacze muzycznej oryginalności ze wszystkich pokoleń odnajdą radość w odkrywaniu „Katharsis”, syntezatorowego albumu konceptualnego utrzymanego w poetyce *science fiction*. Nie sposób zapomnieć o jego zasługach dla teatru i telewizji, przede wszystkim jako kompozytora, ale też pamiętnej roli... Chociaż w filmowej adaptacji „Wesela” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Nie pojawia się na ekranie, do historii kina wszedł za pomocą głosu.

A dla nas wszystkich, niezależnie od daty urodzenia, gustu i zapatrywań, istotna powinna być także skomplikowana biografia Czesława Niemena. Urodził się w przededniu II wojny światowej, przecierał muzyczne szlaki w niezbyt łaskawych czasach, na przekór modom i trudnościom wciąż poszukiwał nowych formuł artystycznych. Karierę zaczął wraz z narodzinami polskiej muzyki pop i od razu stał się jedną z jej najważniejszych osobowości. Niemen to pierwszy heros polskiego rocka i ostatni bohater romantyczny. Arcypolski, tak jak jego trudne do wymówienia nazwisko i jego pseudonim.

Jan Bińczycki

GANGSTERSKA TWARZ BERLINA

W stolicy Niemiec długo tolerowano arabskie grupy przestępcze, dziś policja jest bezradna

Wojciech Osinski
Korespondencja z Berlina

W grudniu zeszłego roku w Berlinie zamordowano pochodzącą z Trójmiasta Wiktorię S. 25-letnia Polka została postrzelona z bliskiej odległości na osławionej ulicy Oderstrasse w dzielnicy Neukölln, targanej codziennymi porachunkami mafii. Czy Wiktoria była kolejną ofiarą walki arabskich rodzin, które trudnią się handlem narkotykami, wymuszeniami i nie wahają się dokonywać zabójstw? Wstępne ustalenia śledczych każą przypuszczać, że jednym ze sprawców był człowiek związany z lokalnym środowiskiem dilerów. Policja nie podała ich narodowości, ograniczając się do stwierdzenia, że mają niemieckie obywatelstwo. Problem polega na tym, że wielu bossów gangów zasłania się niemieckim paszportem, należą bowiem do urodzonego już w RFN kolejnego pokolenia imigrantów z państw arabskich, głównie z Libanu. Grudniowe morderstwo było drugą spektakularną sprawą kryminalną w 2018 r. We wrześniu został zastrzelony niejaki Nidal Rabi, szef grupy przestępczej z Neukölln. 36-letni gangster spędził pół życia w więzieniu, co nie przeszkodziło mu skutecznie zarządzać lokalnym światem przestępczym. Arabski klan Rabi nie należy do najbardziej wpływowych w stolicy, ale jakiś czas temu zawarł sojusz z gangiem Abou-Chaker, słynącym z efektownych napadów i sutenierstwa w dzielnicy Schöneberg. Niektórzy jego członkowie, np. Arafat Abou-Chaker, zyskali z czasem status celebryty, a to za sprawą relacji ze znanymi raperami. Kay One, Capital Bra czy Bushido wyszli na prostą dzięki zastrzykom finansowym stołecznych klanów, a uzyskawszy sławę, teraz otwierają im drzwi na salony. Berliński gangsta rap, tudzież spływające krwią seriale, takie jak „Berlińskie psy” albo „4 Blocks”, stały się dla niemieckiej młodzieży wzorem do

naśladowania, a odsiadka w więzieniu – prestiżowym wyróżnieniem.

Nie dotyczy to braci z klanu Abou-Chaker. Oni opłacają najlepszych prawników i kupią sobie z bezradnego wymiaru sprawiedliwości.

CZTERY ZAKRESY

To głównie dzięki serialowi „4 Blocks” dzielnica Neukölln weszła do kultury masowej jako wylęgarnia zorganizowanej przestępczości arabskiej. Tytuł określa cztery klasyczne zakresy działalności gangów – hazard, haracze, narkotyki i prostytutkę. W całym Berlinie działa ok. 20 rodzinnych gangów, liczących kilkanaście tysięcy członków. Stołeczne dzielnice są podzielone: Arabowie i Turcy skupiają się na ulicach byłego Berlina Zachodniego, zwłaszcza w Tiergarten, Weddingu, Kreuzbergu i Neukölln. Choć prawdę mówiąc, nawet między zachodnimi okręgami istnieją pewne różnice.

W całym Berlinie działa ok. 20 rodzinnych gangów, mających kilkanaście tysięcy członków.

Sam mieszkam w Moabicie (w śródmiejskim Tiergarten), lecz odwiedzając Neukölln, doznaję za każdym razem szoku kulturowego. Muzułmanie wybrali zachodnią część miasta, ponieważ we wschodnich dzielnicach, takich jak Hellersdorf czy Marzahn, nie są mile widziani. Nieprzypadkowo w obrębie byłej stolicy NRD niemieccy populisci rosną w siłę, choć z drugiej strony działające tam mafijne siły Wietnamczyków zdają się im nie przeszkadzać. Tak jak Arabowie niechętnie zapuszczają się np. do wschodniego Kaulsdorfu, również afiszujący się ze swoim chrześcijaństwem Niemiec może się stać zwierzyną łowną w Neukölln. Podobnie ostrożna musi być osoba nosząca kipe, bo w zachodnich dzielnicach kwitnie importowany przez Arabów antysemityzm.

Widzimy więc w dzisiejszym Berlinie wszystkie te podziały, które zarysowały się w całym kraju. Sytuacja w stolicy Niemiec przypomina to, co działo się w amerykańskich metropoliach na początku XX w., gdy toczyła się zaciekle walka między Włochami, Irlandczykami i Żydami o rządy w dzielnicach. Także USA zmagaly się wówczas z problemem masowej imigracji, przy czym dzisiejsze mafijne patologie w Berlinie czy Zagłębiu Ruhry (drugim po stolicy siedliskiem arabskich przestępców jest Essen) tylko w ograniczonym stopniu wiążą się z napływem imigrantów z Syrii w 2015 r. Większość berlińskich bossów mówi znakomicie po niemiecku, młodzi Syryjczycy to jedynie płotki, wykorzystywane do handlu narkotykami.

Korzenie problemu sięgają raczej lat 70. XX w., gdy do RFN masowo napływali imigranci z Libanu i Turcji. O ile mniejszość turecka składała się przede wszystkim z imigrantów

zarobkowych, o tyle np. Libańczycy mieli status uchodźcy z państwa dotkniętego wojną. Na tej samej fali docierały też inne nacje Bliskiego Wschodu, wśród nich Palestyńczycy. Arabscy uchodźcy przylatywali najpierw do Berlina Wschodniego, NRD uchodziła w tym czasie za sojusznika Jasira Arafata.

ARABSKIE WYSEPKI

Wkrótce Arabowie odkryli lukę, dzięki której mogli się przedostać do zachodniej części podzielonego murem miasta. W odróżnieniu od większości obywateli NRD oraz innych państw bloku radzieckiego mogli bowiem bez większych trudności przekroczyć granicę, twierdząc, że nie mają paszportu. W ślad za pierwszymi uchodźcami przybywali z Bej-



W zachodnich dzielnicach Berlina kwitnie importowany przez Arabów antysemityzm.

rutu kolejni libańscy i palestyńscy imigranci, którzy po wylądowaniu na lotnisku Schönefeld od razu wybierali się na przejście graniczne przy „Tränenpalast” (Pałacu Łez) na Friedrichstrasse. W przeciwieństwie do Turków, którzy w zachodnich sektorach podejmowali pracę, Arabowie, przybyli do Niemiec na niejasnych warunkach, nie mogli pracować, a ich dzieci nie musiały chodzić do szkoły. Zamiast niemieckiej gospodarki przybysze z Bliskiego Wschodu zasilali więc kolejki przed urzędami ds. opieki socjalnej.

Te trudne początki sprzyjały dezintegracji, a z czasem przeistaczały się w nieskrywany bunt. Arabowie zaczęli zamykać się w równoległych społecznościach, które w końcu straciły kontakt z niemiecką rzeczywistością i później wręcz ostentacyjnie celebrowały swoją odrębność. Owe arabskie wysepki w sercu Niemiec rosły wraz z upływem czasu. Zawierano małżeństwa, tworzyły się rodzinne układy, a ponieważ Arabowie z pierwszego pokolenia poczuli się odcięci od zachodnioniemieckich beneficjów, musieli znaleźć inne drogi zarobkowania. W ich zamkniętym

świecie mógł swobodnie dojrzewać system zorganizowanej przestępczości. Dziś inicjatorzy tego systemu albo umarli, albo wycofali się do drugiego, trzeciego szeregu. Ale ich wnuki są dobrze wyszkolonymi spadkobiercami, którzy podobnie jak oni pobierają zasiłki, a całą resztę (czytaj: miliony) uzyskują zastraszaniem, kradzieżami, wymuszaniem haraczy i sprzedażą narkotyków. Jak pokazuje przykład rodziny Abou-Chaker, w ten sposób można też dotrzeć na czerwone dywany Berline.

HANDEL LUDŹMI

Ralph Ghadban, niemiecki orientalista o libańskich korzeniach, tłumaczy, że jednym z pierwszych intratnych biznesów Arabów był handel ludźmi. Odkrywszy łatwość, z jaką można było się przecisnąć przez dziurę w żelaznej kurtynie, co cwańsi przybysze zapraszali rodaków i pomagali im w organizacji podróży – oczywiście odpłatnie. Głównie z tego zrodził się kapitał przyszłej arabskiej mafii w zachodniej części miasta. Działalność przestępcza klanów nabrała tempa po upadku muru berliń-

skiego, nad którego gruzami jeszcze przed końcem 1989 r. przeskoczyło na zachód kilkanaście tysięcy Arabów z państw bloku wschodniego. Nowa stolica Niemiec, opatrzona nośną w światowych mediach etykietką gościnności i kosmopolityzmu, stała się też niestety żyznym podglebiem dla przestępczości zorganizowanej. Arabowie potrafili szybko się dostosować do nowej rzeczywistości zjednoczonego Berlina. Odtąd skupiali się przede wszystkim na prostytucji oraz ściąganiu haraczy za ochronę, o czym może się przekonać bodaj każdy człowiek, który zapragnie w Neukölln otworzyć własną firmę. Z sutenerstwa, wymuszania i zastraszania płyną dzisiaj miliony, które arabskie rodziny inwestują potem w legalne biznesy, np. w nieruchomości, głównie w krajach swojego pochodzenia. – W Libanie czy Turcji wyrastają pałace, których właściciele mieszkają w Niemczech i oficjalnie pobierają pomoc socjalną – mówi Ghadban.

Ponieważ arabscy uchodźcy w latach 70. nie mieli prawa podejmować pracy, rychło wykryli sztuczki, dzięki którym mogli wykorzystywać

► system socjalny. I mimo że dziś młode pokolenie Arabów zarabia krocie i mówi po niemiecku, nadal traktuje świadczenia jako należne mu „odszkodowanie” za rzekomo niezawinioną izolację.

BEZSILNI POLICJANCY

Modelowym przykładem tego, że arabskie klany dopiero chwytają wiatr w żagle, jest dzielnica Wedding, w której mieszkało kiedyś wielu Polaków. Nasi uczciwsi rodacy w miarę bogacenia się zaczęli się wyprowadzać do takich dzielnic jak Charlottenburg bądź budować własne domy na obrzeżach stolicy. Pozostałych wypychają Arabowie, którzy wraz z Turkami rozwijają w Weddingu działalność przestępczą. I właśnie ta dzielnica może w przyszłości stać się kolejnym po Neukölln polem mafijnych zatargów.

Dzisiaj wojny zwaśnionych rodzin toczą się bowiem zwłaszcza o obszary, gdzie kwitnie handel narkotykami. Przed transformacją ustrojową ogniskiem zachodniobерlińskiego narkobiznesu były okolice centralnego Tiergarten (opisane w światowym bestsellerze „My, dzieci z dworca Zoo”). Obecnie arabscy dilerzy opalowali ulice Weddingu. A w obliczu kryzysu migracyjnego w 2015 r. liczba narkomanów gwałtownie wzrosła. Arabowie zarabiają jednak niebagatelne sumy także na młodych turystach, którzy szukają w stolicy mocnych wrażeń i krótkiej zabawy.

Politycy z trudem ukrywają bezradność. Skrajnych zaniedbań w walce z handlem narkotykami dopuścił

się też niestety regionalny rząd SPD, Lewicy i Zielonych. Sytuacja w Neukölln, Kreuzbergu czy Weddingu przerasta również policję. To w tych dzielnicach funkcjonariusze najczęściej przedłużają urlopy lub zapadają na zdrowiu. Po zamordowaniu Nidala Rabiha policja wzmocniła wprawdzie swoją obecność na ulicach miasta, ale służba we wspomnianych okolicach jest niewdzięcznym zadaniem, bo nawet zwyczajna kontrola drogowa może się skończyć czynną napaścią na mundurowych. Zastraszanie policjantów oraz ich rodzin jest na porządku dziennym. Młodzi przestępcy posuwają się coraz dalej, gdyż są już rodowitymi Niemcami i nie boją się deportacji. W akcje wymierzone w policjantów angażowane bywają niekiedy kilkuletnie dzieci, które z okien rzucają w nich kamieniami. Parę miesięcy temu pewien dziennikarz został zaatakowany przez członka gangu Abou-Chaker. Zdarzenie miało miejsce w sądzie administracyjnym w Tiergarten, a obok stali ochroniarze, którzy tylko rozkładali ręce.

SPEKTAKULARNE NAPADY

Według niektórych źródeł lokalne gangi infiltrują nawet komisariaty berlińskiej policji. Z powodu braków personalnych do szkół policyjnych przyjmowane są często osoby pochodzenia arabskiego lub tureckiego. Choć trudno wrzucić wszystkich do jednego mafijnego worka, niektórzy przedstawiciele Niemieckiego Związku Zawodowego Policjantów (DpolG) uważają, że część młodych

funkcjonariuszy została ewidentnie przekupiona. Być może dzięki temu gangsterzy dostawali sygnały o zakrojonych na szerszą skalę obławach.

Stołeczni policjanci są bezsilni nie tylko wobec narkobiznesu. Berlinem wstrząsnęło w ostatnich latach kilka spektakularnych przestępstw, które można przypisać mafii arabskiej. Najgłośniejszym była kradzież ze śródmiejskiego Bode-Museum złotej monety o wartości 3,7 mln euro. Skradziona w 2017 r. moneta nigdy nie została odnaleziona. W 2014 r. Arabowie napadli w biały dzień na jubilerza na centralnym Kurfürstendammie, zwykle pełnym mieszkańców i turystów. W październiku 2018 r. w podobnych okolicznościach doszło niedaleko Alexanderplatz do napadu na furgon transportujący pieniądze. Już w 2010 r. najemnicy klanu okradli uczestników turnieju pokera. I to wszystko przed kamerami monitoringu. Akurat w tym ostatnim przypadku jeden ze sprawców został rozpoznany i powędrował do więzienia, lecz większość świadków zostaje zmuszona do odwołania zeznań i wycofania oskarżeń, głównie za pomocą sprawdzonych metod zastraszania, które z kolei są możliwe dzięki bezwzględnej lojalności członków klanu.

– Przestępcy kierują się zasadami, które w arabskich kulturach istnieją od tysięcy lat. Liczy się wyłącznie rodzina, a nie lojalni członkowie są karani dożywotnią anatema, pomówieniami lub jeszcze gorzej – tłumaczy Mathias Rohe, prawnik i orientalista z uniwersytetu w Erlangen i Norymberdze. Ktoś, kto zrywa z klanem, musi się liczyć z poważnymi skutkami, nawet jeśli jest słynnym twórcą jak Bushido. Dzięki zeznaniom rapera zatrzymano dwóch braci Abou-Chaker (którzy jednak znów są na wolności). Tymczasem sam Bushido nie wychodzi na ulicę bez ochrony, a jego prominentni koledzy tacy jak Capital Bra woleli się odwrócić od niego niż od klanu. Można odnieść wrażenie, że dopiero zabójstwo Nidala Rabiha i jego wystawny pogrzeb dobitnie uświadomiły berlińczykom, co wylęgało się latami za przyciemnionymi szybami fikcyjnych kawiarni, kasyn, biur bukmacherskich i barów z sziszą.

Wojciech Osiński



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

PROSZĘ PROTESTOWAĆ GRZECZNIEJ

Jedną z ważnych cech demokracji jest stosunek obywateli i obywaterek do form i technik protestowania. Co jest akceptowalne, a co przekracza miarę, co jest w porządku, a co niedopuszczalne. Co sprawia, że przekaz demonstrujących dociera do odbiorców, a co, że odrzucamy go po jednym rzucie oka na fotografię w mediach. Kiedy kończy się demonstracja, a zaczyna zadyma, w jakim momencie, widząc manifestację, myślimy: zamieszki. Kiedy widok zbombardowanego miasta, kraju (Syria, Strefa Gazy, Jemen) nie budzi w nas żadnej reakcji, a kiedy do wściekłości i zabrania głosu wystarczy zbита szyba, płonący kosz na śmieci czy (UWAGA!) prywatne auto w płomieniach. Kiedy cisza zalega nad ofiarami przemocy ekonomicznej, a gromki lament wyrывa się z ponadpolitycznych gardeł mediów, gdy ktoś naklei na samochód (np. Magdaleny Ogórek) karteczkę z hasłem krytycznym wobec TVP.

Wyraźnie widać, że progi odporności i potencjał do wejścia w reakcję nie są specjalnie racjonalne ani wyważone. Powyższe skrajne zestawienia mają pomóc i ułatwić dostrzeżenie tego zjawiska.

Techniki i strategię masowych protestów bez przemocy nie mają jeszcze nawet stu lat (wyłączając znane wcześniej techniki głodówek). W naszej części Europy krwawe uliczne zmagania demonstrantów z siłami „porządkowymi” wyewoluowały z masakr przy użyciu broni palnej, białej itp. w stronę przemocy bardziej „miękiej”, spod znaku pałki, wody i gazu. Oczywiście bywa i brutalniej, i bardziej krwawo, gdyż zarówno „kule gumowe”, jak i pojemniki z gazem czy inne granatopochodne mają moc groźnego dla życia zranienia czy trwałego okaleczenia. Ale coś, co jest chlebem powszednim demonstracji na zachodzie Europy – płonące opony, regularne bitwy z policją, kamienie – to już u nas ekstremum i raczej specjalność potyczek bojówek parakibicowskich czy coraz liczniejszych skrajnie prawicowych grup podczas Święta Przemocy Narodowej 11 listopada.

Polskie duże demonstracje (niekiedy kilkudziesięcioletnie, np. protesty nauczycieli, demonstracje związkowe) snują się markotnie w hałasie co prawda ogłuszającym, ale pozbawionym znaczenia i treści – królują sprzedawane na trasie meczowe wuuzel. Trudno dociec, czego chcą protestujący, którzy maszerują bez wyeksploatowanych haseł, skandowanych żądań i rozrzuconych ulotek. I takie manifestacje Polacy lubią – ciche i pokorne serca, uśmiechnięte jak pensjonarka czy szczerzący się ojciec dyrektor. Takie demonstracje są aberracją – media się nimi nie zajmą, pracodawcy i władza śpią spokojnie, Twitter puchnie ciższą. Wielki wysiłek po nic. Za to grzeczniej i bez obrazy.

Manifestacje są wyrazem niemożliwego do wyrażenia w inny sposób gniewu, rozczarowania, są reakcją na lekceważenie,

bagatelizowanie czy wręcz odbieranie praw całym grupom. Manifestacje wesołkowate to mniejszość, istotą jest sprzeciw, głos protestu, możliwość wykrzyczenia tego, co boli, przez tych, którzy w inny sposób do głosu nie są dopuszczani (np. przez media publiczne, ale nie tylko). Ludzie wychodzą demonstrować z desperacji, z poczucia niemocy, marginalizowani, niewysłuchiwani, oszukiwani, okradani, lekceważeni, obrażani, atakowani. Młot kwiatów w lufach jest widowiskowy, ale zdarza się rzadko i jeszcze rzadziej działa. W Polsce w ostatnich trzech latach przed sądami stanęły setki osób, ponieważ miały w ręku białą różę. A płonąca opona jest wciąż zapowiedzią inferna, końca świata, czymś niewyobrażalnym... W kraju będącym w czołówce państw zanieczyszczających powietrze. Chociaż głównym polskim fetyszem antydemokratycznym jest tzw. własność, w szczególności własność prywatna, bo innej i tak nie cenimy. Najwyżej w tej hierarchii stoi własność prywatna wielkich korporacji finansowych. Wybij pan szybę w banku, co zresztą w Polsce nie zdarza się w ogóle, to jesteś pan morderca, Stalin i Mao skrzyżowany z Baader-Meinhof. Prywatnie to święte, święte to nietykalne. Sąd uznał właśnie, że zakaz wstępu do Sejmu zaordynowany przez marszałka Kuchcińskiego dziennikarzowi był bezprawny. A wcześniej chcących wejść na teren parlamentu ścigano za naruszenie „miru domowego”. I potępiano tych, co chcieli wejść, a nie tych, co ich bezprawnie siłą powstrzymywali.

Obserwujemy w ogóle odwrócenie wektorów. Pobite ofiary stają przed sądami oskarżane o pobicie sprawców (w słynnym „dialogu pięści z nosem” wymiar sprawiedliwości staje po stronie skrzywdzonej pięści), kopane, znieważone kobiety protestujące w milczeniu i na siedząco przeciw faszystowskiemu, rasistowskiemu przekazowi Marszu Niepodległości w 2017 r. muszą walczyć o unieważnienie prokuratorskiego umorzenia, w uzasadnieniu którego mogliśmy przeczytać, że kopanie, plucie i bicie nie było niczym nagannym, a jeno wyrazem niezgody na obecność protestujących. Jarosław „Deweloper” Kaczyński uważa, że mowa nienawiści to pojęcie skierowane przeciw poglądom prawicy i dlatego nie należy na nią zwracać uwagi (minister spraw wewnętrznych, tak, ten, na którego część policjanci cieli i rozsyppali konfetti, wycofuje książkę instruktażową pozwalającą policji wiedzieć, kiedy mamy do czynienia z mową nienawiści). Jeśli prawo stygmatyzuje te i tych, które/rzy protestują przeciw faszyzmowi – staje po stronie faszyzmu. Kiedy „mowa nienawiści” opisuje poglądy jakiegś mniej lub bardziej formalnej formacji politycznej, to znaczy, że ma ona problem ze stosowaniem mowy nienawiści.

I protestować trzeba z całą siłą. Z gniewem. Walka o swoje prawa na ulicy to nie jest kurs jedzenia ryby bez użycia noża.

Walka o swoje prawa na ulicy to nie jest kurs jedzenia ryby bez użycia noża.

CZY WOJSKO SIĘ ZBUNTUJE?

Władza Nicolása Madura opiera się na armii. Ale w koszarach panuje niezadowolenie

Lech Miodek

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że to wojsko jest kluczem do przetrwania reżimu Nicolása Madura. Na razie pozostaje u jego boku, a dowództwo naczelne żąda od żołnierzy przysięgania mu bezwarunkowej wierności. Czy jednak będą gotowi umierać za następcę Hugona Cháveza? Minister obrony Vladimir Padrino twierdzi, że siły zbrojne są monolitem, ale trudno w to wierzyć, skoro w ostatnich dwóch latach ponad 200 wojskowych zatrzymano pod zarzutem organizowania buntu i zdrady ojczyzny, a część zdezerterowała. Zdaje się, że nawet sam minister ma wątpliwości. W 2018 r., w czasie spotkania w garnizonie, które dotyczyło skali nowych podwyżek, towarzyszyła mu eskorta uzbrojona w pociski przeciwpancerne (!). Jak długo jeszcze młodszy oficerowie i żołnierze będą spokojnie się przyglądać rozkładowi państwa? Sytuacja materialna ich i ich rodzin, mimo przywilejów wynikających z „karnetu wierności ojczyźnie” (dodatkowa możliwość nabycia artykułów spożywczych i lekarstw), jest tylko nieznacznie lepsza od dramatycznych warunków, w jakich żyje reszta ludności.

WOJSKO JAK PARTIA POLITYCZNA

Chcąc pozyskać wojsko, Zgromadzenie Narodowe kontrolowane od 2015 r. przez opozycję zaproponowało amnestię dla tych funkcjonariuszy, którzy „będą współpracować w przywróceniu porządku konstytucyjnego” i porzucą Madura. Po sfałszowanych wyborach z 20 maja 2018 r. został on bowiem ogłoszony prezydentem przez Najwyższy Trybunał Sprawiedliwości, a nie przez Zgromadzenie Narodowe, co było naruszeniem kon-



Nicolás Maduro za wszelką cenę chce utrzymać poparcie wojska. Nz. spotkanie w kompleksie militarnym Fuerte Tiuna w Caracas, 30 stycznia 2019 r.

stytucji. Jednak odejście od Madura byłoby równoznaczne z utratą poważnej części władzy politycznej i gospodarczej, gromadzonej przez 20 lat.

Wojsko jest istotnym elementem reżimu. Obejmując w 1999 r. urząd prezydenta Wenezueli, Hugo Chávez otworzył puszkę Pandory. Dziesiątki oficerów wyszło z koszar, aby objąć stanowiska w administracji publicznej. W ich rękach znalazły się milionowe budżety. Ludzie bez należytych kwalifikacji zaczęli prowadzić politykę finansową, ściągać podatki, zarządzać skarbem państwa, bankiem centralnym, transportem, portami i lotniskami, dostawami energii i żywności. Generałowie, zarówno ze służby czynnej, jak i z rezerwy, stali się z dnia na dzień gubernatorami, burmistrzami i deputowanymi.

Prezydent stworzył również nowe struktury wojskowe, takie jak Strategiczne Regiony Obrony Integralnej (REDI), których dowódcy są kacykami. W akademii wojskowej bohaterem dla rekrutów, obok Simóna Bolívara, stał się Che Guevara. Jako oficjalnego pozdrowienia zaczęto używać frazy: „Ojczyzna, socjalizm lub śmierć”. Celem przywódcy było narzucenie armii jej antyimperialistycznego charakteru i to osiągnął. Wojsko zamieniło się w partię polityczną. W 2012 r. umierający Chávez w liście do żołnierzy napisał: „Tocząca się

w kraju rewolucja wojskowa powinna trwać”. Zwróćmy uwagę – nie rewolucja obywateli wspieranych przez wojsko, ale rewolucja wojskowa.

Ten list odczytał pełniący wówczas funkcję wiceprezydenta Nicolás Maduro. Także potem, podczas spotkań z żołnierzami w koszarach, Maduro powtarzał, że „rewolucja boliwariańska jest rewolucją wojska”. W czasie jego rządów udział żołnierzy we władzy jeszcze się zwiększył. Świadomy swoich słabości (nieomal przegrał wybory w 2013 r.) i walk wewnątrz obozu chávistów oparł się na armii, dając jej wszystko, czego chciała. Jedni widzą w tym jego umiejętności polityczne, drudzy oceniają to jako zbyt uległość wobec wojskowych.

KATASTROFA GOSPODARCZA

Wkrótce po objęciu urzędu Maduro utworzył Wojskową Strefę Gospodarczą (ZEM), w której ulokował wiele przedsiębiorstw z sektora wydobywczego (ropa, gaz, górnictwo). W 2017 r. na czele koncernu naftowego Petróleos de Venezuela (PDVSA) postawił generała, który kierował represjami wobec uczestników protestów w Caracas w 2014 r. Generałowie objęli też 14 z 36 ministerstw. Razem z Madurem upadłym państwem rządzi kilkudziesięciu spośród tysiąca generałów (w Wenezueli

jest ich więcej niż w Stanach Zjednoczonych). To oni odpowiadają za zaopatrzenie ludności w najpotrzebniejsze artykuły, m.in. mąkę, ryż, kawę i cukier. A z tym jest tragicznie. Mimo to w ostatnich dniach wojsko odmówiło zgody na wwóz pomocy humanitarnej od strony Kolumbii. Most został zabarykadowany przez dwa tiry i cysternę. W tej sytuacji podjęto próbę przetransportowania pomocy z Brazylii, przez dżunglę.

Armia ma bezpośredni udział w katastrofie gospodarczej kraju. Według ostatniej ankiety dotyczącej warunków życia w Wenezueli, badań prowadzonych przez Uniwersytet Katolicki Andrésa Bella i inne ośrodki badawcze, w 2017 r. 87% ludności żyło poniżej granicy biedy, przy czym dla 61% był to poziom nędzy. Prawie 70% formalnie zatrudnionych otrzymuje wynagrodzenie minimalne w wysokości 4,5 tys. boliwarów (8,20 dol.), za które można kupić jednego kurczaka. Tylko w listopadzie ub.r. ceny wzrosły o 144,2%. ONZ ocenia, że katastrofa gospodarcza doprowadziła do wyjazdu z kraju ponad 2 mln osób, z któ-

rych 1,3 mln było niedożywionych. W ciągu 20 lat Wenezuela z najuboższego kraju w regionie stała się najuboższym. Równocześnie ma ona jedną z najgorszych służb publicznych na świecie i jeden z najwyższych wskaźników przestępczości. Sami wojskowi zresztą nie stronią od nielegalnej działalności. Źródło dochodów armii to przemysł paliwa (benzyna jest w Wenezueli prawie bezpłatna) i handel narkotykami. Kwitnie korupcja.

SZCZEPIONKA OBYWATELSKA

Historyk Manuel Caballero napisał o Chávezie: „Wydaje się, że jego celem było nie przewożenie państwu, ale panowanie nad chaosem”. Zdanie to można równie dobrze zastosować wobec jego następcy, który chce się utrzymać u władzy za wszelką cenę. Maduro nie wydaje się jednak pewien ślepego posłuszeństwa oficerów. Mimo nacisków nie odważył się aresztować przewodniczącego wenezuelskiego parlamentu Juana Guaidó, który wezwał do odsunięcia Madura

od władzy i przez kolejne kraje jest uznawany za głowę państwa. Nie nakazał też masowego użycia gazu łzawiącego ani pocisków przeciw protestującym, jak to się dzieje zazwyczaj. Ale i tak w ciągu dwóch tygodni rewolucji przeciwko proletariotowi w dzielnicach biedy zginęło ponad 40 osób, a ponad 900 zostało zatrzymanych.

Do rozłamu w armii wiele jeszcze brakuje. Nie wystarczą naciski międzynarodowe, amnestia ani koncyliacyjne wystąpienia opozycji. Przez półtora wieku Wenezuela była rządzona przez wojsko. Przyporównuje się tę sytuację do raka, kiedy początkowo normalne komórki zaczynają się rozmnażać w niekontrolowany sposób i zabijać zdrowe komórki organizmu. Manuel Caballero uważa, że jedynym lekarstwem na tę chorobę jest szczepionka obywatelska. W przyszłości wielkim wyzwaniem dla kraju będą demilitaryzacja i zmiany w funkcjonowaniu sił zbrojnych. Ale co zrobić, aby wojsko przestało być partią polityczną i wróciło do koszar? ■

CZY WIESZ, ŻE...

PŁATKI ŚNIEGU OPADAJĄ NAJCZĘŚCIEJ
Z PRĘDKOŚCIĄ 5 KM/H?

A CZY WIESZ...

GDZIE JUTRO SPADNIE ŚNIEG?



interiaPOGODA

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII! PROGNOZA NA 25 DNI DLA 3 MLN MIEJSC

☀ ☁ ☔ ☂
SPRAWDZA SIĘ!

KTO WPADA W SIĘĆ KŁAMSTW

Najnowsze badania pozwalają już wskazać grupy najbardziej narażonych na fake newsy

Mateusz Mazzini

Każdy, kto choćby w najmniejszym zakresie korzysta z mediów społecznościowych, wie, że dezinformacja, półprawdy i manipulacje wiadomościami są w nich dużo powszechniejsze od rzetelnych, merytorycznie bogatych treści. Większość użytkowników tych platform ma też świadomość, że fałszywki szyte są na miarę światopoglądu konkretnych grup społecznych. Jednak zagłębienie po czubek głowy we własnych bańkach informacyjnych, odcięcie od kontaktu z drugą stroną konfliktu i przepływu informacji, zapominamy, że dezinformacja celuje w osoby o poglądach zarówno lewicowych, jak i prawicowych. Zaognia nastroje po obu stronach sceny politycznej, wzmagając tym samym antagonizm społeczny i, co za tym idzie, popyt na jeszcze więcej zmanipulowanych, sensacyjnych treści.

Nie oznacza to jednak, że każdy użytkownik Facebooka czy Twittera jest tak samo podatny na działanie fake newsów. Wręcz przeciwnie – wiele badań naukowych i analiz

Na kłamstwo odporni są ci, którzy do informacji wrócą i przeanalizują ją ponownie.

przeprowadzonych w ostatnich latach pozwala z coraz większą dokładnością zidentyfikować tych, których w sieci zmanipulować najłatwiej.

ZGUBNA WIARA W NAGŁÓWKI

Przeprowadzone jesienią zeszłego roku przez interdyscyplinarną grupę naukowców z Yale University badanie ponad 400 użytkowników platform społecznościowych w USA wskazuje, że pierwszym kluczem do wyodrębnienia grup szczególnie skłonnych do uwierzenia w fake newsy jest zdolność analizy komunikatów. Konkretniej – to, czy ma się



Nagłówki zmanipulowanych informacji prawie zawsze zawierają tylko jedno nazwisko. Np. internetowy poradnik tworzenia fake newsów.

zdolność wtórnej lub wręcz wielokrotnej analizy. Szef zespołu z Yale prof. Michael Bronstein tłumaczy na łamach magazynu „Pacific Standard”, że w gruncie rzeczy chodzi o przełamanie pierwotnych instynktów. Normalnym odruchem jest bowiem zinterpretowanie medialnych

plotnie odmienną niż w wielu państwach europejskich. Nie zmienia to faktu, że konkluzja jest co najmniej ciekawa. W krajach anglosaskich gazety, rozgłośnie radiowe i programy informacyjne w telewizji rozleniwiły swoich odbiorców dobrze wykonywaną pracą.

Jeśli zatem wszyscy mamy odruch wierzenia nagłówkom, dlaczego tylko niektórzy dają się nabrać na fake newsy? Tutaj w grę wchodzi to, co Bronstein nazywa właśnie wtórną analizą. Krótko mówiąc, na kłamstwo odporni pozostają ci, którzy do informacji wrócą i przeanalizują ją ponownie, czasem nawet kilka razy. Co ciekawe, naukowcy z Yale dowodzą, że analiza ta nie musi być wcale głębsza niż w pierwszym przypadku. Ich badania wykazały, że do odróżnienia dezinformacji od rzetelnego newsa wystarczy nawet kolejne pochylenie się nad samym nagłówkiem. Najczęściej nie trzeba klikać w tekst, prawie nigdy – czytać go w całości. Nasz mózg z każdym kolejnym wytropionym kłamstwem staje się coraz biegłyjszy w ich identyfikowaniu. Wynika to po części z faktu,

że fake newsy budowane są według wspólnego, bardzo prostego wzoru. Nagłówki zmanipulowanych informacji prawie zawsze zawierają tylko jedno nazwisko, określając w ten sposób konkretnego bohatera historii. Zwykle odnoszą się też do zjawisk społecznie pogardzanych i opisują je językiem silnie nacechowanym emocjonalnie. Innymi słowy, nawet przestępstwo kryminalne przedstawione będzie jako czyn moralnie naganny, a nie złamanie prawa. Wreszcie prawie zawsze występuje w nich odniesienie do jakiejś formy graficznej – rzadziej wykresu, częściej galerii zdjęć. To schemat na tyle powtarzalny, że z czasem osoby o wyższych zdolnościach analitycznych uczą się identyfikować fake newsy już w pierwszym odruchu. Ofiarami manipulacji w sieci są zatem ludzie o słabszych zdolnościach analitycznych oraz żyjący w dużo większym pośpiechu.

DEZINFORMACJA ŻYWI SIĘ POŚPIEchem

Ta druga informacja jest szczególnie niepokojąca. Większość użytkowników internetu czyta jedynie nagłówki tekstów, w dodatku robi to tylko raz. Na powrót do nich zwyczajnie nie ma czasu. A biorąc pod uwagę fakt, że z pokolenia na pokolenie kurczy się ilość czasu, przez który jesteśmy zdolni utrzymać pełną koncentrację, wszyscy stajemy się coraz bardziej podatni na dezinformację. Już teraz, według danych amerykańskiego Narodowego Instytutu Badań

wość ta nie dotyczy jednak ani żadnej konkretnej religii, ani religijnych fundamentalistów samych w sobie. Podobnie jak fanatycy na działanie kłamstw w sieci narażone są osoby, które z religią zagorzałe wojują. Innymi słowy, zradykalizowany ateista jest tak samo podatny na fake newsy jak fanatyczny katolik, muzułmanin czy buddysta. Ta korelacja jest o tyle ważna, że burzy bardzo rozpowszechniony mit o analitycznej przewadze w sieci ateistów nad osobami zaangażowanymi religijnie. Przyjęło się bowiem przekonanie, że właśnie wśród osób silniej przywiązanych

Osoby w grupie wiekowej 16-24 lata potrafią się skupić jedynie przez osiem sekund.

do widzenia świata poprzez religię łatwiej rozprzestrzeniać półprawdy czy wręcz otwarte kłamstwa. Badania pokazują jednak, że – mówiąc ironicznie – w tej kwestii ateści też nie są święci.

Dzięki pracom naukowców wiadomo również, jak na naszą odporność na fake newsy wpływa zachowanie się w mediach społecznościowych. Inne szerokie badanie, przeprowadzone w 2017 r. przez Davida Randa z MIT i Gordona Pennycooka z kanadyjskiego University of Regina, pokazuje bowiem, że bardziej podatni na dezinformację są osoby, które na Facebooku bądź Twitterze udzielają się bardzo aktywnie, przede wszystkim wrzucając własne treści czy podając dalej czyjeś posty. Na pierwszy rzut oka wy-

darzeniach najłatwiej zebrać, będąc pierwszym. Dlatego umieszczanie newsów na platformach społecznościowych stało się wyścigiem w coraz szybszym tempie. W takim pośpiechu nie ma zaś czasu ani na refleksję, ani na krytyczne myślenie, ani na sprawdzenie źródeł. Liczy się czas reakcji.

BEZPARTYJNY FAKE NEWS

Odkrycie tego związku przyczynowo-skutkowego również nie napawa optymizmem, ponieważ nawet tradycyjne media coraz bardziej

polegają na tzw. ekspertach wyciągniętych prosto z sieci. W programach informacyjnych czy publicystycznych, również w Polsce, coraz częściej pojawiają się osoby znane jedynie pod swoim internetowym kryptonimem z Twittera lub prowadzące niepodlegającego żadnej weryfikacji bloga. Oczywiście nie należy generalizować, że każdy wpływowy użytkownik mediów społecznościowych jest jednocześnie kolporterem dezinformacji, jednak bezdyskusyjnie wśród takich osób podatność na sieciowe kłamstwa jest dużo większa.

Być może jednak największą wartością dodaną badań nad podatnością na fake newsy jest obalenie kilku szalenie popularnych mitów na temat tego, kto bardziej wierzy w fałszywki i częściej podaje je dalej. Wbrew obiegowym opiniom osoby starsze są narażone na dezinformację tylko minimalnie bardziej od młodych, teoretycznie biegleszych w internecie. Podobnie niewielkie różnice występują między osobami z wykształceniem średnim i wyższym. Najważniejsze jest zaś to, że niewiele wspólnego z odpornością na fałszywe newsy mają poglądy polityczne, a dokładniej – identyfikacja czy przynależność partyjna. Choć w obu przytoczonych badaniach efekty fałszywek testowano na amerykańskich republikanach i demokratkach, śmiało można przenieść te wnioski na grunt europejski. *Fake news* nie tylko nie ma na sobie stempla ideologii. Barw partyjnych też nie nosi. ■

Wbrew obiegowym opiniom osoby starsze są narażone na dezinformację tylko minimalnie bardziej od młodych.

Biotechnologicznych, osoby w grupie wiekowej 16-24 lata potrafią się skupić jedynie przez osiem sekund (w 2000 r. przez 12 sekund). Społeczeństwo nieuważne to dla producentów fake newsów zdecydowanie najżyźniejszy grunt.

Badania Bronsteina wskazują też jednak na silną korelację między podatnością na dezinformację a stosunkiem do religii. Im bardziej dany użytkownik mediów społecznościowych przyjmuje postawę radykalną wobec religii, tym większą ma podatność na uwierzenie w fake newsy. Prawidłowo-

daje się to w miarę logiczne – skoro ktoś wrzuca do sieci więcej artykułów czy informacji, będzie w tym proporcjonalnie więcej fałszywek. Natomiast według Randa i Pennycooka przyczyną tego zjawiska jest dużo głębsza i dotyczy naszej własnej, sieciowej próżności. Wcześniejsze badania dowodzą, że najczęściej dzielimy się treściami w internecie, ponieważ chcemy zaimponować innym użytkownikom – łączyć jak najwięcej lajków czy retweetów. A te w przypadku udostępniania w sieci informacji o bieżących wy-

W poszukiwaniu zakończenia

Niedokończony reportaż
o Wojciechu Cabaju, włókniarzu,
który został redaktorem

Marian Buchowski

Mieszkająca w Niemczech Krystyna Cabaj poprosiła mnie o napisanie paru zdań wstępu do pamiątkowej książeczki zawierającej teksty jej męża, zmarłego przed wielu laty. Ona pamiętała, że jeszcze za PRL napisałem o Wojtku reportaż. Natomiast mnie nie wypadało dokuczyć wdowie stwierdzeniem, że jej męża już prawie nie pamiętam. Powiedziałem więc, że spróbuję przedrzeć się przez złogi sklerozy i coś tam naskrobię. Pomógł mi w tym list, który kiedyś nie dotarł do celu.

Był kwiecień roku 1980. Redakcja „Odry” ogłosiła konkurs na reportaż. Dostałem zaproszenie wsparte niewielką kwotą wadium, więc żeby nie zwracać pieniędzy, postanowiłem wystartować. Za temat obrałem Te-

Cabaj chciał być po jednej stronie z załogą i tylko jej interesy reprezentować. Nie mogło to być łatwe.

atr Robotniczy w Bielawie, założony i prowadzony przez Teodora Mierzeję, a wspierany wykonawczo przez załogę bielawskiej Silesiany. Ponieważ Mierzeja był także (w latach 50.) założycielem „Krosna”, gazety dolnośląskich włóknarzy, odwiedziłem redakcję i tam poznałem Wojciecha Cabaję, obsługującego dziennikarsko dla „Krosna” Silesianę.

On w tej bielawskiej fabryce przed laty zaczynał robotniczą karierę – przy krosnach, w potwornym huku i zaduchu. A potem skończył zaocznie historię, został redaktorem prasy zakładowej i pewnego dnia zjawił się w Silesianie, żeby zebrać trochę konkretnego do artykułu.

Po męczącej wędrówce halą produkcyjną wdaliśmy się wtedy z Wojtkiem, w fabrycznej kanciapie, w długą i momentami bardzo burliwą rozmowę, kontynuowaną potem w domu Cabajów na osiedlu Kolorowym w Dzierżoniowie.

Opowiadał mi wówczas o spotkaniu z robotnikami. – W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że te kobiety stanęły po drugiej stronie. Dostownie. Ja z jednej strony ciągu maszyn, one z drugiej, tak jakoś samorzutnie stanęły. A przecież mogły równie dobrze, a nawet wygodniej, ustawić się inaczej, obok mnie, razem. Przecież mnie też kiedyś, tak jak im teraz, pot wyciskała gonitwa wśród krosien. A oto – mówił Wojtek – racy! do nich przybyć PAN REDAKTOR Cabaj. Może to być przypadek, ale wtedy jakoś mnie to mocno ubodło. I powiedziałem sobie: ja do umacniania ich dystansu ręki nie

przyłożę. Bo jeżeli napiszę do gazety, to napiszę o nich, ale także o sobie – tamtym szczeniaku, któremu huk tkalni rozsadał czaszkę. Sam z sobą muszę także być po jednej stronie. Muszę być jednym z nich. Jestem jednym z nich...

Wiedziałem już, że czekają mnie dwa teksty: o Teatrze Robotniczym i o Wojciechu Cabaju – trochę egzaltowanym inteligentnym idealistą trzymającym z robotnikami.

Prasa zakładowa wbrew pozorom była (jest?) jednym z trudniejszych miejsc do uprawiania rzetelnej żurnalistyki. Tu każdy swój tekst autor konfrontował z czytelnikiem dobrze

znającym opisywane problemy, realia i okoliczności, wytapującym bez trudu najmniejszy fałsz czy niedomówienie. Sporo nam o tym opowiadał w latach 70., podczas każdej sesji Krajowego Klubu Reportażu, Mieczysław Gil, redagujący wtedy gazetę zakładową „Głos Nowej Huty”.

Dziennikarzowi prasy zakładowej płaciła i stawiała wymagania dyrekcja, ale optyki dyrekcji i załogi niekiedy bardzo się różniły. Cabaj też miał w biurku teksty, które druku się nie doczekały. Na jednym z jego maszynopisów był zamaszty podpis dyrektora i adnotacja: „Nie widzę powodów publikowania w prasie!”. Wiedziałem, że Mieczysław Gil (później poseł i senator RP) w sierpniu 1980 r. został wybrany na przewodniczącego nowohuckiej Solidarności. Dopiero kilkadziesiąt lat później dowiedziałem się, że zakładowej Solidarności w bielawskiej Silesianie także przewodniczył redaktor gazety zakładowej, właśnie Wojciech Cabaj.

Reportaż o Wojtku zatytułowałem „Po jednej stronie”, a kiedy tekst wszedł do tomiku z serii „Ekspresu Reporterów”, dano mu tytuł „Trzymając się mocno rodowodu”. Mój tytuł nawiązywał do tego, że Cabaj – płacąc ogromną wewnętrzną cenę – chciał być po jednej stronie z załogą i tylko jej interesy reprezentować. Kto nie urodził się wczoraj, ten wie, że nie mogło to być łatwe. Bąknąłem o tym w swoim reportażu: „Trudną ma Cabaj rolę. A bywa i tak, że te największe trudności dokuczają gdzieś tam w środku, gdzie przykucnęło sumienie”.

Przygotowując dla Młodzieżowej Agencji Wydawniczej książkę „Diabelski młyn”, postanowiłem napisać do Cabaję. Mieszkaliśmy wtedy



w Opolu, skąd 23 sierpnia 1983 r. wystąpiłem do Dzierżoniowa list:

„Drogi Wojtku,

(...) Przygotowuję do wydania zbiór swoich reportaży, w którym chcę pomieścić również tekst o Tobie (ten z „Ekspresu Reporterów”). Ale chciałbym mu dopisać ciąg dalszy. Domyślam się (bo przecież trochę Cię poznałem), że Sierpień '80 i późniejszy czas nie mógł w żadnym stopniu pozostawić Cię obojętnym (a także – jak przewiduję – rzeczywistości wobec Ciebie; nie byłbym zdziwiony, gdybyś był np. wśród internowanych).

Otóż ten ciąg dalszy reportażu, rodzaj *post scriptum* do niego, miałby stanowić Twój list do mnie, relacjonujący ciąg dalszy »Cabaja«.

Nawet gdyby ewentualnie list miał być lakoniczną odmową Twojej zgody na proponowany przeze mnie »ciąg dalszy« (...), to i tak wniósłby do mojego reportażu gorzkie, ale jednak pogłębiające uzupełnienie; byłaby to szansa utrwalenia kawałeczka jakże skomplikowanej i bolesnej prawdy o tym naszym popieprzonym życiu.

Podumaj, zdecyduj. Tak czy owak – odpisz”.

List wrócił z adnotacją dzierżoniowskiego listonosza na kopercie: „Adresat wyjechał za granicę na po-
byt stały”.

Minęło ponad 30 lat. W tym czasie kilkakrotnie zmieniałem miejsce zamieszkania. Jakimś dziwnym trafem list żony Wojtka wysłany na mój od dawna nieaktualny opolski adres odnalazł mnie. Dopiero z tego listu Krystyny Cabaj poznałem „ciąg dalszy” niedokończonego reportażu o Wojtku, o jego internowaniu, a także o skutecznym zachęceniu przez SB do decyzji emigracyjnej, z biletem w jedną stronę.

Pisał potem z emigracji do przyjaciela: „Uczucie zawieszenia w próżni zamiast maleć – wzmacnia się z każdym rokiem. Nie zapuści się korzeni w obcej ziemi, bo Ojczyznę, jak matkę, ma się tylko jedną, miłości do niej z serca wyrwać nie można...”.

Bardzo chciał z Niemiec do Polski powrócić. Nie zdążył. Rozległy zawal nie dał szans karetce pogotowia.

Po latach rodzina spełniła wolę zmarłego. Na starym dzierżoniowskim cmentarzu płytę grobu Wojciecha Cabaja zdobią trzy gdańskie krzyże. ■

Krystyna Łybacka ponownie wśród najlepszych europosłów!

Pod koniec stycznia posłanka do Parlamentu Europejskiego Krystyna Łybacka została nominowana przez pismo „The Parliament Magazine” do nagrody Najlepszy Europoseł w Dziedzinie Edukacji, Kultury i Mediów. „The Parliament Magazine” jest aktywnym forum przeznaczonym do dyskusji na temat bieżących wydarzeń politycznych i sytuacji UE. Co roku w poszczególnych kategoriach tematycznych wybrani zostają trzej najlepsi europosłowie spośród 751 europarlamentarzystów. Plebiscyt stanowi nawiązanie do gali wręczenia filmowych Oscarów.

Osoby, które pretendują do tej wyjątkowej nagrody, muszą się wyróżniać pracą i zaangażowaniem na rzecz budowania polityk unijnych oraz przybliżania Unii obywatelom. W plebiscycie ocenione zostają wcześniejsze osiągnięcia europosła, jego stały wkład na rzecz rozwijania projektu europejskiego oraz praca i aktywność w regionie.

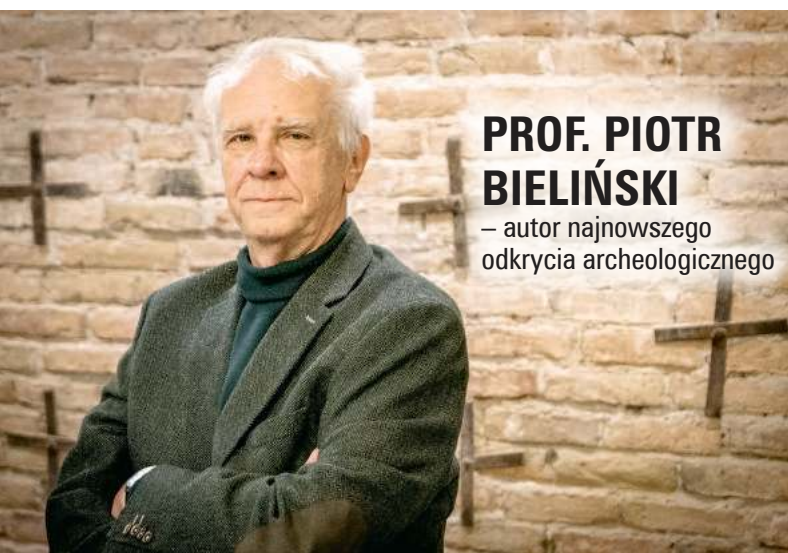
Tegoroczna nominacja europosłanki Krystyny Łybackiej związana jest z jej działalnością w Komisji Kultury i Edukacji oraz szczególnym uznaniem dla pracy nad raportem dotyczącym modernizacji edukacji w UE. Dokument ten został przyjęty zdecydowaną większością głosów podczas czerwcowej sesji plenarnej w Strasburgu. Jak podkreśla nominowana, raport opierał się na trzech głównych założeniach. Po pierwsze, szkoła przestała być jedynym miejscem pozyskiwania wiedzy, mówić powinniśmy raczej o przestrzeni edukacyjnej. Po drugie, rolą systemu edukacji jest przygotowanie młodego człowieka do życia we wszystkich jego aspektach, w tym do oczekiwań ze strony rynku pracy. Po trzecie, fundamentem jakości systemu edukacji jest nauczyciel. Wyróżnienie posłanki Łybackiej związane jest również z jej pracą na rzecz programu Erasmus+, a także z uznaniem dla działalności krajowej, w tym dla inicjatyw edukacyjnych łączących pokolenia, takich jak wspólne zajęcia artystyczne dzieci i seniorów. Tegoroczna nominacja



do nagrody „The Parliament Magazine” dla europosłanki Łybackiej jest już drugą w tej kadencji Parlamentu Europejskiego. Pierwszą otrzymała za pracę w dziedzinie nauki. Krystyna Łybacka otrzymała też specjalne wyróżnienie ok. 30 organizacji pozarządowych – ON OUR WATCH, które monitorują pracę posłów w Parlamencie Europejskim.

Ceremonia wręczenia nagród odbędzie się w drugiej połowie marca br. w Brukseli.

Posłanka do Parlamentu Europejskiego Krystyna Łybacka pracuje w komisjach parlamentarnych: Kultury i Edukacji oraz Przemysłu, Badań Naukowych i Energii, a także w delegacjach: do komisji współpracy parlamentarnej UE-Rosja oraz do spraw stosunków ze Zgromadzeniem Parlamentarnym NATO. Ponadto reprezentuje Parlament Europejski w Narodowej Szkole Administracji Publicznej we Francji (École Nationale d'Administration – ENA) oraz w Europejskim Instytucie Innowacji i Technologii (EIT). Krystyna Łybacka jest wiceprzewodniczącą Europejskiej Platformy uczenia się przez całe życie. Z ramienia frakcji Socjalistów i Demokratów (S&D) posłanka Łybacka jest stałym sprawozdawcą ds. programu Erasmus+, kluczowego unijnego programu w dziedzinie kształcenia, szkolenia i młodzieży. ■



PROF. PIOTR BIELIŃSKI

– autor najnowszego odkrycia archeologicznego

KAMIEŃ Z BAHRY PRZEMÓWIŁY

Odkopać potrafi każdy dureń, prawdziwa archeologia jest wtedy, gdy się zrozumie, co to, i opublikuje



Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Polska archeologia ma dziś bardzo wysoką pozycję w świecie. Pański najnowszy sukces dokłada się do narodowych dokonań w tej dziedzinie. Czy ułoży pan krótki ranking polskich osiągnięć archeologicznych?

– Ranga odkrycia nie zawsze jest na początku ewidentna. Archeolodzy bez przerwy coś odkrywają. Niekiedy okazuje się, że nic w ziemi nie ma, pustka, ale i ona czasami może mieć duże znaczenie. Dopiero po pewnym czasie szczęśliwi odkrywcy zdają sobie sprawę z wagi tego, co odkryli.

Gołym okiem nie widać?

– Potocznie uważa się, że wielkie odkrycie to skarbiec wypchany sztabami złota, co ma może wartość materialną, ale niekoniecznie naukową. Taka rewelacja byłaby jednak na pierwszym miejscu w rankingu układanym przez żurnalistów. Polska archeologia od czasów prof. Kazimierza Michałowskiego, który odkopał m.in. katedrę w Faras w Sudanie, miała kilka ewidentnych wzlotów, które wytrzymały upływ czasu i są dziś kamieniami milowymi w archeologii różnych części Bliskiego Wschodu. Po Faras kolejnym ważnym stanowiskiem była syryjska Palmyra, gdzie rewelacją było odkrycie przez prof. Michała Gawlikowskiego świątyni bogini Allat, które ciągle inspiruje zagranicznych badaczy. Z kolei pod koniec lat 60. nieżyjąca już prof. Jadwiga Lipińska prowadziła badania w Egipcie, w słynnym Deir el-Bahari, gdzie w miejscu przeczyszczonym

wcześniej przez wielu archeologów odkopano pozostałości nieznanej świątyni faraona Totmesa III. Szybko odkrycie to właściwie zinterpretowała i wprowadziła do światowej egiptologii. W północnym Iraku natomiast prof. Stefan Karol Kozłowski odkrył prehistoryczną osadę neolityczną, fenomenalnie zachowaną, z bardzo starymi postaciami

Dopiero polskie odkrycia pokazały, jak wyglądała akademia w Aleksandrii.

ludzkimi rzeźbionymi w kamieniu. To dokonanie weszło do literatury jako jedna z naszych archeologicznych pereł w koronie.

MAMY Z CZEGO BYĆ DUMNI

Rozumiem, że „szybko” w języku archeologów może trochę potrwać.

– Niekiedy najważniejsze odkrycia przychodzą po wielu latach, a nawet dziesiątkach lat badań. Tak było z pracami prowadzonymi przez polskich archeologów od lat 60. w Aleksandrii. Początkowe odkrycia zostały właściwie zinterpretowane dopiero po wielu latach dzięki dalszym wykopaliskom. Prowadzący wówczas badania dr Grzegorz Majcherek powiązał różne elementy i zrozumiał, że ma przed sobą ruiny najstarszej z archeologicznego punktu widzenia „wyższej” uczelni świata antycznego. Jest tam duże audytorium, są sale wykładowe i seminaryjne, katedra dla profesora i miejsca dla studentów. Aleksandria była słynna jako centrum życia intelektualnego i naukowego starożytności, ale dopiero dzięki polskim odkryciom wiadomo, jak takie akademie naprawdę wyglądały. To także odkrycie z pierwszej ligi. Trzeba tu dodać, że ważne odkrycia polskich archeologów miały miejsce nie tylko na Bliskim Wschodzie, który jest głównym polem działania badaczy z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego, ale i np. w Ameryce Południowej. Dr Miłosz Giersz odkrył w Peru w Castillo de Huarmey królewski grobowiec w rejonie, gdzie od lat trwały dzikie wykopaliska. I chodzi nie o to, że znaleziono przy okazji trochę złota, ale o to, że wyposażenie grobowca znaleziono rozłożone tak, że widać było, z jaką intencją poukładano w nim starannie wszystkie części, co one miały symbolizować i co się za tym kryje.

Najważniejsze jest więc potwierdzenie nowego znaleziska w publikacji.

– Zacytuję tutaj naszego mistrza prof. Kazimierza Michałowskiego. Gdy byłem jeszcze na V roku studiów, powiedział, że odkopać potrafi każdy dureń, a prawdziwa archeologia jest dopiero wtedy, gdy się zrozumie, co to, i opublikuje. Z każdym rokiem zdawałem sobie sprawę, że profesor był wizjonerem i miał intuicyjne wyczucie potencjału naukowego odkryć.

Przejdźmy do pańskiego odkrycia. W notkach prasowych podano, że dokonał go pan przed końcem sezonu archeologicznego. Co to znaczy?

– Zacytuję tutaj naszego mistrza prof. Kazimierza Michałowskiego. Gdy byłem jeszcze na V roku studiów, powiedział, że odkopać potrafi każdy dureń, a prawdziwa archeologia jest dopiero wtedy, gdy się zrozumie, co to, i opublikuje. Z każdym rokiem zdawałem sobie sprawę, że profesor był wizjonerem i miał intuicyjne wyczucie potencjału naukowego odkryć.

Przejdźmy do pańskiego odkrycia. W notkach prasowych podano, że dokonał go pan przed końcem sezonu archeologicznego. Co to znaczy?



Archeolodzy na stanowisku w Bahrze. Szefem wykopalisk jest prof. Piotr Bieliński, biorą w nim udział również archeolodzy z Kuwejtu: Sultan al-Duweish i Hamid al-Mutairi.

– Nikt nie będzie prowadził prac wykopaliskowych na Bliskim Wschodzie po 15 maja i przed 1 października. Po prostu nie wytrzymałibyśmy pracy na pustyni przy temperaturach powyżej 42 st. C. W Sudanie sezon jest jeszcze krótszy, trwa od listopada do kwietnia, w Syrii zacząć można we wrześniu. Robi się chłodniej, ale to oznacza też deszcz. W Kuwejcie próbowaliśmy zaczynać na samym początku października i ruszaliśmy się jak muchy w smole.

Teraz więc jest tam w sam raz. Wróci pan do Bahry?

– Zapewne, ale znów odwołam się do prof. Michałowskiego, który co jakiś czas rzucał złote myśli: każdy sezon badawczy na Bliskim Wschodzie powinien być traktowany jako ostatni. Były już poważne konflikty w 1956 r., w 1967 r. i w 1973 r. Nigdy do końca nie wiadomo, co w tym rejonie się wydarzy. Urwały się badania w Syrii, już nie można tam pojechać. Archeolodzy z całego świata swoje plany na przyszłość kwitują arabskim *inshallah*, czyli jak Bóg pozwoli. Kuwejt jest dziś wyjątkowo spokojny, ale był czas, że Irakijczycy Saddama i tam się pojawili. Pracujemy tam od 2009 r., więc

iluminacja nie spłynęła na nas nagle. Już po drugim sezonie wykopaliskowym mieliśmy przecucie, że to coś wyjątkowego. Zanim zaproponowano nam to stanowisko, Kuwejtczyki nas dobrze sprawdzili, jako że oni

Każdy sezon badawczy na Bliskim Wschodzie powinien być traktowany jako ostatni.

finansują badania. Propozycja była wyzwaniami, ale sądziłem, że wystarczy dwie kampanie i ekipa wróci do Polski. Ówczesny szef departamentu archeologii dr Sultan al-Duweish znał się na terenach pustynnych, bo jest z pochodzenia Beduinem, przyjeżdżał i brał udział w wykopaliskach. Z tych dwóch sezonów wyszło kilka lat. Co tydzień musieliśmy składać raport o postępie prac, a także o naszych konkluzjach. Tego też nie ukrywaliśmy, więc pewnego dnia przyjechała na pustynię ekipa telewizyjna i upowszechniła to odkrycie.

Na czym ono polegało?

– Na pustyni, która parę tysięcy lat temu była jeszcze sawanną, odkopaliśmy kawałki zwartej zabudowy, z wyglądu mieszkalnej. Dolne partie ścian były z kamienia, a wyżej naj-

prawdopodobniej z plecionych mat oblepionych gliną. Co zaskakujące, okazało się, że 6 tys. lat przed naszą erą w rejonie Zatoki Perskiej, którą tutaj nazywa się Arabską, nie tylko budowano typowe pasterskie owalne szałas, ale również stosowano obcą lokalnej tradycji zabudowę prostokątną, w dodatku zaskakująco regularnie rozplanowaną. Można tu nawet mówić o jakiejś wczesnej formie planowania przestrzennego. To nie mogli być zwykli nomadzi, jeśli odkopaliśmy 10 wieloizbowych domów w dość ciasno zgrupowanej zabudowie, zorientowanej po tych samych osiach na północny zachód. W tej przestrzeni mamy także regularny plac o wymiarach 20 x 10,5 m. Wydaje się, sądząc po wielu znaleziskach – głównie ceramicznych – że mieszkańcy tej małej osady utrzymywali bardzo ścisłe kontakty z ośrodkami dominującej wówczas w południowej Mezopotamii tzw. kultury Ubaid. W odróżnieniu jednak od swoich południowomezopotamskich sąsiadów nie byli rolnikami. Musieli się utrzymywać z pasterstwa i zbieractwa, a w ich kulturze widoczne są ponadto silne elementy tradycji lokalnej. Może więc chodzić raczej o ścisłe kontakty i przenikanie się kultur niż o ubaidzką kolonizację kuwejckiej sawanny. Warto tu dodać, że najstarsze znane na świecie sumeryjskie miasto Eridu, według tradycji powstałe jeszcze przed biblijnym potopem, istniało współcześnie z osadą Bahra, ale nie było jeszcze miastem. Jest oddalone od Bahry o jakieś 200 km, dla karawany to pięć dni drogi, żaden dystans. Bezpośrednie kontakty były więc możliwe.

powstałe jeszcze przed biblijnym potopem, istniało współcześnie z osadą Bahra, ale nie było jeszcze miastem. Jest oddalone od Bahry o jakieś 200 km, dla karawany to pięć dni drogi, żaden dystans. Bezpośrednie kontakty były więc możliwe.

oddalone od Bahry o jakieś 200 km, dla karawany to pięć dni drogi, żaden dystans. Bezpośrednie kontakty były więc możliwe.

PRAMIASTO?

Czy to oznacza, że „miasteczko” Bahra na terytorium dzisiejszego Kuwejtu może się okazać najbardziej ucywilizowanym zakątkiem obszaru kultury Ubaid?

– Tego nikt nie wyklucza. Do tej pory uważano, że kultura Ubaid była ostatnią formacją przedmiejską, tutaj jednak może się okazać, że miasta powstawały jeszcze wcześniej, niż do tej pory zakładano. Ponieważ działało się to przed wynalezieniem pisma, wszystkie wnioski opierają się na materiale archeologicznym.

► Żyli tutaj przybysze z Mezopotamii czy tzw. tutejsi?

– Gospodarze woleliby, aby znalezisko dokumentowało początki ich własnej kultury.

A może byli to najeźdźcy?

– Nie wydaje mi się. Dzisiejsze granice na Półwyspie Arabskim są najczęściej rubieżami międzyplemionymi. Niektóre plemiona są zjednoczone, a inne się oparły. Omańczycy np. oparli się tendencjom scalającym. Kuwejtcy przegonili w latach 20. XX w. ekspedycję saudyjską i są wrażliwi na punkcie własnej tożsamości. Ale tu jest problem, bo w czasach przed wynalezieniem pisma nikt nie zapisywał historii, wiemy tylko ogólnie, skąd przybyły określone ludy. Dopiero gdy pojawiają się teksty pisane, nawet najwcześniejszym pismem klinowym, możemy porównywać np. formy imion własnych. Wiemy, że Sumerowie nie byli krewnymi mieszkańcami pustyni, ale byli rolnikami. Ich wiejska kultura Ubaid dokonała dużej

go skoku, dzięki zastosowaniu irygacji skolonizowali spory kawałek lądu aż po północną Syrię. Tymczasem regularna zabudowa w Bahrze nie pasuje do tego obrazu, niezależnie od tego, czy jej mieszkańcy przybyli z Mezopotamii, czy byli miejscowymi, którzy zapożyczyli tamtą kulturę.

A dodatkowo w tym osiedlu znaleźliście miejsce święte, sanktuarium, świątynię.

– Nasi kuwejccy koledzy nazwali to świątynią. Sanktuarium po arabsku oznacza miejsce, w którym był pochowany ktoś ważny. Tutaj mamy starannie zrobione wejście z odrzwiami i progiem, co nas zupełnie zaskoczyło, bo żadne domostwo nie ma progu. Znaleźliśmy też prostokątną niszę, a tam ślad po



Sklejony fragment ubaidzkiego naczynia
znalezionego w Bahrze.

jamie wypełnionej jasnoszarymi popiołami. Rozróżniamy kolor popiołów, bo w zwykłych paleniskach są one czarne.

Tu palono ofiary. Ze zwierząt, a może ludzi?

– Nie wiemy. Pozostałe w popiele części organiczne są bardzo małe i jeszcze otoczone nalotem z soli. Ważne, że nisza jest zorientowana na północny-zachód, na bardzo podobnym planie zbudowano jedną z najstarszych świątyń ubaidzkich w Iraku, w słynnym i już tu wspomnianym mieście Eridu. Tam zarówno orientacja świątyni, jak i lokalizacja niszy są podobne.

**ARCHEOLOG
W STREFIE KONFLIKTÓW**

Czy w Iraku również można dziś prowadzić badania?

– Tak, ale polscy archeolodzy działają na razie tylko w irackim Kurdyśanie. Badania prowadzi tam prof. Rafał Koliński z UAM w Poznaniu, jeden z moich najstarszych współpracowników.

Na ziemiach arabskich archeolodzy czują się bezpiecznie?

– Chyba jest tam bezpieczniej niż wieczorem w Warszawie na Żabkowskiej. Wrogami byli i są islamieści z ISIS, bo to wrogowie ideologiczni. W Iraku znaleźlibyśmy też wrogów naturalnych, a może „konkurentów”. Mieszkańcy wiosek położonych koło stanowisk archeologicznych dorabiają sobie wydobywaniem na dziko znalezisk. Po prostu rabują naczynia, biżuterię i inne stare przedmioty.

A wy? Czy otrzymacie coś z wydobytych artefaktów?

100 lat Towarzystwa Przyjaciół Dzieci

ZDROWE DZIECKO
– ZDROWY NAROD



ŻĄDAMY OPIEKI
WYCHOWANIA I NAUKI



CHCEMY
Stonca
nowotrzę
i wody



Towarzystwo Przyjaciół Dzieci jest najstarszym w Polsce stowarzyszeniem tworzącym ruch społeczny na rzecz pomocy dzieciom i ich rodzicom. Powstało w 1919 r. z inspiracji Stefanii Sempołowskiej, znanej działaczki społecznej, pedagogi, publicystki i pisarki. Głównym celem tego ruchu była i jest troska o prawa, warunki życia, jakość wychowania i edukacji dziecka, jego wszechstronny rozwój, zdrowie, bezpieczeństwo, podmiotowość i godność, równość szans życiowych. W związku ze 100-leciem działania TPD przygotowana została wystawa dokumentująca losy organizacji i ludzi, którzy ją kształtowali, a także dramatyczne sytuacje dzieci podczas wojen i kryzysów ekonomicznych.

Wystawę „W służbie dzieci i młodzieży. 100-lecie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci” można oglądać w Mediatece Start-Meta przy ul. Szegedyńskiej 13A w Warszawie do 12 marca.

Będzie ona również dostępna przez rok w internecie pod adresem www.100tpd.pl.

Wystawę zrealizowało Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Warszawa w Europie przy wsparciu finansowym Fundacji im. Róży Luksemburg Przedstawicielstwo w Polsce.

– W żadnym kraju Bliskiego Wschodu nie ma zgody na wywóz znalezisk. Pewnym wyjątkiem są tzw. badania ratownicze. Tak było przy badaniach związanych z budową tamy asuańskiej. Władze Syrii czy Iraku zezwalały w takich przypadkach na podział znalezisk, w nagrodę, że cudzoziemcy ratują ich dziedzictwo. Po badaniach ratowniczych w północnej Syrii Muzeum Narodowe w Warszawie dostało swoją działkę. Po badaniach w Sudanie także otrzymaliśmy bardzo hojny dar. Oczywiście z podziału wyłącza się znaleziska unikatowe, stanowiące dziedzictwo narodowe, np. rzeźby.

Rozumiem, że za darmo nic nie ma. A gdybyśmy zapłacili?

– Jeśli ma pan na myśli jakieś oficjalne zakupy dla muzeów, to odpowiedź brzmi: nie. Obecnie żaden kraj nie handluje otwartymi zabytkami swojego dziedzictwa. Istnieje jednak

niczej, bo ginie dziedzictwo kultury ogólnoludzkiej?

– To, co kompletnie zniszczono, jest już w zasadzie nie do odzyskania. Nie da się odbudować wielkich posągów Buddy, tymczasem mieszkańcy regionu Bamian żądają odbudowy, bo liczą

W żadnym kraju Bliskiego Wschodu nie ma zgody na wywóz znalezisk.

na odtworzenie atrakcji turystycznej. To problem bardziej moralny niż estetyczny, a także polityczny. Wokół niektórych z tych zabytków buduje się lokalne poczucie tożsamości, a więc pojawia się presja władz krajowych oraz lokalnych organizacji turystycznych. Archeolodzy nie mają takiego dylematu. Palmyra, która została zupełnie zrujnowana, nie nadaje się do odbudowy. Zaraz pojawiłoby się pytanie,

umocnienia świadomości narodowej. Co do tej afrykańskiej fortecy, uważano dawniej, że musieli ją zbudować Fenicjanie, bo sądzono, że czarnoskórych mieszkańców nie byłoby stać na tak wielką inwestycję. Okazało się, że Fenicjanie nigdy nie docierali do tak wysuniętych na południe rejonów, a fortecę postavili rdzenni mieszkańcy. W istocie to może być pomnik rodzimej afrykańskiej kultury i cywilizacji, a lokalne nacjonalizmy bardzo potrzebują takich ikon.

Czyli archeolodzy mogą być instrumentalnie wykorzystywani do krzewienia prądów nacjonalistycznych?

– Nie damy się, ale np. Saddam Husajn chciał uchodzić za wcielenie Nabuchodonozora II, który m.in. zburzył Jerozolimę. Produkowano wtedy medale z zafaszkowanym profilem babilońskiego króla, tak aby był podobny do Saddama. Ówczesna propaganda podsuwała takie pomysły. Proszek do prania nazywano Sumer, były też papierosy o tej nazwie, wykorzystywano jako markę Hammurabiego, Aszur itd. Prezydent Hafiz al-Asad, ojciec obecnego władcy Syrii, chciał z kolei zbudować narodowy kult wokół Palmyry i starożytnego miasta Ugarit koło Latakii.

A my mamy „tylko” gród w Biskupinie.

Bronisław Tumitowicz

Mieszkańcy wiosek położonych koło stanowisk archeologicznych dorabiają sobie wydobywaniem na dziko znalezisk.

w niektórych krajach rynek półoficjalny. Na przykład Japończycy, wielkie korporacje, dogadują się z władzami niektórych państw i dokonują zakupów rozmaitych zabytkowych obiektów, ale nie w celu oddania do muzeum, tylko jako lokatę kapitału. W sumie są to trudno uchwytnie transakcje, o dużym stopniu poufności.

W przypadku zgody władz wszystko jest w porządku. Ale zdobycze dawnych najeźdźców, choćby Bonapartego, są już kwestionowane. Żąda się ich zwrotu.

– Oczywiście takie żądania mogą budzić emocje, ale nie zawsze mają sens. Na przykład jeden z najstarszych zabytków, stela Hammurabiego, jest w Luwrze i pewnie tam pozostanie, bo nie ma podstaw, aby trafiła do Iraku. Stela została ok. 1200 r. p.n.e. zrabowana z Babilonu przez władcę ówczesnego Elamu, a Francuzi znaleźli ją w Iranie. Irakijczycy mogliby więc starać się o zwrot w... Teheranie.

RATUJMY ZABYTKI?

Mówiąc o badaniach ratunkowych, aż się prosi zapytać, co z pomnikami przeszłości celowo niszczoneymi przez fanatyków. Czy tutaj nie warto by zorganizować ekspedycji ratow-



www.wydawnictwomg.pl

Maciej J. Nowak

Tadeusz Boy-Żeleński miał wiele twarzy. Twarz erudyty, przewodnika po literaturze francuskiej, twarz znakomitego publicysty, bezkompromisowo walczącego o prawdę, a także twarz kpiarza, podchodzącego do życia z dużym dystansem (pisał w zapomnianym dziś wierszu: „wszystko jest nudą, co nie jest marzeniem / za krajem baśni naiwną tęsknotą...”). Osobom zainteresowanym twórczością autora „Słówek” twarze te są doskonale znane. A głos Boya zarówno w kwestiach politycznych, jak i literackich do dziś zaskakuje aktualnością. Przeszukując starannie ślady przeszłości, odkryjemy jeszcze jedną, mniej eksponowaną twarz pisarza: wrażliwego i delikatnego człowieka. Widać to choćby w „Wyznaniach gorszycielki” Ireny Krzywickiej, ale najlepszym dowodem okaże się historia jego przyjaźni z Jakubem Wojciechowskim.

ŻYCIORYS WŁASNY ROBOTNIKA

Kim był Jakub Wojciechowski? Urodzonym w roku 1884 skromnym robotnikiem, który miał za sobą doświadczenie ciężkich prac w Niemczech, m.in. w cegielniach i kopalniach. Do odrodzonej ojczyzny wrócił po wieloletniej emigracji, w roku 1924. Ale już dwa lata wcześniej zainteresował się konkursem pamiętnikarskim zorganizowanym przez Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu. Wojciechowski miał spisany pamiętnik i wysłał go na konkurs. Dostał pierwszą nagrodę. Minęło kilka lat i w 1930 r. jego pamiętnik zatytułowany „Życiorys własny robotnika” opublikowano w formie książkowej. Wkrótce wpadł w ręce Boya – wówczas już uznanego krytyka literackiego, pisującego do słynnych „Wiadomości Literackich”. Boy od razu się nim zachwycił. Nie tylko samą treścią, intrygowała go również postać autora. „Było dla mnie coś przejmującego – pisał – w refleksji, że talent tak mocny, tak niezaprzeczony, ujawnił się zupełnie przypadkowo. Bo gdyby nie ów błogosławiony konkurs, ten 40-letni robotnik byłby żył sobie nadal, nie dowiedziawszy się nigdy, że w nim siedział pisarz, artysta! Znam tę sytuację: i ja tak samo jak Wojcie-

Mój przyjaciel Boy

Co przesądziło o tym, że wybitny pisarz okazał tyle życzliwości i ciepła skromnemu robotnikowi



Tadeusz Boy-Żeleński (z lewej) i Jakub Wojciechowski, 1931 r.

chowski dożyłem w innym rzemiośle lat męskich, zanim – bardzo przypadkowo – zorientowałem się w swoim właściwym powołaniu”. Wiedział, o czym pisał. Przez wiele lat przyszło mu bowiem wykonywać zawód lekarza. Jakoś sobie w nim radził, ale czuł, że jego prawdziwym życiowym powołaniem jest coś zupełnie innego. Kiedy to rozumiał jako dojrzały człowiek, porzucił dotychczasowe, pewne i stabilne życie zawodowe. Teraz w panu Jakubie zobaczył zapewne siebie sprzed lat.

Czy książka Wojciechowskiego była rzeczywiście tak wyjątkowa? Z dzisiejszej perspektywy raczej nie ma wielkiej wartości literackiej. Stanowi ciekawostkę, również o podłożu kulturowo-socjologicznym. Oto – przytoczona w oryginale – próbka „Życiorysu”:

„A co się tyczy co do organizacji robotniczej, nie nalele do żadny, jeno buduje na woli Boga i na własnych siłach... Bo mi Pan Bóg dzieci pozabierał i na przyszłość nie mam się gdzie udać, a gdy wene sobie jedno dziec-

ko, to też mu musze coś przyobiecać, aby mnie lub moją żonę na stare lata pielęgnowało. (...) Ziemie do budowy (domu) nabyłem od pana burmistrza miasta Barcina za kwotę 850 złotych za 12 arów 39 metrów w kwadracie, którą już zapłaciłem". I tak prawie przez 600 stron Wojciechowski opowiada o całym swoim życiu od urodzenia, o rodzinie, najbliższych, wyjeździe do Niemiec, pracy tam i powrocie do Polski. Uderzała zwłaszcza jego otwartość narracji w sprawach obyczajowych, zupełnie nieświadoma bezpruderyjność, jaka niektórych gorszyła, ale Boya szczególnie ujęła.

PAN PEWNO O MNIE NIE SŁYSZAŁ

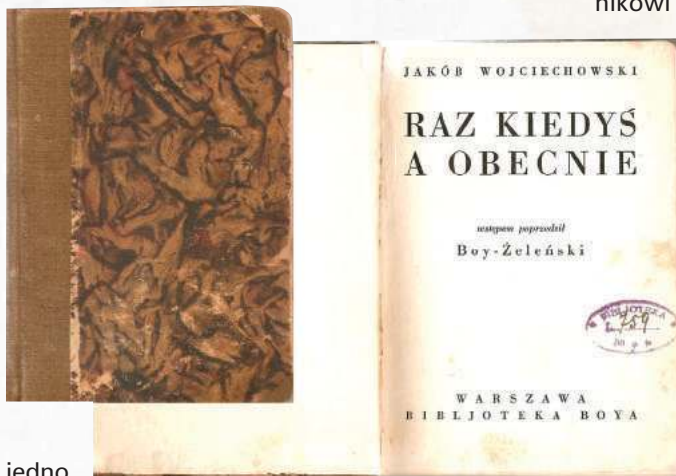
Wielki pisarz, uznawany wówczas za najwybitniejszego z żyjących, napisał list do robotnika zamieszkałego w małym Barcinie w Wielkopolsce. Dodajmy, list bardzo nieśmiały, delikatny: „Ze względu na Pański zupełnie niepospolity talent literacki, który objawił się tak niespodzianie i w tak oryginalny sposób, bardzo interesowałyby mnie bliższe wiadomości o panu i pańskim obecnym życiu. Czy ogłoszenie »Życiorysu« i objawy uznania skierowały pana na drogę literacką, czy pan pisze dalej, czy pan wiele czyta i jakie książki? – słowem wszystko, co by pan zechciał mi o sobie napisać, byłoby bardzo interesujące”. Jak przypomina chyba najwybitniejszy znawca i popularyzator Boya, Józef Hen, pierwotnie chciał dodać do listu jeszcze jedno zdanie, w którym próbował wyjaśnić, kim jest: „Co się mnie tyczy, pan pewno nie słyszał o mnie: jestem znanym pisarzem, pisuję też do dzienników”. Po chwili namysłu stwierdził, że nie są to zbyt zręczne sformułowania, i ostatecznie z nich zrezygnował. Wojciechowski o swoim nowym znajomym wcześniej oczywiście nie słyszał, ale list zrobił na nim ogromne wrażenie. Już przedtem spotykał się z zainteresowaniem znajomych jako autor książki. Gdy jednak dostał list z Warszawy od – jak ujmował – „dr. Tadeusza Żeleńskiego-Boy”, mocno to przeżywał. Kilkakrotnie czytał jego treść, pieczołowicie ana-

lizując nadesłany również portret autora korespondencji. To wystarczyło, by obudzić w nim „ducha śpiącego”. Znowu zaczął pisać.

Oczywiście odpisał i odpowiedział także na zadane pytania. Delikatnie wspominał o swoich problemach rodzinnych i finansowych: śmierci siostry, zadłużeniu, kosztownej budowie domu. Zapewne nawet w najśmielszych snach nie przewidywał reakcji

Gdyby nie konkurs, ten 40-letni robotnik byłby żył sobie nadal, nie dowiedziawszy się nigdy, że w nim siedział pisarz, artysta!

pisarza. Ten bardzo poważnie zainteresował się sytuacją kolegi po piórze. Uznał, że żadne przyziemne sprawy finansowe nie mogą odrywać Wojciechowskiego od najważniejszego – pisania, gdyż to, że pan Jakub będzie tworzył dalej, nie budziło u Boya żadnych wątpliwości. Przestał więc kilka marek, zaczął dokładnie wypytywać o to, czy dostaje jakikolwiek dochód w związku ze sprzedażą „Życiorysu”. W końcu zachęcił do skierowania



wniosku do prezydenta RP o wypłacenie specjalnego stypendium. Zresztą sam, angażując się w tę sprawę, uruchomił własne kontakty.

Nadal prowadzili korespondencję. Boy przysyłał kolejne książki, prosząc robotnika o to, aby w miarę możliwości opisywał mu swoje wrażenia z lektur. Była to delikatna próba jego kształcenia, osadzenia w najbardziej znanej literaturze. Pewnego razu w towarzystwie Krzywickiej i dwóch mężczyzn przyjechał do Barcina. Wojciechowski tym przyjazdem bardzo się zestresował. Zaprosił jednak niezwykłych gości do pobliskiej restau-

racji na jajecznicę. Myślał, że człowiek kierujący samochodem był szoferem pisarza. W kolejnym liście Boy tłumaczył mu: „niech pan nie przypuszcza, że literaci w Polsce jeżdżą samochodami; jeżdżę jak inni całkiem zwyczajnie tramwajem lub taksówką”. Wyjątkowo przyjechał samochodem, korzystając z grzeczności dyrektora fabryki samochodów, robiącego sobie czasem wycieczki po Polsce.

Przyszła czas na rewizytę. Wojciechowski po raz pierwszy odwiedził stolicę. Dziwiło go wszystko, nawet uroda warszawianek. Ale na tym nie koniec. Boy oprowadził go po mieście. Z dzisiejszej perspektywy sytuacja ta jawi się jak wymarzona dla każdego współczesnego znawcy historii i literatury. Przychodzi też na myśl film „O północy w Paryżu” Woody’ego Allena! Oto autor „Słówek” pokazał skromnemu robotnikowi najciekawsze ówczesne kawiarnie literackie, zapoznał z wieloma wybitnymi osobistościami, takimi jak Mieczysław Grydzewski, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Jarosław Iwaszkiewicz. Rzecz jasna, na tym nie koniec. Boy pomógł Wojciechowskiemu wydać kolejną książkę („Raz kiedyś a obecnie”), redagował ją i propagował, niestety bez większych sukcesów. Nie zraził się tym i w dalszym ciągu zachęcał przyjaciela do pisania, ułatwiając publikację w prestiżowych „Wiadomościach Literackich” (niedostępnych dla wielu uznanych twórców).

POŁAJANKA OD FILOZOFA

Nie wszyscy okazywali robotnikowi tak wielką życzliwość. Zdarzało się, że traktowano go bardzo protekcyjnie. Przykładem może być spotkanie z Wincentym Lutosławskim, który pouczał go tymi słowami: „Żałuję bardzo, że pan się dostał do obozu Boya. Pan kała i dalej będzie kalać swoją własną mowę. Najprzód trzeba się nauczyć czytać i pisać, a wtedy dopiero zastanowić nad pracą, którą ▶

► chce pan rozpocząć. Pana domek też nie jest budowany od dachu, tylko od fundamentu”. Autor „Słówek” na wieść o tej scenie bardzo się zdenerwował. Tłumaczył panu Jakubowi, że Lutostawski ma z nim swoje porachunki. Tenże filozof obraził się bowiem na pisarza za nieprzychylną recenzję swoich wspomnień (rzeczywiście nader banalnych) i owo dziwne zachowanie to forma zemsty.

No właśnie, wejście do pięknego świata literatury nie oznaczało wyłącznie przyjemności. To również styczność z różnorakimi intrygami. Wojciechowski najpierw zaczął zauważać, jak ostro bywa traktowany przez adwersarzy jego protektor. Prerażony przysyłał nawet Boyowi własnoręcznie przepisane fragmenty nieprzychylnych artykułów z gazet. Pisarz dziękował za trud i wyjaśniał: „Znałem je, bo już jestem zaabonowany w takiej agencji, która mi przysyła wycinki z gazet ze wszystkim, co o mnie piszą, naturalnie dużo takich wymyślań dostaję, ale śmieję się z tego. Zwyczajna rzecz, że jak się chce zrobić ludziom co dobrego, to najpierw muszą człowiekowi wymyślać, dopiero później go chwalić”.

Kilka razy przykre sytuacje spotykały samego Wojciechowskiego. Oto dostawał od Boya, zresztą nie tylko od niego, przesyłki z książkami; czasem do własnej biblioteki, czasem do rozpropagowania (np. broszurki poświęcone gruźlicy). Wielokrotnie blokowano jego działania. Przykładem są choćby oddolne, wprowadzane przez księży, zakazy wypożyczania książek od robotnika literata. Zapewne chodziło nie o same książki, ale o przyjaźń Wojciechowskiego z autorem „Naszych okupantów”.

Zdarzały się i inne historie. Pewnego razu przebywający akurat w swoim ogrodzie Wojciechowski zobaczył

kogoś nieznanego. Niejaki Wacław Gruszka okazał się z pochodzenia Ślązakiem i autorem broszury „Pielgrzymka do Rzymu”. Panowie wymienili się książkami. Po lekturze pan Jakub wysłał do rozmówcy list, w którym szczegółowo wyłuszczył niezbyt pochlebne stanowisko w kwestii papieża i Kościoła. Po trzech miesiącach kolega z pracy zagadał do pisarza: „No, Jakub, coś ty znowu zbroił? Zostałeś oskarżony!”. Okazało się, że niejaki Wincenty Basiński ze Śląska oskarżył go o... szerzenie pornografii i, co gorsza, oskarżenie skierował do prokuratury. Widocznie pan Gruszka propagował zarówno twórczość, jak i list swojego rozmówcy dosyć szeroko. Na szczęście sprawa zakończyła się szybko, nawet nie trafiła do sądu.

Boy: Tak samo jak Wojciechowski dożyłem w innym rzemiośle lat męskich, zanim zorientowałem się w swoim właściwym powołaniu.

Wojciechowski jednak mocno się nią przejmował. Również Boy dopytywał go, czy wie, co to za „pomylenie” zgłosił zarzuty, i delikatnie napominał, żeby następnym razem nie wysyłał bez konsultacji z nim listów w przypadkowe miejsca.

Niektórzy uznawali, że twórca „Słówek” nieco instrumentalnie wykorzystywał robotnika, czyniąc z niego oręż we własnej walce światopoglądowej. Inni twierdzili, że tak nie było, ale mimo wszystko zachwyty nad przyjacielem był nadmierny. Nic dziwnego, już sto lat temu ludzie potrafili złośliwie przedstawić każde szlachetne zachowanie. Ustosunkował się do tego jeden z biografów Żeleńskiego, Wojciech Natanson. Pisał: „Zważmy, że Boy zadawał sobie zbyt wiele wysiłku, by można było wątpić o jego głębokim zainteresowaniu. Mozolnie odczytywał nieczytelne czasem pismo pana Jakuba, poprawiając do

druku jego opowiadania. Trudził się, mimo nawału własnych prac, nad jego pisownią. Wysyłał utwory Wojciechowskiego do swych zagranicznych przyjaciół”.

Odnosimy jednocześnie, że autor „Dziewic konsystorskich” nie chwalił wszystkich początkujących literatów. Wręcz przeciwnie, gdy uznał to za uzasadnione, potrafił być bardzo ostry. Nie szukał też na siłę nowych kontaktów. Witold Gombrowicz wspominał pierwsze z nim spotkanie. Pewnego wieczoru jako nieznany jeszcze młodzieniec zauważył Żeleńskiego w jakiejś knajpie w Zakopanem. Przysiadł się, ale nie wiedział, co powiedzieć. I raptem wypalił: „Widzi pan, ja też jestem taki pasażer, co to siedzi na krześle, krzesło stoi na pace,

paka leży na workach, worki na wozie, wóz na statku, statek na wodzie. Ale gdzie jest grunt i jaki jest ten grunt, nie wiadomo”. Boy spojrzał na niego od niechcenia, odburknął tylko: „Jak my wszyscy” i na tym się skończyło. Choćby w kontekście tej relacji przyjaźni z Wojciechowskim była czymś wyjątkowym.

Autor „Życiorysu” wydał w Bibliotece Boya kolejną książkę (wspomniane już „Raz kiedyś a obecnie”), a w 1935 r. otrzymał od Polskiej Akademii Literatury Złoty Wawrzyn Akademicki za wybitne osiągnięcia dla literatury polskiej. Nie pisał jednak zbyt wiele: po wojnie przygotował dalszy ciąg swojego życiorysu, obejmujący czasy dwudziestolecia, II wojny światowej i PRL. Jak przypominał Wiesław Rogowski, był również społecznym korespondentem Polskiego Radia. Zmarł w roku 1958 w rodzinnym Barcinie. Jego pamiętnik „Ciąg dalszy mego życiorysu już w kraju” ukazał się pośmiertnie.

Józef Hen książkę o Stanisławie Augustzie Poniatowskim zatytułował „Mój przyjaciel król”. Wojciechowski z dumą mógłby natomiast powiedzieć: „mój przyjaciel Boy”. Co przesądziło o tym, że wybitny pisarz okazał skromnemu robotnikowi tyle życzliwości i ciepła? Pełnej odpowiedzi na to pytanie nie poznamy nigdy.

Maciej J. Nowak

Prezes to ludzki człowiek: sam zarobi, ale też da zarobić innym. Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE”.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

NIE NA MIEJSCU

Zmarł Jan Olszewski. Było dwóch Olszewskich. Ten dawny, przez kilkadziesiąt lat odważny obrońca w procesach politycznych, działacz opozycji o poglądach liberalnych. I ten osobliwy, narodowo-prawicowy z lat 90. A poznałem go w loży masońskiej, jeszcze w pierwszej postaci. Nie zdradzałem żadnej tajemnicy, bo to rzecz już powszechnie znana, że był masonem. Jest koniec lat 80. Jan Józef Lipski proponuje mi, abym wstąpił do masonerii. Wahałem się, śmieszą mnie takie rytuały, ale też wiedziałem o pięknej tradycji wolnomularstwa (wytrzymałem tam jednak krótko). W czasie inicjacji, gdy zdjęto mi z oczu opaskę, ujrzałem w półmroku przy stole męskie grono; pierwszy z brzegu siedział Jan Olszewski, który uśmiechał się do mnie serdecznie. Byłem potem świadkiem, jak Olszewski walczył, by do loży przyjąć jego przyjaciela, Antoniego Macierewicza. Gdy padła ta propozycja, zapanowała mała konsternacja. I odrzucono ten pomysł jako ryzykowny. Jaka szkoda! Macierewicz jako brat mason – to byłaby piękna figura.

A co się stało z Janem Olszewskim potem? Pamiętam, że gdy kiedyś po naszym spotkaniu szedłem z nim ulicą, westchnął i powtarzał: „Strasznie jest”. To było już po roku ‘89. Ta straszność w jego westchnieniu była taka, że strach mi było pytać, dlaczego. Powinienem wiedzieć, ale nie wiedziałem, przecież Polska odzyskała wolność. To zagadka psychologiczna, że niektórym ludziom otwarte głowy nagle się zatrzaskują. A decyzja o wprowadzeniu żałoby narodowej z powodu odejścia Jana Olszewskiego jest nie na miejscu. To gruba przesada. Tak jak nie na miejscu jest Andrzej Duda.

W Lidzbarku Warmińskim jest oranżeria wzniesiona na początku XVIII w. Zniszczona przez Szwedów, potem odbudowana, kształt ostateczny nadał jej poeta biskup, Ignacy Krasicki. Ten piękny budynek stoi na wzgórzu i patrzy na miasto. W Oranżerii Kultury mieści się biblioteka. Zaproszono mnie tam na Salon Literacki „Nabytki 2018”. Czytelnicy omawiają nowe tytuły, te, które ich zainteresowały. Bardzo to ładne, wzruszające spotkanie i powiew optymizmu. Może z książką nie jest tak źle, jak czasami się wydaje? Kierowniczka przyznaje jednak, że jest stały odpływ czytelników, powolny na szczęście. Myślę: tacy ludzie jak ona – wiele się dzieje w tej oranżerii – są solą polskiej prowincji. Dzięki nim mimo komercji i paranoi po-

litycznej jest wiele dobrych rzeczy w małych ośrodkach, o czym nic nie wiemy w dużych miastach.

Mój przyjaciel z Toronto, poeta, autor stoczniowej piosenki „Do córki”, jest cięty na polską głupotę. A ma jej wiele w Kanadzie. Pisze do mnie słowa mocne, czy nie krzywdzące? „To przepiękna formacja umysłowa, ta Polonia tutaj. Ciągłe w obawach o sprowadzanie uchodźców, ściąganie imigrantów (około miliona rząd chce ściągnąć w przeciągu trzech lat, natychmiast posypały się komentarze Polactwa – to już koniec, durnie, koniec wolności, żegnaj Kanado itp.). Szczególnie tych »ciapatych« nie wolno. Kanada powinna być tylko dla Polaków i dla bia-

łych. Ci, co już tu byli parę tysięcy lat przed Polakami, też powinni być na marginesie. Najlepiej w rezerwatach. Także Cyganie i pedały. Lesbijki już nie, bo to ich po cichu

pociąga. Kilkanaście lat temu w czasie kłótni dwóch organizacji polonijnych jedni zarzucali drugim, że się zachowują jak Indianie. Co mieli na myśli, absolutnie nie wiem. Polacy, obojętnie na warunki i motywacje, winni być zawsze akceptowani jako imigranci, otrzymać mieszkania rządowe, zasiłek i wyposażenie na start (ubrania, meble, auto, motorówka też chętnie widziana), bo »som jednostkami wybitnymi i przez setki lat cierpiącymi«”. Może to przesada, ale coś w tym jest. Jeżdżąc po świecie, spotykałem wielu wspaniałych Polaków, ale i takich, o jakich pisze mój przyjaciel.

Kiedy jedziemy samochodem, Antoś przepytany jest z dziesięciu przykazań, zadano mu je na religii. Pytam go podstępnie, czy wie, co mówi szóste i dziewiąte przykazanie, jak je interpretować. „Nie cudzołóż. I nie pożądaj żony bliźniego swego”. Miał lekcje uświadamiające, całkiem niezłe jak na polską szkołę, ale wobec tych przykazań okazały się całkowicie niewystarczające. Dziewiąte zresztą uparcie przekręca i mówi: „Nie pożądaj żony swojej”. A ja nagle przypominam sobie, że dekalog, moralny pień chrześcijaństwa, jest wspólny z judaizmem, jak cały Stary Testament. Co wcale nie jest ogólnie znane, podobnie jak to, że Chrystus i jego matka byli Żydami. W Polsce powszechne jest przekonanie, że byli Polakami. A cudzołożenie też powszechne, również wśród księży.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

27 stycznia 1944 r. Armia Czerwona przełamała trwające prawie 900 dni oblężenie Leningradu. Szacuje się, że w wyniku blokady zginęło milion cywilów. Była to jedna z najokrutniejszych bitew II wojny światowej.

Miasto skazane na chwałę

Kontroler ruchu na tzw.
Drodze Życia nad jeziorem
Ładoga.

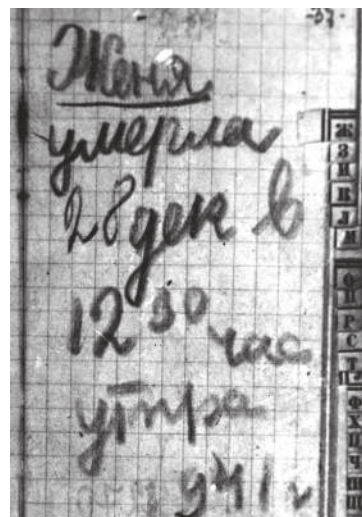


Mieszkańcy oblężonego
Leningradu czerpią wodę
z przerwane go wodociągu.



Wiera Tichowa, uczennica szkoły
podstawowej, pracująca na stanowisku tokarza.

Kartka z notatnika
ucznicy Tani
Sawiczewej,
która straciła całą
rodzinę podczas
blokady.



FOT. SPUTNIKIMAGES

eprasa.pl 524b0ca149



▲
Mężczyźni grzebią zmarłych na cmentarzu Wołkowskim.



▲
W latach blokady z głodu zmarło ponad 632 tys. osób.
Większość ofiar pochowano na cmentarzu Piskariowskim.

► Leningrad po bombardowaniu, zima 1942 r. ►



Berlinale 2019: lekcja prawdy

Film Agnieszki Holland krytyków nie zachwycił



Choć „Obywatel Jones” opowiada o wydarzeniach z początków ubiegłego wieku, silnie koresponduje ze współczesnością.

Mateusz Demski

Mówi się o Berlinale, że to najbardziej zaangażowane politycznie święto kina, festiwal filmów kręconych na bieżąco, na podstawie palących problemów współczesności, wyciętych z nagłówków prasy codziennej. Konkurs główny uznaje się za barometr niepokojów świata.

Także podczas tegorocznej, już 69. edycji Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie nie zabrakło obrazów traktujących o zachwianiu pojęć demokracji, rodziny, społeczeństwa, historii, wiary, o światowym kryzysie i sadystycznej polityce zaciskania pasa tym, którzy różnią się od nas. Opowiedziano różne historie, które zrodziły się z gorzkości i niezgody na kierunek, w jakim zmierza świat. Twórców połączyło jedno – chęć odmalowania rzeczywistości we wszystkich jej odcieniach.

W poprzednich latach temu uniwersalnemu przesłaniu i solidarnościowej postawie próbowało sprostać wielu naszych reżyserów. Na Berlinale pokazywali filmy i zdobywali nagrody: Tomasz Wasilewski („Zjednoczone Stany Miłości”), Małgorzata Szumowska („Body/Ciało”, „Twarz”), Agnieszka Holland („Gorączka”, „Pokot”). Dwa lata temu nagrodzony „Pokot” został uznany za manifest wymierzony w choroby gnębiące dziś ludzkość. Inni odczytali go jako wyraźne sta-

nowisko w wojnie polsko-polskiej. W tym roku Holland wróciła do konkursu głównego po raz trzeci. Swoim filmem cofnęła się w nie tak odległą przeszłość, aby pokazać, że historia wciąż się powtarza. Ale punktem odniesienia filmu „Obywatel Jones” pozostała teraźniejszość – doba fake newsów i manipulowania emocjami.

Fantastyczną aluzją do naszej epoki okazuje się historia Garetha Jonesa, który na początku lat 30., jako nieznaany szerzej *freelancer*, przyjechał do Moskwy, aby przeprowadzić wywiad ze Stalinem. Kiedy usłyszał tam o głodzie, zmienił jednak plany i udał się na Ukrainę. Na własne oczy zobaczył śmierć głodową milionów ukraińskich chłopów i postanowił wszystko to opisać. Jednak Zachód nie chciał słyszeć o tragedii Hołodomoru, oamiony radziecką propagandą o powodzeniu kolektywizacji i industrializacji. Ten wygodny moment zawieszenia podtrzymali zachodni korespondenci przebywający w tym czasie w Moskwie. Wśród nich był Walter Duranty, dziennikarz „New York Timesa”, który za „wnikliwie” i „transparentne” repor-

taże, a w rzeczywistości zaprzęgnięcie duszy za sławę i pieniądze oraz pomoc Stalinowi w kamuflowaniu zbrodni na Ukrainie, otrzymał Pulitzera. Jones zaś zniknął na wiele lat z kart historii. A kilka lat po tym, jak duchy ofiar stalinowskiej zbrodni doczekały się dzięki niemu sprawiedliwości, zginął w trakcie podróży do Mandżurii. Prawdopodobnie z rąk NKWD.

Choć film opowiada o wydarzeniach z początków ubiegłego wieku, silnie koresponduje ze współczesnością. Postawa Jonesa, idealisty o wielkim sercu i wyczuciu politycznym, każe zapytać, na czym polega dziś rola demokratycznych, wolnych mediów. O to, jak uprawiać dziennikarstwo rzetelne i odpowiedzialne za słowo, ze wszystkimi wiążącymi się z tym zadaniem przeciwnościami. Postprawda, manipulacja opinią publiczną, powszechny fałsz – najnowszy film Agnieszki Holland przewrotnie przekonuje, że wszystko to było już w czasach Jonesa, a dziś zostało tylko zwielokrotnione.

„Obywatel Jones” spotkał się jednak z dezaprobatą, plasując się na szarym końcu zestawienia, które znalazło się w festiwalowym wydaniu „Screen International”. Największy sprzeciw międzynarodowych krytyków wzbudziły „szalenie nierówna narracja” oraz „forma przypominająca kontrolowaną lekcję historii”. Faktem jest, że to kino o ambicjach edukacyjnych, moralitet o obniżonym stopniu trudności rozszyfrowania. Myślę jednak, że dyskusja wokół „Obywatela Jonesa” powinna – szczególnie w naszym kraju – zostać skierowana na inne tory. Filmowe gusta bywają różne, ale nikt nie odmówi Holland odwagi w snuciu refleksji o rzetelności mediów. ■

Wschodząca gwiazda Dawida Ogrodnika

Dawid Ogrodnik, znany m.in. z „Cichej nocy”, „Ostatniej rodziny” i „Chce się żyć”, znalazł się w gronie dziesięciu aktorek i aktorów wyróżnionych tytułem wschodzącej gwiazdy, European Shooting Star 2019. Międzynarodowe jury, które przyznało nagrodę podczas tegorocznego Berlinale, uzasadniło swój wybór wrodzonym talentem Ogrodnika – wrażliwą twarzą, która oddaje głębokie emocje granych przez niego bohaterów, oraz wszechstronnym podejściem do sztuki filmowej.

Koszt narodowej wiagry

Edward Mikołajczyk

Mój wkład w dzieło utrzymania pokoju na świecie jest bardzo mały. Chodzi raptem o dwa czyny z czasów młodości, które muszę tu utrwalić, bo na podręczniki nie mam co liczyć. Otóż sprułem musztrę u mjr. Proniewicza po pierwszym roku studium wojskowego Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Siwy major był dla nas, szeregowych, jak ojciec. Zawsze wiedział, co knuje wróg i jaką należy dać mu nauczki. Nie cierpiał erzaców. Na egzaminie w Collegium Novum na parterze było tak: w niekompletnym umundurowaniu (bez czapki) położył się na wznak na podłodze świeżo wysmarowanej szuwaksem i powiedział, że to jest grób nieznanego żołnierza. Z tej pozycji skierował do mnie pytanie egzaminacyjne w formie komendy: – Szeregowy! Idźcie i zachowujcie się regulaminowo!

Egzamin z musztry zdałem dopiero w sesji poprawkowej po wakacjach. Kilkanaście lat po II wojnie światowej udało mi się w ten sposób odwlec trochę wybuch następnej, bo przecież nie zaczęliby beze mnie, bez ważnego zaliczenia w indeksie.

Drugą okazję do wykazania się umiłowaniem pokoju na świecie dostałem na poligonie, już jako starszy szeregowy (jedna belka). Forsowaliśmy Wisłę pod Sandomierzem, nie wiem po co, bo po obu stronach byli nasi. Wojsko bardzo lubi wojny na poligonach, gdzie zwycięstwo jest nieuchronne, bo wroga wyznacza się spośród swoich albo bierze z castingu. Z rozkazu kpt. Kawy pozorowałem nieprzyjacielski czołg. Pobrałem stosowną makietę z dykty pomalowanej jednolitej na zielono oraz jedną świecę dymną.

Czołg nie był poręczny ani w obronie, ani w natarciu. W każdym razie nie udało mi się za pomocą tej bestii

Choć zmieniają się dekoracje ustrojowe i kostiumy ministrów obrony, pytania o wojnę i pokój pozostają niezmiennie.

wywołać popłochu w szeregach npla, a świeca w ogóle nie chciała puścić dymu. I to był cały mój wkład w utrzymanie pokoju. Dzięki mnie zwycięska ofensywa trwała krócej, niż przewidywał plan zajęć, i nie było strat w ludziach ani w sprzęcie. Rekwiizyty wróciły do magazynu, zachowując dawną sprawność bojową. Jednak zamiast pochwały usłyszałem od kapitana, że włożyłem ten czołg „jak starą k... za włosy”, z czego wywnioskowałem, że w wojsku tak się nie robi, choć w literaturze przedmiotu nie udało mi się znaleźć potwierdzenia niegodziwości mojego zachowania na polu walki. Podobnie zresztą długo nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego kapral musi drzeć mordę i dawać wycisk kotom, żeby zostać sier-

żantem, i robić to aż do następnych szlifów. Otworzyła mi oczy dopiero książka Jerzego W. Borejszy „Ostaniec”, a w niej wspomnienie profesora z czasów studium wojskowego, już nie pamiętam, czy w Moskwie, czy w Kazaniu. Na jego uczelni najsurowszy był ppłk Winokurov od topografii. „Myślisz, że was męczę?!”, odezwał się kiedyś ów oficer do naszego studenta. „Myślisz się. Wrócisz do Polski. Zapyta cię marszałek Rokossowski – kto cię uczył wojskowego rzemiosła? Powiesz – pułkownik Winokurov. Ch... on, a nie pułkownik, ten Winokurov, powie Rokossowski. Dlatego muszę wymagać. Rozumiesz?”.



Po tej lekturze i ja rozumiałem, choć wzmiankowanego rzemiosła uczono mnie w cywilnym Krakowie. Nie mieliśmy prawdziwych mundurów i nie ćwiczyliśmy inwazji na Nowy Jork. Owszem, walczyliśmy o pokój, ryzykując śmieszność, ale w granicach cesarstwa austro-węgierskiego.

Choć zmieniają się dekoracje ustrojowe i kostiumy ministrów obrony, pytania o wojnę i pokój pozostają niezmiennie. Rozsądny mieszkaniec naszej części Europy znajdzie na nie odpowiedzi u Józefa Szwejka. Kto uważa, że np. nam bardziej się opłaca stoszenie piór, a dokładniej odstraszenie stoszeniem, niech uwzględni w rachunku

koszt narodowej wiagry niezbędnej do utrzymywania tej pozycji.

Minister Macierewicz srożył się na konferencjach organizowanych w coraz to innej twierdzy Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Ale przynajmniej był bezkosztowy, bo obiecywał, a nie kupował. Minister Błaszczak tymczasem już nabył jeden helikopter i – jak się zdaje – nie zamierza się liczyć z pieniędzmi na zakupy w USA. A musi wiedzieć, że dodatkowo słono może go kosztować nieprolifracja. Bo jeżeli nowa technologia wycieknie ze zbrojowni PiS, opozycja bez wahania porzuci korkowce i zawilgocone kapiszony. Użyje wydajniejszej amunicji.

STATUETKA ZA PANIKĘ

Oscary w całkiem nowych kategoriach

Wiesław Kot

Tak naprawdę tylko branża pamięta o większości kategorii, w których przyznawane są Oscary. Laureat ma z tego wpis do biografii i uzupełnienie notki w Wikipedii, co potem ułatwia ułożenie nekrologu. Nagrody Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej zostaną rozdane po raz kolejny 24 lutego, zestawimy więc dziś nominacje w kategoriach zupełnie nowych, ale jakże użytecznych. Że to filmy z drugiej linii? Że na Oscara nie miałyby najmniejszych szans? Nie szkodzi. Kino od zawsze mnóstwo interesujących rzeczy mówiło mimochodem.

KATEGORIA: NARODOWE OTRZEŻWIENIE

Nasza coraz bardziej „narodowa” kinematografia stawia sobie za cel krzepić, uwznioślać i umacniać ducha. Czasem, gdy się zapędzi, robi sobie wbrew. I nagle zaczyna być interesująco...

1. *Ex aequo*: „303. Bitwa o Anglię” (reż. David Blair) i „Dywizjon 303. Historia prawdziwa” (reż. Denis Delić)

W pierwszym filmie nasze „orle” z Dębłina pod komendą sztywnych oficerów brytyjskich wykazują się ciętą arogancją wobec przełożonych, gruntowną pogardą dla dyscypliny wojskowej i kompletną ignorancją w kwestii obsługi maszyn. Instruktor może setki razy przypominać, że podwozie samolotów angielskich, w przeciwieństwie do polskich, jest wysuwane. Nasi piloci mają to w poważaniu – podczas lądowania lekką ręką zniszczą bezcenną na wojnie maszynę. Poza tym polskie 20-latkę to alkoholicy. Piją przez cały dzień w oczekiwaniu na sygnał do wylotu, niektórzy doprawiają wódkę benzedryną. I tych swoich rekordowych zestrzeleń dokonują albo po pijaku, albo na kacu.

W drugiej produkcji to samo, tylko na innych przykładach. Kiedy nasi piloci lecą jako część brytyjskiego klucza, zamiast rozmawiać po angielsku (zorganizowano im kursy!), przerzucają się ojczystymi bon motami. A jak słyszą rozkaz angielskiego dowódcy, udają, że nie rozumieją, i latają, jak im podpowiada fantazja. Dlaczego więc armia brytyjska korzysta z usług tych harcowników? Zostaje to powiedziane wprost: wyłącznie aby zyskać na czasie. Czyli zbudować więcej maszyn i wyszkolić własnych, „normalnych” pilotów. A te świry i pijaki niech tymczasem się pozabijają. Nasze orły dziwią się, że wprawdzie premier Churchill bąknął coś o tych nielicznych, którym tak wielu ma mnóstwo do zawdzięczenia, ale władze odmawiają im prawa stałego pobytu. Naciskają wręcz, by pożeglowali do komunistycznej Polski. Cóż, chłopcy niewiele zrozumieli z tego, co ich spotkało...



2. „Pomiędzy słowami” (reż. Urszula Antoniak)

Opowieść o „zewie polskości”, szkoda, że bałamutna. Po pani reżyser spodziewalibyśmy się czegoś więcej. Przecież fachu uczyła się w filmówce katowickiej, debiutanckie filmy kręciła w Amsterdamie, a w Cannes pokazywano je jako nadzieję kinematografii europejskiej. A tu mamy Michaela (*de domo* Michał), który idealnie wpasował się w skórę wziętego berlińskiego prawnika. Uwiera go, że jest przyszywanym Niemcem, więc bardzo się stara zacierać ślady. Maniakalnie szlifuje język, dba o zawodowe kompetencje, do kancelarii chadza w garniturze sztywnym na miarę. W dodatku blondyn jak z żurnala (Jakub Gierszał), więc „czysty Aryjczyk”. Do czasu. Bo jak grom z jasnego nieba zjawia się u mecenasa polski tata (Andrzej Chyra). Polski do przesady: wymięty, zapuszczony, żyjący od środy do piątku. Serce i rozum nakazywałyby rodzica dyskretnie wspomóc i wrócić za ważne biurko. Ale nie z Polakami takie numery. Teraz tato Polak z synem coraz bardziej Polakiem wędrują ulicami Berlina, licytując się, który bardziej się sprzedał. I mecenas Michał z czasem pewnie porzuci judaszowe euro i wróci na mazowiecką równinę grać na fujarcie pod wierzbą. Może i pani reżyser zechce mu towarzyszyć?

KATEGORIA: STUKNIĘCI I PRZEBUDZENI

Ty się lepiej puknij w łeb! – za tym frazesem kryje się całkiem solidna treść. Jeden porządny łomot w czachę i już wkraczamy na czerwony dywan. Na co są przykłady.

1. „Jestem taka piękna!” (reż. Abby Kohn, Marc Silverstein)

Brzydkie kaczątko, które zmienia się w łabędzia za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – ten refren biega po kinie popularnym tam i z powrotem. Widać, ma spore branie. Odwrotnie niż Renee (Amy Schumer, etatowa *dumb blonde* amerykańskiego kina), która jest ledwie tolerowana w prestiżowej korporacji na posadzie recepcjonistki. Mniejsza o to, że umyślowo ciasna, gorzej, że ma nadwagę. Z takim felerem szanse na karierę ma bardzo marnie. Więc Renee wykonuje tuzinkowe czynności biurowe z zasmarkanym nosem i nisko nad białem. Do dnia, kiedy uderza się w głowę w klubie fitness. I porobiło jej się tak,

że w lustrze dostrzega panienczkę wiotką jak brzoza. Dalszy ciąg rozumowania jest przewidywalny: skoro piękna, musi też być inteligentna. Jej kariery w korporacji nie wyhamuje już nic – *sky is the limit!* Wniosek z filmu taki, że co brzydsze korporantki powinny sobie na murze przy recepcji zawiesić rodzaj tarczy strzelniczej i walić w nią głową do skutku.

2. „Teraz albo nigdy” (reż. Peter Segal)

Maya jest skromną wyrobnicą w supermarkecie i sama musiała stuknąć się w główkę, żeby jej kariera ruszyła z miejsca. Impuls przyszedł z sieci. Do tej pory mozolnie ściubiła swoje CV. I miało ono szczelne pokrycie w jej – przyznajmy, niewielkich – kompetencjach. Jak szef ma postawić na ukladną, choć ciasno sformatowaną paniencę i takiegoż faceta – zawsze wybierze faceta. Kłapa, zawód i ły. Aż do dnia, gdy jakaś dobra internetowa dusza podkręciła jej życiorys zawodowy. Ona, cała niepewna, podsuwa tę błagą ważnym facetom za biurkami jak lotniska. I... od razu inna rozmowa! Kiwiają z uznaniem głową, „są pod wrażeniem”. A kiedy Maya wsunęła już stópkę między korporacyjne drzwi, sama zaczęła wierzyć w to, co stoi w podkoloryzowanych papierach. Urządza w firmie trzęsienie ziemi i stawia ją z głowy na nogi. No, może się zdarzyć, że jakiś prosiak weźmie jej CV pod lupę. Ale czy nie jest już czasem za późno? Czyż Maya nie stała się dokładnie taka, jak ją przedstawiono w zaświadczeniach?

3. „Made in Italy” (reż. Luciano Ligabue)

Riko to urodzony „kiwon” – kiwa potakująco głową na wszystko, co mu powiedzą. I tak od 50 lat. Tata kazali zatrudnić się w rzeźni? Posłuchał, zresztą woli zwierzęta od ludzi, przynajmniej tyle nie paplają... Żona (Kasia Smutniak!) przedstawia go jak zbędny mebel – on grzecznie się usuwa. Koledzy namawiają, by jechał do Rzymu na manifestację związkową – już jest spakowany. I znowu – aż w tę głowę do potakiwania zarobił pałą od policjanta. Wstrząs i szok! Przyjrzał się żonie i zobaczył tępą żonę; od szefa twardo domaga się podwyżki; kumple go mierzą. Więc oni wszyscy wysyłają Riko z powrotem na demonstrację. Da mu kto pałą po łbie, to główka znów będzie się kiwać jak u pieska w samochodzie.

KATEGORIA: PAN BÓG I PRZYJACIELE

To tylko my podliczamy, ile nas kosztuje zbawienie wieczne, jeżeli wziąć pod uwagę opłaty (taca, sakramenty, kolęda), godziny mitręgi na lekcjach „relci” i msze przeczekiwane za filarem. W tym czasie świat uderza w struny metafizyczne.

1. „The Place” (reż. Paolo Genovese)

A gdyby do Pana Boga można było się dosiąść w kawie na rogu? Bez skrupowania i celebry? I wyłożyć mu swoje marzenia: by mąż wyszedł z alzheimera, by mężczyźni zaczęli się ogładać za brzydula, by się przespać z modelką z plakatu. Patrząc po ludzku – niemożliwe. Ale „nie masz nic niemożliwego u Boga”. Z tym że Bóg nie jest magikiem. On to marzenie ziści, o ile człowiek je sobie wypracuje. A to wymaga posunięć karkołomnych, czasem absurdalnych. On jednak ma mnóstwo czasu – sonduje, kto jest wart własnych marzeń. Niewielu takich. Najczęściej

chcą mieć wszystko, zaraz i za darmo. Może więc niech pozostaną marzycielami? Marzenia nic nie kosztują.

2. „Maria Magdalena” (reż. Garth Davis)

Najstłynniejsza jawno-grzesznica świata niekoniecznie musi mieć zmysłową twarz, burzę rudych włosów i figurę wionczeli jak Monica Bellucci w „Pasji” Mela Gibsona. Może się nosić jak ówczesna feministka i tak też się poruszać w gronie mężczyzn otaczających proroka z Galilei (Joaquin Phoenix). W naszym filmie Maria Magdalena (Rooney Mara) okazuje się kobietą samoświadomą, niezależną i drapieżną. Na początek przyłącza się, wstuchuje i uczy. I już wie – nie pozwoli się zamknąć w roli przekazicielki genów. Nawet jeżeli miałyby to być geny Narodu Wybranego. Powoli dochodzi do przekonania, że takie jak ona powinny kiedyś podpalić świat. Cóż, ładaczniczka z zasadami!

KATEGORIA: JEGO WYSOKOŚĆ PRZYPADEK

Powiedzenie „a nuż!” powinno zyskać charakter polskiego zwrotu narodowego. Pali się i wali, ale my nie padamy w desperację. Przecież jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Zwłaszcza w miłości.



Pech to nie grzech

1. „Pech to nie grzech” (reż. Ryszard Zatorski)

Natalia, która szczerze kariery zawodowej pokonuje sprintem, w kwestii miłosnej najbliższe trzy miesiące zapewne znowu zakończy bilansem zerowym. Koledzy nawet się założyli. Ona ich podsłuchiwała, wzięła się na ambit i zaczyna się kręcić wokół informatyka, który uchodzi za absolutnie nieprzysiadalnego. Cóż, na bezrybiu... Ale: powłóczyście spojrzenie, trzepot rzęs, niby przypadkowe muśnięcie dłoni, lekko obniżony dekolot, podciągnięta spódniczka i już mamy fatyganta podanego na srebrnej tacy. A wydawałoby się – absolutnie niemożliwe. Cóż, faceci to jednak całkiem proste zwierzęta.

2. „Miłość jest wszystkim” (reż. Michał Kwieciński)

Jeżeli komuś sprawy serca idą jak po grudzie, powinien się zdać na Boże Narodzenie. Wtedy – co potwierdza

► co druga nasza komedia romantyczna – rzeczy absolutnie niemożliwe dzieją się na pstryknięcie palcami. Dziewczyna, która przez całe życie zmieniała kanał, gdy tylko na ekranie pojawiało się boisko, nagle wpada w ramiona piłkarza celebryty i czuje się w nich zaskakująco dobrze. A nawet coraz lepiej. Pary, które przysięgały sobie „aż po grób”, nagle tasują się z zupełnie przypadkowymi partnerami i już z tymi nowymi przysięgają sobie ponownie. Puenta? Schrzanieś, człowieku, swoje życie koncertowo? Wyluzuj, odczekaj do Gwiazdki, tzw. magia świąt odwali za ciebie całą robotę, nie będziesz nawet wiedział kiedy.

KATEGORIA: A TO POLSKA WŁAŚNIE!

Wielką polityką żywi się warszawka i grono zapiekłych starszuchów hejterów wystukujących wyzwiska w kafejkach internetowych. „Polacy” mają o wiele poważniejsze zmartwienia. I to z dostawą do domu.



Zabawa zabawa

1. „Zabawa zabawa” (reż. Kinga Dębska)

Film zapowiadany w tonacji: przełamujemy kolejne tabu – alkoholizm kobiet. Owszem, przełamujemy, ale... jak cię mogę. Błyskotliwa pani prokurator (Agata Kulesza) w zenicie kariery zawodowej uwielbia, gdy wódeczka stymuluje ją na sali rozpraw, a poza nią to już całkiem. Pani ordynator ze szpitala dziecięcego (Dorota Kolak) strzeli sobie małpkę przed wykładem, a jak nieco więcej, to nawet chwyci za skalpel. Studentka (Maria Dębska) na procentowym wspomaganiu świetnie zdaje egzaminy, a jako praktykantka prowadzi w korpo ważne operacje. Ale wszystko do czasu, bo każdą z pań czeka widowiskowa wpadka. I wtedy następuje to, co wydaje się w filmie najciekawsze, choć powiedziane półgębkiem. Jak panie popijające i awansujące otaczał wianuszek przyjaciół, tak po wpadce – znikają jak zdmuchnięci. Ale też każdy na pożegnanie zostawia bezcenną radę: zgłoś się na odwyk, idź do AA, wszędzie, gdzie chcesz, byle nie do mnie. W ten sposób na alkoholicki przychodzi prawdziwe otrzeźwienie.

2. „Gotowi na wszystko. Exterminator” (reż. Michał Rogalski)

„Proza życia to przyjaźni kat / Pęka cienka nić / Telewizor, meble, mały fiat / Oto marzeń szczyt”, ubolewał Zbigniew Hołdys nad upadkiem etosu rockowego jeszcze za wczesnego Jaruzelskiego. I to się u nas nie przedawnia.

Muzycy z ostrej metalowej kapeli Exterminator przysięgali sobie, że za żadne skarby nie wejdą w układy. A wystarczyło parę latek i już merdają ogonkiem przed żoną i posłusznie odbijają kartę na zakładzie. Bo czynsz, bo dzieciak, bo raty... A tu dawnej fance, obecnej pani burmistrz, udało się wydebić z Unii kasę na reaktywację kultowej – było nie było – kapeli. Niedowierzenie, szok i ekstaza! Znowu dadzą czadu – jak kiedyś. Z tym że nie bardzo. Bo dotacja, owszem, przysługuje, ale nie na garażowy tomot, lecz na „muzykę dla ludzi”. Taką na wesele, na fiestę, do grilla. I „niezłomni” po raz kolejny zegną kark. Bo czynsz, bo raty...

3. „Dzikie róże” (reż. Anna Jadowska)

Problematyka emigrancka filmowana jest u nas coraz częściej. Na ekran trafiają zwłaszcza powroty „zarobkowych”, którzy wdrażają rewelacyjny pomysł na biznes – w odludnej chałupie założą plantację marihuany. Ciągnie się to od ponurego dramatu rodzinnego „Cicha noc” po kiczowisko typu „Miszmasz, czyli kogel-mogel 3”. W „Dzikich różach” występuje komplikacja dość spodziewana. „Mąż tam w świecie za funtem odkładał funt”, a żona poszukała ciepła u innego pana. Niestety, tzw. pożar namiętności plus polska beztroska spowodowały, że gdy mąż wpadnie na pierwszą komunię córeczki, trzeba będzie mu zakomunikować, że rodzina się powiększy. Bez jego udziału. I to tak, żeby szlag nie trafił jego, rodziny i ciężko uciulaną fortuny.

4. „Twarz” (reż. Małgorzata Szumowska)

„Polacy – nic się nie stało!”, mógłby wykrzyknąć swemu otoczeniu Jacek, któremu wypadek samochodowy przefasonował buźkę. Ale dzisiejsza medycyna czyni cuda. Sprezentowała mu czoło, usta, policzki i całą resztę, jak się patrzy. Tyle że całkiem inne, bo każdy fragment od innego dawcy. Chłopak wraca ze szpitala jak nowy. Ale szybko się przekonuje, że „jak” robi wielką różnicę. Dziewczyna, przyszła teściowa, siostra, ksiądz wprawdzie przyjmują do wiadomości, że to ta sama osoba, ale dookoła chłopaka narasta mur chłodu. Dlaczego? To proste – otoczenie Jacka nie ma wprawy, nawyku wychodzenia naprzeciw innemu, „obcemu”. Uwielbia za to stawiać granice: tu swój, tam obcy. Powoli staje się to naszym narodowym sportem.

5. „Atak paniki” (reż. Paweł Maślona)

Schemat ogólnościatowy: zwyczajny człowiek na skutek splotu nieprzychylnych zdarzeń gotów jest bić, gwałcić, mordować. W polskiej odmianie tej sytuacji dochodzi jeszcze impuls: co ludzie powiedzą?! Pod ciśnieniem tej obawy najwykleszy „Polacy” zapuszczają się w regiony absurdu, paniki i rzezi. Dziewczyna posunie się do ostateczności, byle przyjaciele nie rozpoznali w niej panienki, która wrzuciła do sieci swoje rozbierane filmiki. Panna młoda panikuje, bo poród wypadł w trakcie uczty weselnej, a jedyną kompetentną osobą na sali jest psi psycholog. No i jak tu zatuzować rodzicielstwo przed rodziną i gośćmi? A te historyjki mają wyjątkową skłonność, by się zapętlać do granic absurdu. Ale żeby zobaczyć takie rzeczy, nie musimy chodzić do kina. Wystarczy włączyć telewizor.

Wiesław Kot

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

KROPLÓWKA Z KURKUMY

Niniejszym postanawiam: jak kontroler biletów w tramwaju proponuje mi ozonowanie krwi – to emigruję.

Zaczęło się od wizyty u dentystki. Z gabinetu pani doktor wyszłam z pełnym makijażem – teatralnym, ciężkim. A weszłam *sauté*, prosto od komputera. Kremem tylko chlapnęłam, bo mam psa i go mierzwię, i nie chcę przenosić zapachów. Leżałam na fotelu dentystycznym, buzię otworzyłam, a pani, że trzeba natychmiast coś zrobić z brwiami, że oka nie ma, ust nie ma i że trzeba narysować tej twarzy „jakieś granice” (*sic!*). Nie lepiej mieć twarz bez granic? Ale ona – hyc do torebki i zaraz mi nałożyła masę rzeczy: kilo na rzęsy, krecha na usta, te słynne cienie. I o włosach, że siwe to jednak ZNAK i czy ja na pewno chcę takie ZNAKI dawać. OK, to już przerobiłam. Po wizycie u fryzjera pani recepcjonistka zawsze pyta dobrotnie, kiedy odsiwianie. Po czym wstaje nagle, zrywa się, jakby chciała za mną biec, by powstrzymać przed

Że coś ze mną jest nie tak, pomyślałam już w warzywniaku, kiedy pani mi podała saszetki na refluks.

wyjściem na ulicę i totalną kompromitacją. To z lubienia, wiem. I miło, że człowieka drugi człowiek obchodzi.

Ale że coś ze mną jest nie tak, pomyślałam już w warzywniaku, kiedy pani mi podała saszetki na refluks. Tak po prostu, z burakami. Że to zbawienne, bez skutków ubocznych i każdy może. Strach pomyśleć, co zaproponuje ginekolog. Kilka lat temu zupełnie inna dentystka wysłała mnie na ustawienia Hellingera. To ta metoda grupowej psychoterapii, podczas której uczestnicy (pacjenci?) wcielają się w (odgrywają?) różnych członków rodziny. Powiedziała, że skoro nazwałam psa Edward, muszę mieć w rodzinie jakiegoś Edwarda – nieżyjącego pradziadka może? Takie ustawienie wiele rzeczy by mi wyjaśniło.

W ogóle mam dwie dentystki, obie ekscentryczne, i nigdy nie wiem, jak je obdzielić dziurami. Za każdym razem, kiedy idę do jednej, czuję, że zdradzam drugą. Od dziś robię górę u pierwszej, a dół u drugiej. Albo odwrotnie. W każdym razie kiedy trafiałam do którejś z bólem szczęki – wychodziłam z receptą na psychotrop. Że niby zaciskam zęby do niemożliwości. Potrzebny głęboki relaks! Chemia!

Ale żeby to tylko w obszarze medycyny takie dziwne przesunięcia. Dwa tygodnie temu wyszłam z teatru po premierze mojej sztuki. Wiadomo, zmęczona, błada, ze ściśniętym żołądkiem – normalka. Troskliwa przyjaciółka zaproponowała wtorkowy wyjazd za miasto do specjalnej kliniki, gdzie magicy ze wschodu robią kroplówki z kurkumy. Podczas imprezy, kiedy najmniej spodziewałam się ciosu i bogu ducha winna głądziłam o czymś bez znaczenia, chłopak mojego przyjaciela, znany wrocławski proktolog, polecił przeszczep kału. Ten znakomity zabieg przywraca jelitu jego dziecięcą sprawność, cudowną nadczynność. Ale uwaga: tylko jedna osoba na 300 ma odpowiedni kał, kał tylko specjalnych dawców warto przeszczepiać. Być tak przydatną społecznie to marzenie każdej pisarki. Na razie dziękuję, ale niczego nie skreślam!

Wczoraj ukochana lekarka od gardła zaproponowała mi peeling. Pierwszy w życiu. Idę w piątek. O co chodzi? Muszę wzbudzać politowanie. A może po prostu jestem siwa, błada, mam doła i pryszczę? Kiedy prowadziłam z Andrzejem Grabowskim w telewizji program o książkach, przed nagraniem następowały różne przygotowania. Andrzeja pudrowano, na fotelu charakteryzatorki spędzał dziesięć minut. Mnie męczono przez godzinę. Andrzej stawał wtedy nade mną, uśmiechał się szeroko i mówił coś w rodzaju: no i kto tu jest naturalnie piękny?

Gorzej było tylko, jak byłam w ciąży. Co druga kioskarka radziła mi poród podczas burzy, mycie okien i schodów, kiedy przyjdzie tzw. termin, wciąż dostawałam tajemnicze ziołka jak bohaterka „Dziecka Rosemary”. Niedawno znajoma joginka obiecała nauczyć mnie oddychać. Sąsiadka – trenerka osobista – obiecała nauczyć mnie chodzić. „Polacy nie umieją chodzić! – krzyczała. – Stąd bierze początek całe zło!”. Podobno traumy związane z własnymi narodzinami można trwale usunąć, aranżując swoiste reurodziny, przyjmując pozycję embrionalną. Czym się odwzięczę, kiedy zacznę mi to proponować?



www.tygodnikprzeglad.pl

Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku i Twitterze




KURTYNA W GÓRĘ

To oczywiście żart, ale smakowity. Wbrew pozorom komedia, która jawnie żywi się cudzą twórczością, nawiązuje do niej, naśladuje ją, a nawet trochę przedrzeźnia, wcale nie jest prostym zadaniem. Zwłaszcza gdy mamy do czynienia z twórcą tak wybitnym jak Antoni Czechow. Christopher Durang musiał się mieć na baczności, aby nie przeszarżować, a jednocześnie jako tako sprostować swojemu wielkiemu poprzednikowi. To mu się udało, bo nie pretenduje do nominacji na następcę Czechowa, a raczej odgrywa rolę subtelny prześmiewcy.



W komedii „Wania, Sonia, Masza i Spike” spotykamy naszych dobrych znajomych: Maszę (Ewa Błaszczyk) z „Trzech siostr”, Sonię (Dorota Landowska) i Wanię (Maciej Kowalewski) z „Wujaszka Wani” i Ninę (Marianna Janczarska) z „Mewy”, a na dodatek Kasandrę (Jowita Budnik) z innej bajki i niejakiego Spike’a (Wojciech Zieliński), usiłującego wybić się aktora żigolaka. Zaczyna się jak u Czechowa

WARIACJE Z CZECHOWEM

Christopher Durang, „Wania, Sonia, Masza i Spike”, tłumaczenie Bogusława Plisz-Góral, reżyseria Maciej Kowalewski, Teatr Polonia, premiera prasowa 15 stycznia 2019



– przed dworkiem posiadają, lekko na siebie naburmuszeni, Sonia i Wania, tonąc w nieróbstwie i wspomnieniach. Wujaszek okazał się niespełnionym gejem, a Sonia nieszczęśliwą starą panną. Tymczasem chmurzy się nad nimi, co zapowiada malowniczo i przekomicznie Kasandra, siejąc na

prawo i lewo straszliwe przestrogi. I rzeczywiście, ma rację, bo na wieś zjeżdża Masza, gwiazda filmowa, sprzedać dworek wraz z wiśniowym sadkiem (zaledwie kilkanaście drzewek) i wysiedlić krewniaków. Towarzyszy jej zwinny jak kot Spike. Do dworku wpada też Nina polująca na autograf Maszy. Wszyscy mają udać się razem na bal maskowy do sąsiedniego dworu. Tak to się zaczyna, a czy dojdzie do tragicznego finału?



W spektaklu zaskakuje *vis comica* Jowita Budnik, którą znamy głównie z wcieleń dramatycznych, i sympatyczny debiut pełnej dobrej energii Marianny Janczarskiej. A poza tym wiadomo: jak zawsze wyborna Błaszczyk, poddający się losowi wujaszek Macieja Kowalewskiego, który przypomina się jako aktor (dawno niewidziany na scenie), łobuzujący Spike Zielińskiego i lamentująca z iście czechowską rezygnacją Sonia Doroty Landowskiej. Dobra zabawa.

Tomasz Miłkowski

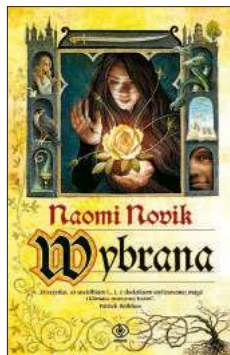
MIĘDZY OKŁADKAMI

Naomi Novik

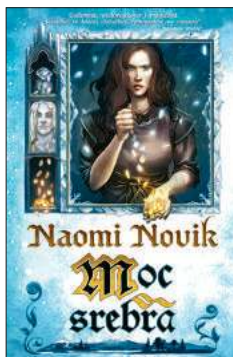
WYBRANA MOC SREBRA

tłum. Zbigniew A. Królicki
Rebis, Poznań 2019

Sceptycyzm dorosłego początkowo stawia opór – zaklęty bór na granicy zwaśnionych Polnii i Rusji (rzucić tylko hasło rycerzom z Polnii, zaraz odkrzykną: wojna!), wieża czarownika nieopodal Radomska, niczego Radomsku nie ujmuje... Szybko jednak zaczyna działać magia. Można się poczuć jak dziecko czytające z wypiekami o zaklęciach Baby Jagi i szklanej górze. Amerykańska pisarka, córka Polki i Litwina żydowskiego pochodzenia, wykorzystuje swój bagaż kulturowy i baśnie z dzieciństwa do tworzenia fantastycznych światów nasy-



conych barwami. W „Wybranej”, opowieści o uczennicy czarnoksiężnika, mamy ów groźny las, a w „Mocy srebra” wschodnioeuropejskie miasteczko jak odbite w lustrze Królowej Śniegu. Był sobie raz żydowski lichwiarz, który nie umiał się upomnieć o pieniądze. Żył z rodziną w takiej biedzie, że długi zaczęła ściągać córka.



A okazała się tak skuteczna, że wręcz zamieniała srebro w złoto. Ale to niebezpieczne, gdy w pobliżu grasują lodowe upiory głodne złota. Bohaterki obu książek sprytnie pokonują niebezpieczeństwa, potrafią przy tym wywalczyć poważanie i ludzi, i magicznych istot, a przede wszystkim zrozumieć, że zwycięstwo nie polega na wycięciu przeciwnika w pień.

Aleksandra Pańko

ZAGRAJĄ

Po ogromnym sukcesie jesiennej trasy koncertowej „The 3 Tenors & Soprano” czekają nas znowu koncerty w wykonaniu artystów występujących na co dzień w rzymskich teatrach i na deskach europejskich oper. Sopranistka Emilia Diakopoulou oraz tenorzy Adriano Gentili, Pierluigi Paulucci i Emanuel Bussaglia wspólnie z muzykami Rzymskiej Opery Kameralnej przeniosą publiczność w świat najśłynniejszych włoskich melodii. Program wypełnią uwielbiane przez publiczność arie z takich oper jak „Tosca”, „Traviata”, „Rigoletto” czy „Turandot”.

W MARCU ARTYŚCI ODWIEDZĄ RADOM (14 MARCA), ŁÓDŹ (15), WARSZAWĘ (16), LUBLIN (17), POZNAŃ (21), BYDGOSZCZ (22), GDAŃSK (23), SZCZECIN (24), KRAKÓW (29), WROCŁAW (30), KATOWICE (31).



ADRIANO GENTILI



PIERLUIGI PAULUCCI



EMANUEL BUSSAGLIA



EMILIA DIAKOPOULOU

THE 3 TENORS & SOPRANO IN CONCERT

ZAJRZYJ TU



DANIEL RYCHARSKI Strachy

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie prezentuje pierwszą indywidualną wystawę Daniela Rycharskiego, artysty działającego na styku różnych światów społecznych: prowincji, kultury *queer*

i wspólnoty wiary. Rozwija on własną formę współpracy ze społecznością lokalną w rodzinnym Kurówku. W trakcie studiów na ASP w Krakowie zaczął badać kulturę wizualną i tożsamość współczesnej wsi. Współdziała z tak różnorodnymi grupami jak stowarzyszenia rolnicze i religijne, koła gospodyń wiejskich czy aktywiści LGBT+, a w pracach mierzy się z wieloma społecznymi strachami i uprzedzeniami. Wystawa jest raportem z kilkunastu lat pracy twórcy, „który z naddatkiem wypełnia postulat poszukiwania alternatywy, jednocześnie czerpiąc obficie z kodów kultury popularnej”.

WARSZAWA, MUZEUM NAD WISŁĄ, 15 LUTEGO-22 KWIETNIA

PROTOTYPY: DOM MODY LIMANKA. NOWA KOLEKCJA

„Awangardowe druki, plagiaty i wspólne dbanie o stały rozwój nadprodukcji sztuki i mody stanowią DNA naszej marki. Chcemy odgrywać istotną rolę w spłaszczaniu skomplikowanych koncepcji artystycznych. Projektując nasze produkty i sklepy, staraliśmy się myśleć z perspektywy zawłaszczenia i merkantylnego stosunku do sztuki. Chcemy, żeby nasze ubrania wspierały wzrost Waszego kapitału symbolicznego, a nasze sklepy były dla Was niczym wspaniała wystawa. Niech żyje powierzchwnia!”, tak anonsują wydarzenie artyści z kolektywu Dom Mody Limanka.

ŁÓDŹ, ms¹, 22 LUTEGO-21 KWIETNIA



JULIA KOWALSKA WDECH / WYDECH

Malarstwo Julii Kowalskiej można porównać do samego życia – jest frapujące, skomplikowane, pełne wyzwania, zmienne, za to niezmiennie w jej twórczości na pierwszym miejscu stoi człowiek. Tym razem artystka ukazuje go w prawdziwie biologicznym wymiarze. Bardzo biologiczne okazują się także jej abstrakcje. Ma-

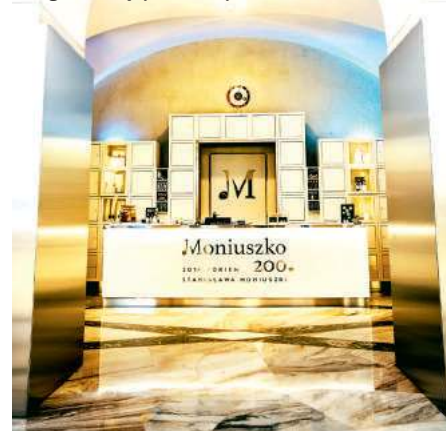
larka szuka piękna w rzeczach, które w rzeczywistości wcale piękne nie są.

WARSZAWA, GALERIA XANADU, DO 22 LUTEGO

NOWE MIEJSCE

SALONIK MONIUSZKOWSKI W TEATRZE WIELKIM – OPERZE NARODOWEJ!

Salonik Moniuszkowski to miejsce zorganizowane dla uczczenia 200. rocznicy urodzin kompozytora. Ideą było stworzenie ogólnodostępnej przestrzeni, która stanie się rodzajem muzeum, wystawą edukacyjną, źródłem wiedzy na temat Moniuszki, ale i miejscem spotkań z artystami. W saloniku będzie można na podstawie materiałów archiwalnych prezentowanych w wersji elektronicznej – zdjęć ze spektakli, projektów scenografii i kostiumów, plakatów – prześledzić różne interpretacje utworów Moniuszki, a także to, jak w ciągu lat zmieniał się odbiór jego twórczości przez artystów i widzów. Autorami projektu i wykonania wnętrza są Izabela Chełkowska i Cezary Żegliński. Do saloniku w lewym skrzydle teatru (hol kas przedsprzedaży) można wpaść od poniedziałku do piątku w godz. 9-18, w sobotę i niedzielę w godz. 11-17 oraz na godzinę przed spektaklami.



Janusz Rolicki

Droga mammo nie wiem dlaczego nie dostaję od Ciebie listu, czy czasem nie napisałaś jakiegoś głupstwa i prokurator nie zatrzymał. Mammo wyślij mnie list Ekspres polecony przez który dasz mnie znać czy załatwiłaś mnie świadków do tego morderstwa na Grażynie oraz czy te dziewczyny co podałem ich adresy zmieniają swe zeznania, że ja ich nie gwałciłem jeżeli mnie to załatwisz to znaczek przyklej na kopercie rogu na dole a jak nie to normalnie a będę wiedział co robić czy już zacząć jechać wariata czy nie. Proszę cię o prędkie odpis. Mammo weź widzenie i przywieź mnie skarpetki i mydło i pastę i szczoteczkię pozdrawiam cię twój syn Andrzej.

Tej treści gryps nie trafił do rąk adresatki. Leży na moim biurku. Przeglądałam się koślawym literom stawianym niewprawną ręką, nienawykłą do pisania. Autor tych słów urodził się zaledwie 18 lat temu. Od roku przebywa w areszcie śledczym. Koledzy zwą go „Sikawica”. W czasie 18 lat życia dobrze nauczył się jedynie gwałcić. Potrafi też pić. Bardzo nie lubił uczyć się i pracować. Pierwszą pracę i jedyną w życiu porzucił po dwóch tygodniach, bo było lato.

Zanim zobaczyłem w rozmównicy więziennej jego puciołowatą twarz, czytałem o nim wiele. Jego nazwisko powtarzało się często w relacjach sporządzonych suchym, prawniczym językiem.

W czerwcu 1970 r. – pisała 13-letnia dziewczyna, mieszkanka Nowego Dworu – spotkałam się z koleżanką. Mogła być 20-ta. Przy kiosku Ruchu na ulicy Warszawskiej spotkał nas „Faja”. Jest to pseudonim. Zaprośił on nas na lody, a potem poszliśmy z nim do parku. Potem przyszli jego koledzy, Dylo M. i Andrzej B. Wszyscy jeszcze kilka minut siedzieliśmy razem. Po tym ja chciałam iść do domu, ale oni nie chcieli mnie puścić. Za jedną rękę trzymał mnie „Faja”, za drugą „Dylo”. Zaprowadzili mnie na wał nad Narwią. Ja się wyrывałam. Za mną w odległości 2-3 kroków szli pozostali ich koledzy. Zaciągali mnie w pobliże klubu wodnego. Było wtedy już ciemno.



GWAŁCICIELE

Na milicję zgłosiło się tylko 21 kobiet, a prawie drugie tyle dalej woli ukrywać swe nieszczęście

„Faja”, trzymając mnie za ręce, powiedział cicho, żebym jemu się oddała, bo jeżeli jemu się nie oddam, to oddam się wszystkim. Ja broniłam się, krzyczałam, odpychałam go. „Faja” mimo mojego oporu odbył ze mną stosunek. Jak skończył, robili to samo kolejno inni. Broniłam się przed każdym z nich, krzyczałam i odpychałam ich rękami. Pamiętam, że bolała mnie głowa i jak B. kładł się, to mówiłam mu, że boli mnie głowa i że nie chcę, żeby to robił. On jednak nie usłuchał mnie.

Gdy przypominam to memu rozmówcy, Andrzejowi B., „Sikawicy”, odpowiedzią jest wzruszenie ramionami i słowa:

– One wszystkie tak mówią teraz, że to było siłą.

Na razie pozostawiamy te wypowiedzi bez komentarza.

Zanim Andrzej B. z Nowego Dworu i jego 19 kolegów-gwałcicieli zaczęło używać życia, byli kochanymi małymi chłopcami przyjmowanymi na świat z uśmiechem i pępkówką świadczącą, że oto stało się coś radosnego. (...) Kiedy wkroczyli na złą drogę, trudno dziś powiedzieć. Każdy z nich przekroczył swój zbrodniczy Rubikon w innych okolicznościach i czasie.

Oto kolekcja: Mirosław F. zwany „Faja”, urodzony 24 maja 1955 r., po-

chodził z rodziny robotniczej. Ojciec nie pije, rodzice żyją zgodnie. (...) Sam „Faja” w szkole uczył się dostatecznie. (...) Pierwszy raz pił, mając 14 lat, pierwszy raz żył z dziewczyną w wieku 15 lat. Przyprowadzili wtedy koledzy, pamięta to, uciekinierkę z Warszawy i nad Narwią poznał, co to jest pożycie seksualne. Potem rewanżował się kolegom wielokrotnie, sprowadzając dziewczęta, które następnie wspólnie gwałcili. W roku 1970 skazany był na pół roku za pobicie milicjanta. W tym samym roku miało też miejsce wydarzenie, które wstrząsnęło miasteczkiem, lecz zamiast ukroczyć bandyckie zapędy „Fai” – nauczyło bezkarności.

– W roku 1970 – zeznawał przyjaciel „Fai”, znany nam już Andrzej B., zwany „Sikawicą” – zgwałciliśmy Grażynę B.

Spotkali ją, gdy szła wałem nad Narwią, „Faja” powiedział do dziewczyny, aby się oddała. Chwycił ją wpół. M. przytrzymał ją za włosy, trzymali za nogi i ręce. Wyrывała się i próbowała krzyczeć. Potem, gdy skończyli, wstała i powiedziała:

– Pójdę do komendy.

F. krzyknął:

– Ty k..., nigdzie nie pójdziesz – i wbił nóż sprężynowy.

Jak wbijał ten nóż „Faja”, Andrzej B. pokazał na wizji lokalnej. Pytano go wtedy:

– Czy F. trzymał nóż przy gardle Grażyny B.?

– Tak. (Obecnych jeszcze było pięciu doroszków).

Ireneusz J., zwany „Wapniakiem”, dodał jeszcze:

– Po zgwałceniu odbyliśmy jeszcze jedną kolejkę. W pewnym momencie ona zemdląca. „Faja” zaczął się śmiać.

– To przez ciebie i Irka, i B.

– „Faja” oblał jej twarz, oprzytomniała, ja już nie chciałem i B. zajął moje miejsce.

Mirosław F., zwany „Faja”, zapytany o swój udział w zgwałceniu zamordowanej dziewczyny, odpowiedział:

– Uczestniczyłem w gwałcie Grażyny – nie jestem pewny, o jaką dziewczynę chodzi, bo zgwałciłem kilka dziewcząt o tym imieniu.

Drugi pod względem znaczenia w bandzie był Ireneusz J., „Wapniak”, urodzony w 1954 r. (...) On pierwszy naprowadził, jak twierdzą jego kompani, milicję na trop szajki gwałcieli.

Andrzej B., znany nam już autor grypsu więziennego, gdy rozmawia ze mną w więzieniu w Białoleścu o swym kompanie, który pierwszy sypał, a wpadł za włamanie, mówi:

– „Wapniak” popamięta sobie jeszcze. Jemu odechce się jeszcze żyć. (...) Gdyby nie on, byłibyśmy wszyscy na wolności. Po co mówił o gwałtach, gdy złapali go za włamanie. Głupi, szkodzi sobie i nam. Takich rzeczy nie puszcza się, on popamięta.

Zimno mi się robi, gdy słucham tych słów chłopaczka puciołowatego, wyglądającego niemal dobroduszenie. To on, pupilek swej matki, od 1960 r. żyjącej bez męża, ciężko pracującej od wczesnego rana na chleb dla niego i dwóch jego udanych szczęśliwie braci, powie:

– Co to za gwałcenie, skoro dwa razy je gwałciliśmy.

Gdy odpowiem, że tylko dwa takie przypadki znane są prokuraturze, mówi ze śmiechem triumfującym:

– Jakie dwa, skoro ja sam co najmniej w pięciu takich gwałtach brałem udział. (...)

W dalszych życiorysach „Dyla”, „Halibuta”, „Kolora”, Zygmunta K. powtarzają się ciężkie warunki domowe, pijaństwo ojca, drobne kradzieże. (...)

Nie byli wobec siebie lojalni. Rozuchwaleni bezkarnością, pełnym

powodzeniem dokonywanych gwałtów, zaczęli tracić instynkt samozachowawczy. Zresztą już nie tylko gwałcili oraz okradali pijanych mężczyzn, zaczęli również włamywać się do sklepów.

Gdy nadchodził wieczór, dobrani koledzy jak zwykle wyruszali na miasto próbować, czy dzień będzie udany. Jak zwykle stali w głównych miejscach miasta, koło skweru, parku, skąd blisko do Narwi, i czekali. Repertuar mieli skromny, ale wypróbowany.

– „Faja” wszedł z nią do pokoju, a ponieważ nie chciała mu się oddać, uderzył ją kilkakrotnie w twarz i przez siłę odbył stosunek. Ja także ją miałem, ale nie stosowałem przemocy.

– Spotkaliśmy tę dziewczynę na wale i Mirosław zatrzymał ją siłą. Ściągnął ją z wału nad rzekę i tam pobił i zgwałcił. Ja także odbyłem z nią... Dziewczyna nie chciała się zgodzić i wtedy „Faja” zaczął ją bić po twarzy.

W czasie 18 lat życia dobrze nauczył się jedynie gwałcić. Potrafi też pić. Bardzo nie lubił uczyć się i pracować.

– Słyszeliśmy z pokoju krzyk tej dziewczyny i odgłos uderzeń. Po pewnym czasie Irek zawołał K., a sam poszedł do mnie. Ta dziewczyna nie chciała mu się oddać i Irek poszedł tam do kuchni razem z K. Grozili tej dziewczynie, że ją znów pobiją, wobec takiej groźby dziewczyna uległa K., po którym i ja przyszedłem.

Zgwałcona dziewczyna:

– „Faja” wyjął żyletkę i zaczął grozić, że jak z nim nie pójdę, to mnie potnie.

– Ireneusz J. z nożem podszedł i zagroził, gwałcili, wołając się po imieniu.

Pewnego dnia jednak mimo do tychczasowej bezkarności powinna powinąć się im noga, a stało się inaczej.

– Zgwałcili mnie kiedyś we czterech na wale, którym szłam – słuchałem. – Wracałam ze szkoły wieczorowej do domu i koło księgarni stał „Kolor” i „Wapniak”, którzy najpierw mnie zaczepiali, a gdy szłam dalej do przystanku PKS, poszli za mną. Było to koło 20. Doszli do mnie i złapali za rękę. Wtedy ukazał się autobus i ja chciałam do niego wsiąść. „Kolor”

wtedy uderzył mnie w twarz i wtedy spostrzegł idącego milicjanta. Mówiłam mu o tym fakcie, pokazując, którzy to byli mężczyźni. Autobus odjechał. Ja zostałam na przystanku i jak weszłam do następnego autobusu, wszedł do niego „Wapniak” i powiedział – Zginęłaś teraz... Następnego dnia w szkole – słucham dalej relacji – wychodząc na przerwę, zobaczyłam siedzącego na ławce „Wapniaka” i „Kolora” oraz trzeciego mężczyznę (był to Andrzej B.). Po lekcjach, gdy szłam do domu razem z koleżanką, podbiegł do mnie „Wapniak” z tym nieznanym i wykręcili mi do tyłu ręce, ciągnąc w stronę cmentarza. Zaczęłam płakać, wtedy nieznajomy uderzył mnie dwukrotnie w twarz. Przechodzący mężczyzna zwrócił im uwagę, na co odpowiedzieli wulgarnymi słowami. Nieznajomy (Andrzej B.) zwrócił się do „Wapniaka”: „Dawaj tą kosę”. Koleżanka, która pobiegła na komendę, sprowadziła radiowóz i oni uciekli. Przyjechałam

z koleżanką radiowozem do komendy, gdzie spisano moje personalia, a następnie szukaliśmy tym radiowozem na mieście „Wapniaka”.

Wypowiedź poszkodowanej uzupełniły ich zeznania. Andrzej B. powiedział:

– Wtedy Ireneusz J. został zatrzymany, siedział trzy godziny i został zwolniony, gdyż jego ojciec załatwił to jemu.

Ireneusz J. powiedział:

– Żadnego postępowania Komenda w Nowym Dworze nie prowadziła, ani za gwałt, ani za pobicie.

Poszkodowana stwierdziła:

– O fakcie gwałtu nie meldowałam wcześniej, ponieważ bałam się groźby ze strony „Fai” i jego kolegów, a poza tym otrzymałam lanie od swojego brata, który dowiedział się o tym.

Innym razem milicjant wodny widział brzeg dziewczyny, którą pod groźbą żyletki porwali z wału, zabrał im ją tylko, lecz nie wszczął dochodzenia.

Bezkarni byli nie tylko dlatego, że milicja kilkakrotnie im pobiła. Dziś ocenia się jej pracę źle. Sekretarz Powiatowego Komitetu Partii stwierdził: ▶

► – Sytuacja ta spowodowała szybsze odwołanie komendanta i jego zastępcy.

„Fai” i jego wspólnikom sprzyjał jednak lęk dziewcząt i rodziców przed kompromitacją. Dyrektor szkoły na przykład, gdy dowiedział się o zgwałceniu dziewcząt od ich matek, nakłaniał je do powiadomienia o tym prokuratora. W odpowiedzi usłyszał:

– Niech Bóg broni. Czy pan chce, żeby ojciec je zabił?

(...) Skoro zgłoszenia nie było, spraw też nie było – usłyszałem od Jerzego Gutkowskiego, prokuratora, który dziś szykuje im akt oskarżenia. Nacisk środowiska małomiasteczkowego był zbyt silny, by któraś dziewczyna czy matka pozwoliła sobie na taką ekstrawagancję. (...)

– Jak tu się dziwić tamtym kobietom, że nie zgłaszały – powiedział pewien prawnik. – Ja, gdybym był na miejscu któregoś z ojców, to samo bym zrobił. Gwałt to w tamtym środowisku przecież kompromitacja na całe życie. Murowane lata wytykania palcami.

– A wreszcie, niech pan weźmie pod uwagę ogólny stosunek do kobiet – powiedział emeryt. – Nastawienie środowiska jest zawsze antyfeministyczne. Powiedzieliby w końcu: jakby nie chciała, toby jej nie zgwałcili. Łatwiej przebaczą chłopcu niż dziewczynie czy w ogóle kobiecie.

(...) I trzeba było dopiero takiej masówki, aby matki i dziewczyny

byli, nie powiem, to co mieliśmy robić? Ona, jego matka, tak płakała i tłumaczyła, że go przypilnuje i syn będzie już lepszy. (...) Zgodziłam się wreszcie na to polubowne załatwienie, jak to oni nazwali – kontynuuje matka – bo bałam się, że mi dziewczynę zabiją jeszcze, a tak, skoro przeprosił i było to na milicji, to już nie mógł jej ruszyć.

Po tych rozmowach inaczej patrzę na miasto wolne od zmory gwałcicieli. Ale czy na długo – to pytanie

Bezkarni byli nie tylko dlatego, że milicja kilkakrotnie im pobiła.

zadać sobie i ludziom, których decyzje ważą na losach Nowego Dworu. Bo nie zdejmując z barków rodziców odpowiedzialności za to, co się działo w tym 17-tysięcznym miasteczku, nie można rozgrzeszać władz lokalnych. Gdy pytam, co poprzednio zrobiono, aby było inaczej, słyszę, że niewiele. Chciano wybudować dom kultury. Wiele sobie po nim obiecywano. (...) Nie podzielam opinii, że wystarczy dać kluby, świetlice, domy i będzie klawo. Nieprawda, trzeba mieć przede wszystkim idee, myśl, sposób dotarcia do chłopców z ulicy.

Po tym, co napisałem wyżej, może zabrzmieć to jak herezja, ale gdyby byli pedagodzy z prawdziwego zdarzenia, być może zamiast gwałcicieli wyrosliby z tych chłopców wartościowi ludzie. Nikt przecież nie

Pierwszy dzień sprawy ma coś z teatru. Zjechali się koleżkowie z Nowego Dworu, będą zresztą nawet, jak poinformuje o tym później prasa, usiłowali uczynić coś na kształt demonstracji. Gwałciciele pierwszego dnia starają się trzymać bandycki fason, starają się sprawiać wrażenie takich, których nie ma się ani sąd, ani więzienie. Bywalcy sal sądowych, gdy próbuję wyrazić swe oburzenie, odpowiadają mi, abym się nie niepokoił; początki

są zawsze trudne. Tak jest zawsze, później dopiero, czasami dopiero po kilku dniach, zaczyna ulatywać gdzieś buta i wiara w to, że jakoś to będzie. Znowu stają się mali i podli. Odrażający w swym odczłowieczeniu. Tryb procesowy jest nużący, najpierw odczytanie aktu oskarżenia, potem przesłuchanie oskarżonych. Siedzą w amfiteatrze. Na normalnych ławkach przeznaczonych dla oskarżonych zabrakło dla nich miejsc. Pierwszy siedzi „Faja”, obok niego „Wapniak”, dalej jeszcze „Sikawica” – i tak dalej, aż do miejsca dwudziestego pierwszego. Mogłoby tworzyć dwie drużyny piłkarskie, klasę szkolną, drużynę harcerską, wszystko było przed nimi do dnia, w którym wkroczyli na przestępczą ścieżkę. Ich wypowiedzi są pokrętne. Odwołują wcześniej złożone w śledztwie zeznania, próbują siać zamęt w głowach sędziów. Nade wszystko boją się sprawy o morderstwo. Tu są czujni. Ponieważ wiedzą, że nie odnaleziono łódki, którą wywieźli zwłoki zamordowanej dziewczyny, próbują zaprzeczyć wcześniejszej wersji. Nauczyli się już paragrafów kodeksu karnego, znają wysokość spodziewanych kar, liczą więc teraz, że jeśli zmyją z siebie to podejrzenie – wymiar kary będzie łagodniejszy.

Spoglądam na „Sikawicę”, autora grypsów. Siedzi w pierwszym rzędzie. Głowę ma lekko spuszczoną, gdy otrzymuje jakieś pytanie, stara się odpowiadać na nie nonszalantko. Zapomniał już o chwilach bezpośrednio po aresztowaniu, gdy przestraszony ujęciem przez milicję, na kartkach papieru wyrażał skruchę i żal za popełnione czyny. (...)

Po tygodniu procesu wszyscy przestali grać i zaczęli się bać.

przyznały się. A i tak zgłosiło się tylko 21 kobiet, a prawie drugie tyle dalej woli ukrywać swe nieszczęście, jakie spotkało je za sprawą tych młodych bandytów. (...)

Wchodzę do domu tej dziewczyny, która była wyciągana spod szkoły przez „Wapniaka” i Andrzeja B. Widzę szczupłą, drobną kobietę, która nie wygląda na 18 lat. Ojciec na niepewnych nogach domaga się stanowczo wyjawienia celu mojej wizyty. Wreszcie osadza go na miejscu interwencja żony grożącej odwykówką za tyle lat męczarni – jak mówi. (...)

Ponieważ już wcześniej wyjawiałem cicho, o co mi chodzi, słyszę:

– A tak, załatwiliśmy polubownie z tamtymi ludźmi. Tacy na poziomie

rodzi się z piętnem. Przestępców formuje życie. Tworzyli dzielnicową paczkę, nim stali się bandytami. Wtedy jednak, gdy zanurzali się w świat marginesu, nikt nie podał im ręki. Stali się ofiarami własnego środowiska i znieczulicy społecznej innych. Bo jeśli szkoła u nas dziś jeszcze nie wychowuje, dom już nie, więc co pozostaje? Ulica. (...)

Kilka miesięcy później spotykam się z nimi, nowodworskimi gwałcicielami, ponownie. Na jedną z większych sal gmachu sądów na Lesznie ich, skutych, wprowadzają milicjanci. Przed salą poruszenie i ruch jak przed salą kinową w dniu grania westeru.

Odmiana w ich zachowaniu nastąpiła w połowie procesu.

Po tygodniu wszyscy przestali grać i zaczęli się bać. Najbardziej trzymał fason „Faja”. W czasie jednej z przerw podsłuchałem jego wypowiedzi kierowane do kolegów: „Dostanę 25 lat, gdy wyjdę, będę wrakiem. Życie swe już przegrałem”. Te straszne dla siebie słowa wymawiał z determinacją, niemal spokojnie. Ale gdy opadło podniecenie pierwszych dni, pozostawała już tylko ta ponura dla niego prawda.

Bronili się jak prostaczkowie. „Ona sama chciała, to nie był gwałt. One tak mówią teraz”. (...)

Gdy pojawiają się ich ofiary, gwałcone dziewczęta, reagują na ten fakt różnie. Jedni spuszczały głowy, inni uśmiechają się, są też tacy, którzy próbują je zahipnotyzować, przestraszyć. (...)

Poruszenie opinii publicznej wywołały wyroki. Dostałem nawet listy z pytaniami, dlaczego za swe zbrodnie nie dostali kary śmierci, dlaczego „Faja” otrzymał jedynie 25 lat. Obronił go kodeks karny. W dniu

zamordowania nieszczęsnej mieszkanki Nowego Dworu nie miał jeszcze skończonych 17 lat. Za zbrodnie popełnione przez młodocianych nie karze się u nas śmiercią. Dostał więc „Faja” najwyższy możliwy wymiar kary, 25 lat. Gdy sędzia odczytuje wyrok, patrzę na nich, wylękniętych, pozbawionych buty. (...)

Wyroki są wysokie: 25 lat, 15, 12, 9. „Sikawica”, autor grypsów, otrzymał wyrok długich 15 lat pozbawienia wolności. Na sali matki, ojcowie oskarżonych. Co myślą teraz, czy obwiniają się za błędy wychowawcze, czy też dalej wszystko, co złe, przypisują tym dziewczuchom, bo one takie złe, bo zaczęły chłopców.

Widziałem kilka razy na sali matkę autora grypsów. Skupiona, zdenerwowana, przeżywała tę sprawę. Z pewnością dziwiła się, rozmyślała, jak do tego wszystkiego doszło. Pamiętała go przecież małego. W tamtym drewnianym domu stojącym tuż przy wale oddzielającym Bugo-Narew od miasta pozostawała go na długie godziny. Codziennie opuszczała dom na 10 godzin, aby

poza Nowym Dworem zapracować na chleb. Gdy patrzyłem tak na nią teraz, bezradną, zagubioną, zawstydzoną, przypominałem sobie, jak mi opowiadała o prośbie skierowanej do tych, którzy strzegą porządku, aby zwrócili uwagę na syna, który zamiast uczyć się, zaprasza dziewczyny. Powtórzyła mi odpowiedź, jaką wtedy usłyszała:

„I czemu pani mu żałuje”. Nie żałowała mu więc, bo nie mogła żałować. Była samotna i bezradna w swej walce o syna. Ostatni raz opuszczają tę salę. Skuci wychodzą dwójkami, głowy mają pospuszczane, w oczach niektórych szklą się łzy. Za późno!

„Kultura”, 1973

Fragmenty reportażu z książki Janusza Rolickiego *Lepsi od Pana Boga*. Reportaże z Polskiej Ludowej. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 2018



Szkolenia Microsoft Excel

Dedykowane szkolenia dla firm:

- MS Excel - bez tajemnic (biznes i firma)
- MS Excel - finanse, księgowość, kadry
- MS Excel - poziom zaawansowany
- MS Excel - analiza danych
- MS Excel Business Intelligence + Power BI

www.szkoleniami.pl/szkolenia/



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

✉ Kontrowersje wokół 500+ i polityki socjalnej

Prawie wszystkie partie deklarują utrzymanie programu 500+ i dorzucają nowe propozycje socjalne. Ukształtował się pogląd, że świadczenia powinny być równo dostarczane wszystkim, niezależnie od dochodów i majątków. Chodzi o to, żeby nikt korzystający z pomocy nie czuł się upokorzony. Ma to sens. I można to uzasadniać przykładem krajów europejskich z rozwiniętą pomocą socjalną. W największej skali takie rozwiązania stosują państwa skandynawskie, rządzone przez socjaldemokrację. Opowiadanie się za podobnymi rozwiązaniami jest wygodne i miłe, ale nieuczciwe, bo unika odpowiedzi na pytanie o źródło finansowania.

Prawdą jest, że w wielu krajach preferuje się równy dostęp ludzi do świadczeń socjalnych. Ale niekoniecznie ogranicza się on do wypłaty pieniędzy. Znaczna część pomocy jest udzielana w formie konsumpcji zbiorowej, tj. bezpłatnych żłobków i przedszkoli, wyposażenia i posiłków dla uczniów, opieki zdrowotnej, opieki nad osobami starszymi, świadczeń dla bezrobotnych itp. Poza tym te kraje mają polityków, którzy potrafią liczyć. Świadczenia są bilansowane wyższymi i wyraźnie progresywnymi podatkami. Bez tego dostęp do nich musi być kierowany według potrzeb, czyli tylko do uboższych. W przeciwnym razie byłoby tak jak w Polsce, gdzie powszechny program 500+ finansowany jest długiem publicznym, czyli przerzucaniem odpowiedzialności za politykę socjalną na przyszłe pokolenia. Ale taka prawda źle wygląda w przekazie publicznym. Dlatego politycy próbują kupować przychyl-

ność nierealnymi obietnicami. A ponieważ osoby aktywne publicznie zwykle bywają związane z partiami wiele obiecującymi, nikt tych wyborczych haseł nie podważa.

Wiesław Żółtkowski

f Kontrowersyjna konferencja

Oto do czego prowadzi polityka mitów narodowych. Żaba śni o potęgze i roi o mocarstwowości, a tymczasem została niecznie wykorzystana (ale w swoim mniemaniu zachowała dziewictwo) i zostanie porzucona, gdy nowemu panu będzie to wygodne. Polityka poddaństwa wobec Wujka Sama nie przynosi nam pozytywnych rezultatów, za to Polacy muszą utrzymywać swojego białego pana, kupując kolejne partie jego złomu. A wizy jak były, tak są i będą!

Polska za wszelką cenę chce się znaleźć między trzema największymi żarnami geopolityki w imię swoich mitów. Obecna „dyplomacja” PO-PiS przyczepiła się do statku i krzyczy: płyniemy!

Dlaczego Wuj Sam porzuci swą naiwną kochankę, zawsze dziewicę? Bo Rosja będzie potrzebna USA do neutralizacji Chin. My zostaniemy z ręką w nocniku.

Odpowiedź jest także w felietonie prof. Bronisława Łagowskiego „Odstraszanie, które nie odstrasza” (PRZEGLĄD nr 7): „Pokaż Polakowi przepaść, a od razu w nią wskoczy” (Balzac).

Marek Głowinkowski



WYTWÓRNI FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FANTAZJI I ALBO ŚWIAT PRZEDSTAWIĄ
FILM W REŻYSERII **MARKA KOTERSKIEGO**
TWÓRCY **DNIA ŚWIARA** I **BABY SĄ JAKIEŚ INNE**

7 UCZUĆ
WSZYSCY JESTEŚMY ŹŁE WYCHOWANI

SCENARIUSZ I REŻYSERIA:
MAREK KOTERSKI

NAGRODA JURY MŁODYCH 43 FPFF GDYNIA 2018

NAGRODA SPECJALNA JURY 43 FPFF GDYNIA 2018

7 UCZUĆ
WSZYSCY JESTEŚMY ŹŁE WYCHOWANI

JUŻ NA DVD i Blu-ray Disc

WP FILMWEB DEMOTYWATORY.PL Przegląd Multikino KING empik

Ta upiorna konferencja

Wyszło gorzej, niż sądzili pesymiści. Polska na życzenie USA zorganizowała konferencję na temat Iranu. Konferencja miała być elementem szukania pokoju na Bliskim Wschodzie, tak ją reklamowała Warszawa, a stała się elementem przygotowań do wojny.

Polska liczyła, że konferencja, na której główne role zostały zarezerwowane dla USA i Izraela, będzie okazją, by pokazać światu, że wprawdzie Warszawa nie jest jeszcze w elitarnej grupie, ale blisko jej do tego. Tymczasem musieliśmy wysłuchiwać nieprzyjemnych słów od szefa dyplomacji USA i premiera Izraela. Potraktowano nas nie jak sojusznika, ale jak kiepskiego kelnera.

Zaczął szef Departamentu Stanu Mike Pompeo, który zwrócił się do „polskich kolegów”, by przyspieszyli prace nad ustawą, która umożliwiałaby obywatelom amerykańskim uzyskanie odszkodowań od... Polski. Teoretycznie chodzi o osoby pochodzenia żydowskiego, które utraciły nieruchomości w dobie Holocaustu. Lub ich potomków. Ale w rzeczywistości chodzi o organizacje, które zajmują się odzyskiwaniem odszkodowań „w imieniu” ofiar. Tyle że dla siebie. Co jest szczególną formą wyrwania pieniędzy.

Pompeo mówił to, choć kwestia roszczeń majątkowych w stosunkach Polska-USA została rozstrzygnięta już w roku 1960, na mocy umowy indemnizacyjnej (podziękujmy Władysławowi Gomułce za tę zapobiegliwość i dalekowzroczność). W zamian za 40 mln dol. rząd USA przejął na siebie wszelkie roszczenia własnych obywateli oraz zobowiązał się, że nie będzie już ich wysuwał ani popierał.

Owszem, można mówić, że to było 58 lat temu, więc nikt w Waszyngtonie tej umowy nie pamięta (choć jest

ważna). Ale oświadczenia Morawieckiego i Netanjahu dotyczące nieszczęsnej ustawy o IPN były całkiem niedawno. I całkiem niedawno pisowskie media trąbiły, jaki to sukces, i że Izrael nie będzie już obwiniat Polski za Holocaust. Tymczasem premier Netanjahu podczas rozmowy z dziennikarzami w muzeum Polin powiedział, że „Polacy pomagali Niemcom zabijać Żydów podczas Holocaustu”. „Polacy kolaborowali z nazistami i nie znam nikogo, kto zostałby pozwany za takie stwierdzenie”, miał mówić.

Było więc miło.

A co poza tym? Poza tym wiceprezydent Mike Pence powiedział, że Iran jest głównym zagrożeniem dla światowego pokoju i chce zgotować Izraelowi nowy Holocaust. Trzeba go zatem zatrzymać. Zwłaszcza że obywatele Iranu też cierpią z powodu reżimu. Dlatego jest jasny podział: albo jest się z USA, które wspierają Izrael, albo przeciw nim.

Wszedł więc w rolę osoby organizującej międzynarodową krucjatę przeciwko Iranowi. Co każdy zrozumiał, a niektórzy nawet napisali.

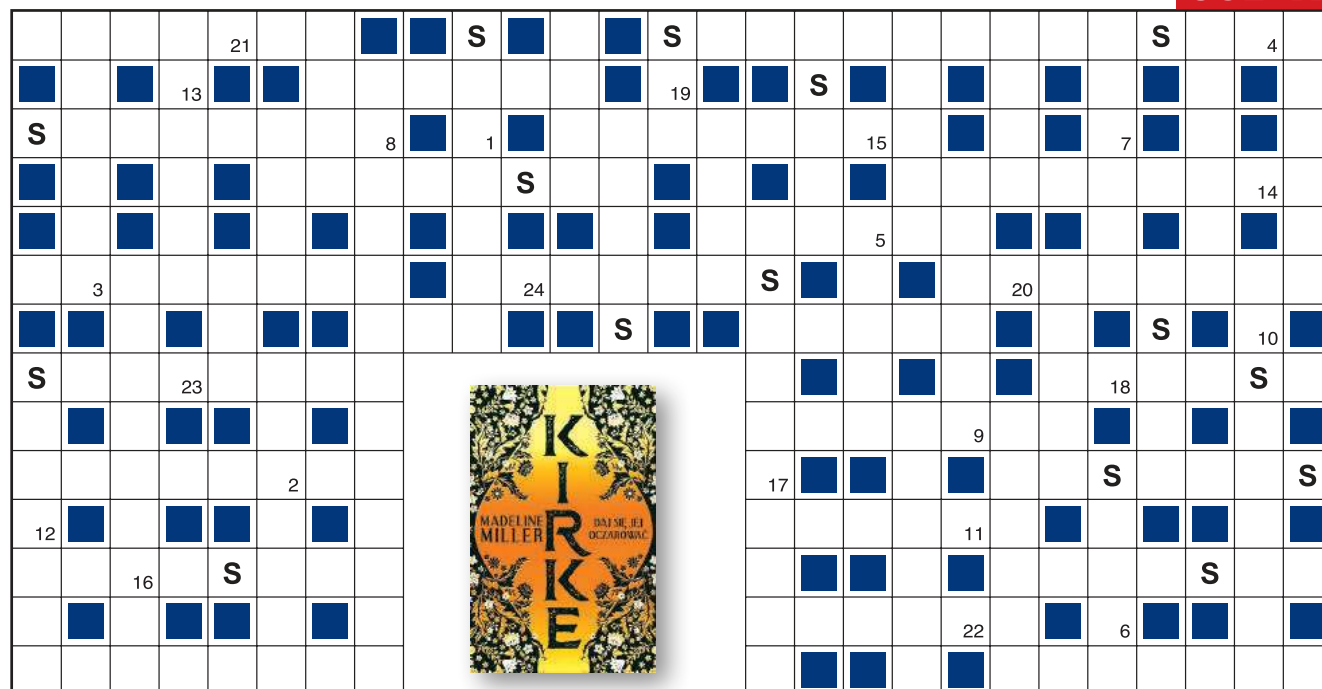
„To (jest) spotkanie z przedstawicielami czołowych krajów arabskich, które zasiadają wspólnie do rozmów z Izraelem, żeby przybliżyć nasz wspólny interes, czyli wojnę z Iranem”, napisał na twitterowym profilu Benjamin Netanjahu. Po czym szybko „wojnę” wykreślił, ale słowa poszły w świat.

Atmosfera zaczyna przypominać tę sprzed inwazji na Irak. Tej drugiej inwazji. Wszystko jest podobne, różnica tylko taka, że Europa Zachodnia patrzy na to inaczej.

Attaché



Zwolenniczki opozycyjnej Ludowej Partii Demokratycznej przed zorganizowanym w Lagos wiecem poparcia dla Atiku Abubakara, kontrkandydata urzędującego prezydenta Nigerii.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- matka Agamemnona i Menelaosa
- kłopot, kram, trudności
- ...Caesar lub Maria
- za niego to bardzo tanio
- angielski to 50 kg, sta-ropolski – pięć kamieni
- sposób stawiania kroków
- odpowiednie dopasowanie
- o usługę wykonanej jak najszybciej
- oficer w wojskach kozackich carskiej Rosji
- u Mickiewicza w zielonym dziewczę rwie jagody
- kość lub pistolet
- na niego to nago
- przesadza z pilnością i zapalem
- tam prezydentem Salome Zurabiszwili
- zielony w temacie
- uchodzi do Obu
- efekt zażycia tabaki
- ogórek do beczki
- można ją skopać podczas snu
- broń Robin Hooda
- arystokratka, bogaczka
- bieg lub filmowy
- bywa gęsta jak mleko
- lubelski klub piłkarski lub żużlowy
- masowy imigrantów do Europy
- wtrąca się, naprzykrza
- panieńskie, znaczące bohatera
- kieszonkowy z ołówkiem
- polowanie, też policyjne
- skórzane buty z wysoką, sztywną cholewą
- trwała w salonie fryzjerskim
- torturuje lub morduje
- ...na ugorze
- matecznik w głębi kniei
- rozważa, baczność
- konferencyjno-partyjna roślina
- niejeden na porębie
- poważna sprawa, wymagająca rozwiązania
- pinczer karłowaty
- pod paltem schowana w piosence „Teraz jest wojna”
- dokładka przy stole
- odnoga, rozwidlenie
- w zimowy zapada susze
- w szachach i na belce startowej
- pod lewą stopą kierowcy
- oparcie dla stopy jeźdźca
- potężne państwo, dysponujące bronią nuklearną
- zielona papka na talerzu
- organ dowodzenia w wojsku
- oczy zwierzęcia
- ...Egzotyczny
- tłumok
- forma zapowiedzi filmu, sztuki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-897”. Do rozlosowania książki „Kirke” ufundowane przez Wydawnictwo Albatros. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 lutego 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-894” z 3 lutego: Tani sukces drogo kosztuje. Nagrody otrzymują: Zofia Bartnik z Ryczówka, Jan Bucior z Zagródek, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

PENETRACJE



MAREK PRAWDA,
SZEF PRZEDSTAWICIELSTWA
KOMISJI EUROPEJSKIEJ
W POLSCE

Europa stoi przed trzema wyzwaniem: odrobieniem lekcji z brexitu – czyli przeprowadzeniem reformy samej Unii, by lepiej funkcjonowała, odrobieniem lekcji z wyborów w Stanach Zjednoczonych – to jest rozwiązaniem dylematu, czy trzymać się swoich wartości, czy też przyjąć warunki, które dyktuje Donald Trump, i odbudowanie poczucia, że UE opiera się na wartościach. Nie ma przyszłości Wspólnoty, jeżeli nie będzie ona wspólnotą normatywną. Wartości, w tym praworządność, są czynnikami utrzymującymi konstrukcję europejską, kształtującymi jej ustrój. Te kraje, które mają kłopoty w dziedzinie przestrzegania praworządności, osłabiają trójpodział władzy, stają się źródłem kłopotów całej Unii.



HENRYK MARTENKA,
KOMENTATOR

Patryk Jaki, młody partyjny zgred, widzi Wiosnę jako partię, która będzie unikała „tradycyjnego patriotyzmu i historii”; dla Krystyny Pawłowicz Biedroń to Fidel Castro, lewacki terrorysta. Bogdan Zdrojewski przełknięty, bo Wiosna dla niego to: „wypowiedzenie wojny wszystkim”. Posła PiS Szefernakera przeraża w Wiosnie zderzenie... „cywilizacji europejskiej i cywilizacji śmierci”. Za to prosty chłop Sawicki Wiosnę

postrzega, jak to chłop, dosłownie: to tylko jeden sezon, zaś świeżo nabyta inteligencja każe mu błysnąć: „Panie Robercie, jesień i zima zagospodzą szybciej, niż Pan zakłada”. Kwartalną logikę reprezentuje też polityczny mentor Magdalena Ogórek Leszek Miller. Polityczne zombie Giertych, reanimowane przez TVN kpi: „Biedroń zamierza zostać premierem, a ja mistrzem świata w tańcu na lodzie”. Były führer Wszechpolsaków nadal nas wzgardliwie ocenia, sądząc, że zapomniano mu jego zawstydzające polityczne wślizgi i poślizgi.



MARIUSZ SZCZYGIEL,
REPORTER

Lubię mieć wokół siebie rzeczy, które oswoiłem. Do których się przywiązuję. Biurko jest długie, żebym się mógł rozłożyć z papierami. Spisuję tu rozmowy, a potem wszystko, co mam do danego reportażu, przepisuję na wielkie karty. Biblioteczka nie jest bardzo duża, nie chcę wychodzić poza 4 tys. tomów, bo nie lubię mieć zawałonego książkami mieszkania ze względu na kurz. W sypialni nie ma ich wcale, poza „Kronikami” Bolesława Prusa, które czasem czytam przed snem. Jest półka z moimi książkami, także przekładami. Książki, które albo współtworzyłem, albo napisałem do nich wstęp, albo jest w nich coś o mnie. Książki o sztuce, a tu biblioteka czeska. Tam na górze przewodniki po Pradze. Mam nawet pomysł, żeby napisać własny.

Aby język giętki...

PROF. RYSZARD BUGAJ
O JANIE OLSZEWSKIM

To był człowiek bliski tradycji PPS, czyli przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej.

JAN A.P. KACZMAREK
O WROGACH DEMOKRACJI

Dzisiaj największymi wrogami są globalny kapitał spekulacyjny i globalne korporacje.

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
O OPOZYCJI

Na beznadziejną programowo i organizacyjnie rozbitą opozycję nie ma co liczyć.

DANIEL PASSENT O AMBASADORZE
ANDRZEJU PRZYŁĘBSKIM

Jedyny dyplomata, który namiętnie skarży na swój kraj, podobnie jak na kraj, w którym urzęduje, oraz na stosunki pomiędzy oboma państwami.

HANNA KRALL
O „ZDAŻYĆ PRZED PANEM BOGIEM”

Siła tej książki wzięła się z prawdomówności Marka (Edelmana). Nieprawdopodobnie bezwzględnej, wręcz brutalnej.

JERZY PILCH O CZYTANIU

Czytam Babla. Zawsze mam go pod ręką.

LUCYNA KIRWIL
O MĘŻU JERZYM BRALCZYKU

W długotrwałym związku każda ze stron wie, jakich słów użyć, żeby tę drugą wyprowadzić z równowagi. I wie, jak udobruchać, zadowolić, dać jej przyjemność.

KRYSZYNA JANDA O CÓRCIE I SYNACH

Sami podejmowali decyzje. Zmierzają do osobistego szczęścia, choćby droga była kręta i wyboista.

PAWEŁ DOMAGAŁA
O GRZE NA GITARZE

Grałem, gdy się zakochiwałem. Szczególnie kiedy trafiały się niespełnione miłości, a ja byłem mistrzem w dostawianiu koszy.

LIDIA POPIEL O KOMPLEMENTACH

Zawsze mnie i wzruszają, i dziwią, i trochę przerażają.



Z kolekcji japońskich hodowców skradziono siedem drzewek bonsai o wartości 120 tys. dol., w tym 400-letni jałowiec sękaty.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Zakup wart przemysłienia?

W jednym z brytyjskich sklepów internetowych pojawił się produkt dla ludzi przytłoczonych mnóstwem docierających do nich bodźców. Thought Box to obleczone czarną lycrą kartonowe pudełko na głowę o rozmiarach 33 x 33 x 33 cm, zawierające w środku plastikowy kask. Dostarczane w zestawie z taboret, zatyczkami do uszu i kompletem kolorowych pokrowców oferuje szczęśliwemu nabywcy „osobistą przestrzeń, w której można po prostu pomyśleć”. Na przykład o tym, czy było warto swojej cenie, wynoszącej 495 funtów.

Od kolejności głowa nie boli

Badacze z Anglii i Niemiec postanowili ostatecznie rozstrzygnąć jeden z najgorętszych sporów naukowych współczesności. Starannie przebadali 90 osób w wieku 19-40 lat, aby ustalić, czy prawdą jest, że picie piwa przed winem pozwala uniknąć kaca. Ich konkluzja jest jednoznaczna: kolejność spożywania poszczególnych rodzajów trunków nie ma znaczenia dla naszego samopoczucia następnego dnia. Choć za badaniem stoją m.in. naukowcy z Uniwersytetu w Cambridge, na całym świecie pojawiają się głosy sceptyków, którzy prowadzili eksperymenty na samych sobie i otrzymali odmienne wyniki.

Gorzkie walentynki

Tegoroczne walentynki były w Japonii nietypowe: coraz więcej kobiet wyłamało się z tradycji *giri choco*, polega-



jącej na obdarowywaniu kolegów z pracy czekoladkami. Japonkom nie podoba się oczekiwanie, by wydawały duże kwoty na słodycze dla współpracowników, zwłaszcza że zdaniem niektórych obyczaj jest formą nadużycia władzy, a nawet molestowania. Tradycjoniści z niepokojem oczekują, co się wydarzy 8 marca, czyli w dzień, w którym panowie słodko odwiedzali się koleżankom.

jącej na obdarowywaniu kolegów z pracy czekoladkami. Japonkom nie podoba się oczekiwanie, by wydawały duże kwoty na słodycze dla współpracowników, zwłaszcza że zdaniem niektórych obyczaj jest formą nadużycia władzy, a nawet molestowania. Tradycjoniści z niepokojem oczekują, co się wydarzy 8 marca, czyli w dzień, w którym panowie słodko odwiedzali się koleżankom.

Tylko dla (bardzo) dorosłych

Na Hawajach trwają prace legislacyjne nad podniesieniem minimalnego wieku uprawniającego do zakupu papierosów do... 100 lat. W tym amerykańskim stanie już teraz przepisy antynikotynowe są bardzo ostre, jednak zdaniem demokracji Richarda Creagana nadal niewystarczające do walki z „najbardziej śmiertelnością wytwarzaniem ludzkiej cywilizacji”. Obecnie papierosy są sprzedawane Hawajczykom 21-letnim i starszym, jednak zgodnie z projektem Creagana, z zawodu lekarza, dolna granica wieku miałaby być podnoszona już od przyszłego roku, by w 2024 r. osiągnąć setkę.

Nasze drogie drzewa

Niemieccy badacze stworzyli system, który wychwytuje z powietrza dwutlenek węgla, a następnie uwalnia tlen. Podkreślają, że ich wynalazek potrafi znacznie więcej niż drzewa, gdyż jego skuteczność jest tysiąc razy wyższa.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Jedynym problemem są pieniądze: stworzenie niewielkiego sztucznego lasu kosztuje nawet 250 tys. dol. Innowatorzy pocieszają się, że wraz z rozwojem technologii jej cena będzie spadać.

Najpunktualniejsi

Rosyjskie Szeremietiewo znalazło się na czele rankingu punktualności portów lotniczych w kategorii wielkich lotnisk (20-30 mln pasażerów rocznie). W 2018 r. przewoźnicy zrealizowali tam na czas 87% lotów. Na drugim miejscu znalazła się stolica Kataru Ad-Dauha (84,91%), a na trzecim amerykańskie Minneapolis (84,02%). W zestawieniu dotyczącym małych lotnisk (2,5-5 mln pasażerów) przoduje Mińsk. Wśród średnich (5-10 mln) najpunktualniejszym lotniskiem okazała się Panama, a wśród dużych (10-20 mln) Osaka. Oceniano również punktualność linii lotniczych (trzeba było wykazać się 80-procentową punktualnością, a dopuszczano maksymalnie 15-minutowe spóźnienie). Wysooko w rankingu uplasowały się linie z Chile, Kazachstanu, Mauritiusa i RPA. Na liście nie ma polskiego przewoźnika.



FOT. AFP/EAST NEWS (2), FB/OCZKOMUSIEODLEPILOTUMIUSIU, FB/ANONIMOWYINTERNAUTA (2)



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

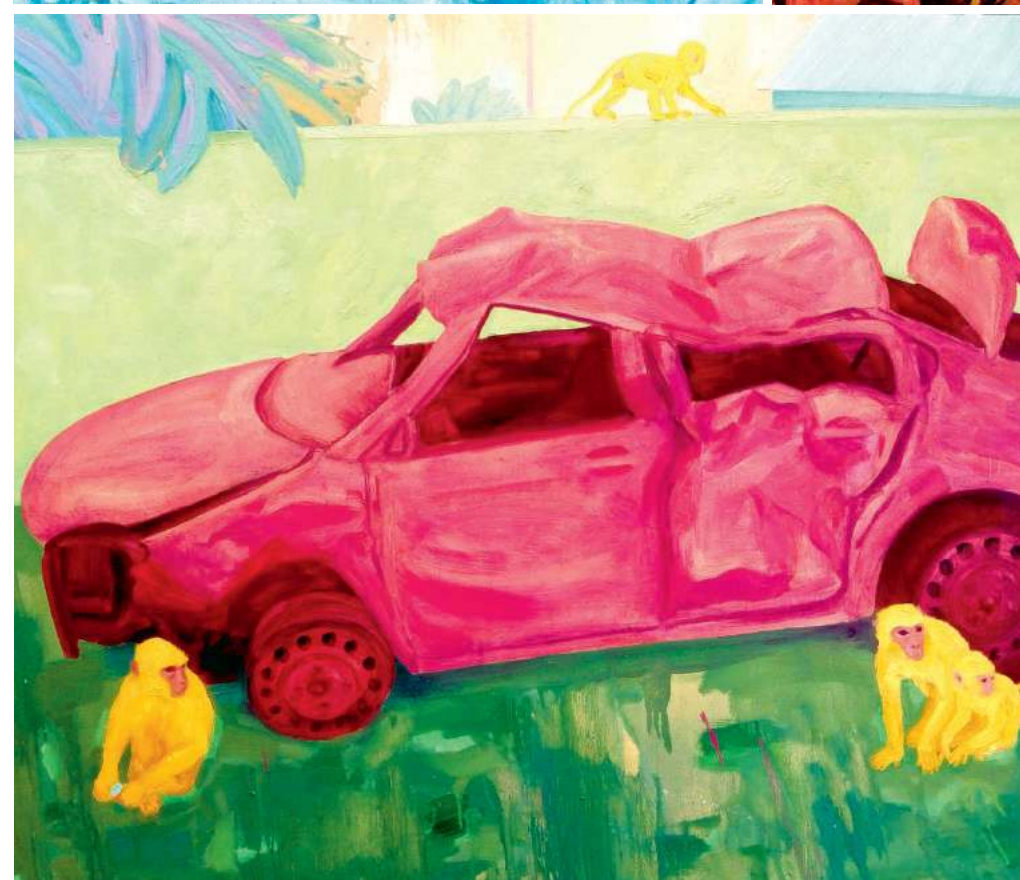
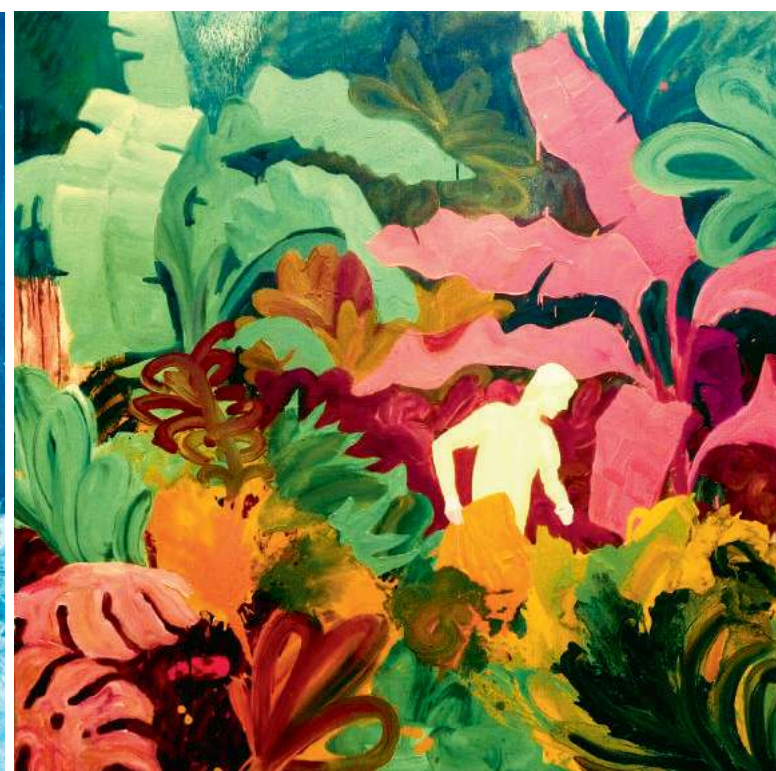
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Tomasz Karolak i Dorian Karolak **Forma | Kolor**

Bydgoskie Centrum Sztuki
ul. Jagiellońska 47
do 24 lutego



To pierwsza wystawa doświadczonego już mimo młodego wieku malarza Doriana Karolaka i jego ojca Tomasza, który po latach pracy jako projektant wrócił do rzeźby. „On – młody artysta malarz, i ja – początkujący rzeźbiarz. Uczymy się od siebie nawzajem i wcale nie jest oczywiste, kto od kogo więcej”, mówi ojciec. Dorian Karolak zawsze podkreśla wagę koloru w malarstwie. Traktuje kolory jak dźwięki, które ułożone w odpowiednie zestawienia pobudzają różne emocje i skojarzenia. Tomasz Karolak skupia się w pracach rzeźbiarskich na technologii czarnej stali oraz chemicznego rdzewienia, czernienia i metalizowania. Tematy i formy zawiera intuicji, z niewielką korektą w trakcie realizacji.

SZWEDZKI KANDYDAT DO OSCARA



EVA MELANDER

EERO MILONOFF

REŻYSERIA ALI ABBASI

GRANICA

LOVE STORY, NORDYCKI NOIR I NADPRZYRODZONY THRILLER...

NA MOTYWACH OPWIADANIA JOHN AJVIDE LINDQVISTA, AUTORA BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI „WPUŚĆ MNIE”

W KINACH OD 22 LUTEGO

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

www.dziecisos.org

POMÓŻ DZIECIOM W NIERÓWNEJ WALCE Z ŻYCIEM

Zaniedbanie, odrzucenie i brak wiary w siebie to tylko niektóre z przeciwności, jakim muszą stawić czoło podopieczni Stowarzyszenia SOS Wioski Dziecięce.



TWÓJ 1% POMOŻE
WYRÓWNAĆ ICH SZANSE
KRS 0000 056 901



Prowadzimy 4 SOS Wioski Dziecięce, gdzie opuszczone i osierocone dzieci odnajdują dom i opiekę.



W ramach programu „SOS Rodzinie” prowadzimy 14 świetlic środowiskowych, w których potrzebujące dzieci mogą m.in. zjeść ciepły posiłek, nadrobić zaległości w nauce oraz otrzymać pomoc psychologiczną.